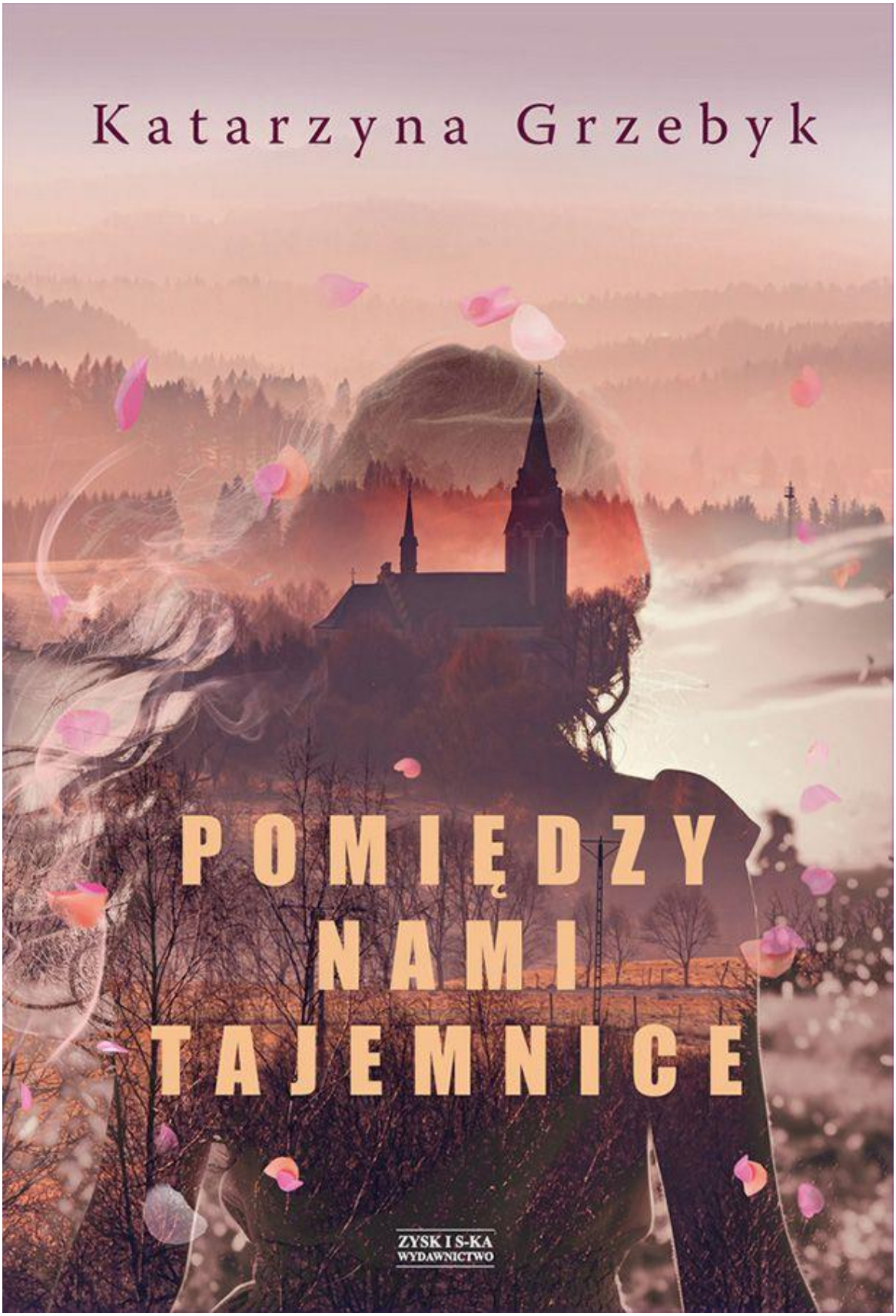
Katarzyna Grzebyk
POMIĘDZY NAMI TAJEMNICE
ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Katarzyna Grzebyk

POMIĘDZY NAMI TAJEMNICE

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Katarzyna Grzebyk
Pomiędzy nami tajemnice

ISBN 978-83-8335-227-5

Copyright © by Katarzyna Grzebyk, 2024
All rights reserved

Redaktor
Anna Szymczak

Projekt okładki i stron tytułowych
Paulina Radomska-Skierkowska

Projekt typograficzny i łamanie
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Lepiej, by zraniła cię prawda,
niż pocieszyło kłamstwo.

Khaled Hosseini, *Chłopiec z latawcem*

Istnieją dwa błędy, które można popełnić
na drodze do prawdy:
nie iść do końca i odchodzić od niej.

Budda

I. Nowy Jork

Ben, obudź się, hej! — Anne nerwowo szarpnęła męża za ramię, przerywając mu stały rytuał chrapania. Na początku ją to denerwowało, ale z czasem przywykła, a kiedy Ben zaczął mieć problemy ze zdrowiem, nocne chrapanie utwierdzało ją w przekonaniu, że mąż nadal żyje, bo skoro chrapie, to musi mieć się dobrze. Zawsze gdy miała ochotę zwrócić mu na to uwagę, przywoływała się do porządku, tłumacząc sobie, że chrapanie może jakoś znieść, ale codzienności bez Bena już nie.

Ben przekręcił się na drugi bok. Chrapanie, owszem, ustało, jednak mężczyzna nie zamierzał wstawać. Potrząsnęła jego ramieniem.

— Anne, jest pierwsza w nocy, na Boga. Czemu mnie budzisz? — wymamrotał, spoglądając na budzik, który migotał na zielono w mroku. Gęstą ciemność w ich apartamencie zapewniały grube rolety. Ale wystarczyło je podciągnąć, żeby się przekonać, że Nowy Jork nie śpi. Jak zwykle o tej porze po ulicach niósł się gwar. Kiedyś sami oboje chętnie zanurzali się w nim i korzystali z uroków nocnego życia ukochanego miasta, ale od kilku lat konsekwentnie wybierali ciszę i spokój swojego domu.

Wczoraj spędził na nogach blisko czternaście godzin. Ekipa filmowa realizowała kluczowe sceny do najnowszego filmu dokumentalnego, którego był producentem, pomysłodawcą i reżyserem. Wrócił do domu późnym wieczorem skrajnie wyczerpany. Niedawno skończył siedemdziesiąt lat i miał pełne prawo, by po intensywnym dniu odczuwać zmęczenie. Choć dbał o siebie, pilnował zbilansowanej diety i zdrowego trybu życia, to gdy stuknęło mu sześćdziesiąt pięć lat, przyłapał się na myśli, że się starzeje i nic nie jest w stanie tego zatrzymać. Nawet poranny jogging, który uprawiał niemal od zawsze. Wczorajsze zmęczenie szło jednak w parze ze sporą satysfakcją, bo realizacja filmu dobiegała końca. Mógł czuć się dumny. Na planie nie mieli ani jednego dnia opóźnienia, budżet nie został przekroczony nawet o centa, aktorzy nie żądali podwyżek, a montażyści już zaczęli realizować swoją część zadania. W branży filmowej zdarzało się to niezwykle rzadko. Właściwie nigdy — poza produkcjami, za którymi stał Ben Davies.

Wiązał z tym filmem duże nadzieje. Po cichu liczył, że po dwudziestu latach od sukcesu „Firefighters", serialu dokumentalnego o strażakach z World Trade Center, zrealizuje coś, co przyćmi tamten triumf. Czuł się zaszufladkowany, bo wszyscy kojarzyli jego nazwisko z tamtym filmem. Wciąż był postrzegany jako twórca słynnego „Firefighters", choć jego dorobek obfitował także w inne cenione produkcje, obsypywane nagrodami i pochlebnymi recenzjami. Właściwie w tym wieku i z taką pozycją w branży nie musiał już niczego i nikomu udowadniać, ale w głębi duszy coś nie dawało mu spokoju. Czuł, że powinien zrobić coś jeszcze. Opowiedzieć kolejną fascynującą historię. Jego najnowsze przedsięwzięcie dawało duże nadzieje, że zepchnie dokument o strażakach na drugie miejsce podium.

Anne popatrzyła na niego z czułością. Wciąż był taki przystojny. Pogłaskała go po policzku.

— Ben, wstań wreszcie, muszę ci coś pokazać — ponagliła go.

— Moja droga, czy to naprawdę nie może poczekać do jutra? — marudził.

— Nie, Ben, nie może. — jej głos był zdecydowany. — A poza tym mamy już jutro. — Ruchem głowy skinęła na zegarek. Było dwie minuty po pierwszej.

Włożyła jasnoniebieski satynowy szlafrok i usiadła na łóżku, opierając się o miękki zagłówek. Zapaliła nocną lampkę i podsunęła mężowi okulary.

— Załóż je — poleciła.

Ben przeciągnął się i z niechęcią założył na nos okulary. Zmrużył oczy. Próbował coś zobaczyć, ale zanim jego wzrok przyzwyczaił się do jasnego światła, minęła dłuższa chwila. Po kilkunastu sekundach dostrzegł twarz żony. Anne nawet o pierwszej w nocy prezentowała się nienagannie. Była o dekadę młodsza, filigranowa, eteryczna. Od lat farbowała włosy na kasztanowy kolor, bo nie akceptowała u siebie siwizny. Dużo uwagi poświęcała urodzie, ale z rozmysłem. W przeciwieństwie do znanych mu aktorek i innych gwiazd show-biznesu nie korzystała z inwazyjnych zabiegów medycyny estetycznej. Nie eksperymentowała. Nie goniła za przemijającą młodością. Mimo to nawet bez makijażu wyglądała atrakcyjnie, podczas gdy wiele młodszych od niej kobiet z ich środowiska nie pokazywało się publicznie bez wcześniejszej pomocy makijażystki czy fryzjerki.

W takiej właśnie Anne zakochał się po przyjeździe do USA. W drobnej, roześmianej dziewczynie, która podała mu smakowite bajgle z łososiem w modnej restauracji Russ&Daughters i dorzuciła do zamówienia promienny uśmiech. Obdarzony takim prezentem Ben od razu poczuł się w Nowym Jorku jak w domu, choć wylądował tu zaledwie kilka dni wcześniej. Kto wie, czy gdyby nie spotkał jej tego dnia, zostałby w Nowym Jorku na dłużej. Dla niego Anne nie zmieniła się od tamtej chwili w restauracji.

Teraz nerwowo scrollowała swoje social media. Czegoś szukała. Jej dłonie drżały.

— Czekaj jeszcze moment — powiedziała.

Zaspany Ben usadowił się obok niej i objął ją ramieniem.

— Obudź mnie, jak już znajdziesz ten ważny powód, dla którego przerywasz mój najlepszy sen o pierwszej w nocy — powiedział lekko zniecierpliwiony, obracając w palcach złoty łańcuszek. — Zasypiam. — Ziewnął i położył głowę na jej barku. Pachniała balsamem kokosowym.

— Jeszcze chwilę. — Anne gorączkowała się, jakby szukała złota. — Już mam. Popatrz — dodała ściszonym głosem, choć w ich apartamencie poza nimi nie było nikogo. Zachowywała się jakoś dziwnie.

Ben pomrugał. Anne przeglądała Facebooka. Gdy podsunęła mu smartfon przed oczy, zobaczył wiadomość. Szybko obiegł spojrzeniem linijki. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Włożył palce pod okulary i przetarł powieki. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczył.

— Co to jest? Anne, skąd to masz? — Wyrwał jej smartfon z dłoni, żeby przyjrzeć się dokładniej.

— Marcie przesłała mi dziś wieczorem — wyjaśniła. — Wiesz, jaka jest Marcie. Wie wszystko, co dzieje się w Hollywood. Kiedyś serwisy plotkarskie przez nią zbankrutują. Pisze do mnie cały czas i o wszystkim. Czasem nawet nie czytam tych wiadomości. Tę wysłała mi trzy razy, bo widziała, że nie reaguję.

Anne wbijała w niego spojrzenie, próbując rozgryźć jego reakcję.

Ben poprawił okulary i zapalił dużą lampę, żeby ekran wyświetlacza go nie raził. Przeczytał wiadomość kilkakrotnie. Za każdym razem serce biło mu szybciej. Żona obserwowała go z niepokojem.

— I co teraz? — spytała Anne tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

— Nic. — Ben oddał jej smartfon, zdjął okulary i wsunął się pod kołdrę.

— Jak to nic? — Anne była skonsternowana, ale nie zamierzała się poddać. — Ben, nie możesz tak…

— Mogę — stwierdził stanowczo. — A teraz daj mi spokój. Jestem śpiący i muszę się wyspać, bo jutro od rana pracuję.

— Ale, Ben… Przecież nie możemy tego tak zostawić — protestowała.

— Pozwól, że sam o tym zadecyduję. To dotyczy tylko mnie — skwitował. — A ty spróbuj zasnąć. Ja też chcę odpocząć.

— Jak możesz zasnąć po tym wszystkim? — Anne była zbulwersowana.

— Mogę. Dobranoc. — Nachylił się, by pocałować ją w policzek, po czym odwrócił się do ściany.

— Dobranoc. — Anne skapitulowała.

Wbrew temu, co powiedział żonie, nie mógł zasnąć. Przed oczami wciąż migały mu przeczytane słowa. Przypomniały mu dawno wymazaną z pamięci historię i w ciągu kilku sekund zburzyły budowaną przez lata harmonię. Pod powiekami czuł piasek. Anne przytuliła się do niego.

— Zrobisz, jak uważasz — szepnęła. — Do niczego nie będę cię namawiać. To twoja decyzja. Jakkolwiek postąpisz, będę cię wspierać.

Ben leżał w pozycji embrionalnej i bezwiednie obracał w palcach zawieszkę na ulubionym naszyjniku, rozmyślając o swoim życiu, które nie zawsze było pasmem szczęścia i sukcesów. Leżał tak, aż zdrętwiało mu przedramię i musiał zmienić pozycję. Lekki sen nadszedł dopiero o czwartej nad ranem.

Anne nie spała wcale, choć naciągnęła na oczy opaskę. Nasłuchiwała, czy mąż zaśnie tak mocno, aż zacznie chrapać. Bez skutku. O szóstej rano poddała się, ściągnęła z oczu opaskę, włożyła szlafrok, a potem na palcach wymknęła się z sypialni i poszła zaparzyć China Jade Jasmin Pearls, zieloną herbatę jaśminową, ulubioną herbatę Bena, produkowaną od setek lat tą samą tradycyjną metodą. Od kilkunastu lat od tego zdrowego i aromatycznego napoju rozpoczynali każdy poranek.

Wcisnęła przycisk pilota, aby odsunąć rolety w kuchni i popatrzeć na budzące się miasto. Wschodzące nad East River słońce rozpoczynało swój poranny rytuał, na niebie mieniły się odcienie fioletu, różu, żółci i pomarańczy. Promienie zaczęły spowijać majestatyczny most Brookliński. Anne oglądała ten spektakl barw niemal codziennie. Za każdym razem patrzyła na niego z zachwytem, dziękując Opatrzności za to, że dostała od życia więcej, niż oczekiwała.

Kiedy herbata trochę ostygła, poszła do sypialni obudzić męża.

— Ben, pora wstawać. Przecież nie będą na ciebie czekać — powiedziała i wcisnęła kolejny przycisk pilota. Promienie wschodzącego słońca zalały skąpaną w ciemności sypialnię.

Wyczuł pretensję w jej głosie. Tak jakby to on był winny temu, że w nocy żadne z nich nie zmrużyło oka. Niechętnie podniósł się z łóżka, przeciągnął i poszedł do łazienki. Zanurzył dłonie i twarz w lodowatej wodzie.

Kiedy wyszedł odświeżony, Anne podała mu filiżankę herbaty.

— Witaj, kochanie — szepnął do ucha żonie i pocałował ją w szyję. — Wyborna jak zawsze — powiedział, opróżniając naczynie. — Spotkamy się na lunchu?

Anne patrzyła na niego zdziwiona. Zachowywał się tak, jakby ich nocna rozmowa się nie odbyła albo wziął ją za sen. Westchnęła i zapytała:

— Gdzie?

— Russ&Daughters. — Mrugnął do niej. — O trzynastej?

Uśmiechnęła się. Świętowali tam każdą rocznicę związku, choć spokojnie mogli sobie pozwolić na droższy lokal. Dziś żadnej rocznicy nie było, więc wpatrywała się w niego z zaskoczeniem.

— Ale… dlaczego?

— Bo cię kocham — powiedział, wychodząc z mieszkania. Czekał na niego plan filmowy.

II. Kiedyś

Ciężkie od granatu chmury powoli ustępowały przebłyskom słońca, które od dłuższego czasu próbowało przedostać się na pierwszy plan. Gdzieniegdzie spadały jeszcze grube krople deszczu, a z daleka było słychać grzmoty, ale pojedynek zaczynało wygrywać słońce. Nie padało zbyt gwałtownie, więc drogi i pola nie zamieniły się w błoto jak niedawno, bo ledwie miesiąc temu, gdy po ponadtygodniowych opadach ciężko było wyjść z domu, żeby nie ugrzęznąć w mazistej brei. Z każdą chwilą robiło się cieplej i coraz mocniej pachniały bzy przy okolicznych domach. Trudno było uwierzyć, że kilkanaście minut wcześniej potężne błyskawice rozdzierały niebo, a siła grzmotów przyprawiała o drżenie serca. Teraz okolica tonęła w południowym słońcu, a na niebie pojawiła się dawno niewidziana tęcza.

W kościele na lekkim wzniesieniu w centrum wsi zaczęły bić dzwony. Burza nie oszczędziła tłumu ludzi zgromadzonych wokół świątyni. Ci, którzy mieli ze sobą parasole, jakoś przetrwali nawałnicę. Reszta była zupełnie zmoczona, więc próbowała ogrzać się w majowym słońcu.

Do dzwonów dołączyła melodia żałobna i popłynęły słowa kościelnej pieśni. Tłum rozstąpił się, by zrobić miejsce u wrót kościoła. Zaraz potem w drzwiach pojawił się zgarbiony człowiek w białej komży, który niósł prosty drewniany krzyż. Tuż za nim wyszło dwóch mężczyzn z małą sosnową trumienką na ramionach. Gdy przekroczyli próg świątyni, ze środka zaczęli wychodzić kolejni mężczyźni niosący małe trumienki. Trumny nie mogły być dużym balastem, jednak ramiona mężczyzn wyraźnie uginały się pod ich ciężarem.

Kondukt pogrzebowy poruszał się wolno i zdawał się nie mieć końca. Choć kościelny z krzyżem dotarł już do cmentarza i stanął przed prowizoryczną drewnianą bramą, z kościoła nadal wynoszono trumny. Tym razem większe. Każdą z nich dźwigało czterech mężczyzn. Kiedy ze świątyni wyniesiono ostatnią trumnę, mężczyźni zajęli się wynoszeniem tych, które leżały złożone w równym rzędzie tuż przed wejściem, gdyż w środku nie było już na nie miejsca. Potem z kościoła wyszedł ksiądz i ministranci, a za nim pozostali uczestnicy ceremonii. Były to głównie kobiety, bo niemal wszyscy mężczyźni i starsi chłopcy nieśli trumny. Do żałobnej pieśni dołączyły przejmujące lamenty, szlochy i jęk. Smutny czarny orszak podążał w stronę miejsca ostatniego spoczynku trumien, gdzie już czekało kilku mężczyzn z łopatami i sznurami. Byli to pomocnicy grabarza. Przed nimi wykopanie kilkudziesięciu mogił.

Kondukt poruszał się jak w transie. Słowa żałobnej pieśni stawały się coraz bardziej niezrozumiałe. Poza organistą i księdzem, który jakby na przekór reszcie szedł z podniesioną głową, szukając na majowym niebie odpowiedzi na nieszczęście, nie miał kto śpiewać. Kobiety zawodziły, ich płacz przypominał raczej jęki konających zwierząt. Większość ludzi trzymała się nawzajem pod ręce, próbując iść naprzód. Gdy przechodzili obok zgliszczy remizy, szloch kobiet przybrał na sile.

Wtem ze zwartego czarnego orszaku wyskoczyła kilkuletnia dziewczynka w granatowej sukience i z dwoma złotymi warkoczykami. Po okrągłej rumianej buzi gęsto płynęły łzy. Wyszarpnęła się rozpaczającej matce i pobiegła w stronę sklepu, który stał na drodze żałobników. Usiadła na ławce, żeby odpocząć. Wciąż trzęsła się od płaczu. Skrzyżowała nogi w kostkach i pochlipywała, wycierając buzię w sukienkę. Matka nawet nie zauważyła, że mała się oddaliła. Żałobnicy pochłonięci cierpieniem też nie zwrócili na nią uwagi, co chyba sprawiło dziecku dodatkowy ból. Dziewczynka wstała i z całej siły kopnęła drewnianą ławkę, jakby chciała dać upust emocjom. A potem jeszcze raz. Poczuła piekący ból. Przykucnęła, by

rozmasować obolałą stopę, i wtedy jej uwagę zwrócił kawałek czerwonego materiału w białe kwiatki wystający spod ławki. Wyciągnęła go spomiędzy drzazg i schowała w dłoni. Mały kawałek koloru wywołał lekki uśmiech. Dziewczynka pomyślała, że zrobi z niego fartuszek dla swojej jedynej lalki. Niedbale otarła buzię i pokornie wróciła w szeregi konduktu. W kieszeni sukienki cały czas ściskała miękką szmatkę. Wolała nie pokazywać jej matce, zresztą ona pewnie nie zwróciłaby na znalezisko uwagi. Mała chwyciła ją za lodowatą dłoń i posłusznie ruszyła za nią, ale na przekór matce starała się nie ominąć żadnej kałuży.

Na cmentarzu panował ścisk. Tłoczyli się już tam dziennikarze, fotografowie i kamerzyści, którzy zjechali tu z wielu redakcji. Wszyscy chcieli uwiecznić tragedię, która wstrząsnęła nie tylko całą wioską, ale i województwem.

Część orszaku w ogóle nie weszła na teren cmentarza, bo trumny zajmowały wiele miejsca.

Ksiądz zdjął wełniany biret i rozpoczął modlitwy poprzedzające złożenie zmarłych do grobów.

— Zebraliśmy się tutaj, aby odprowadzić nasze córki i synów, naszych ojców i matki, naszych braci i siostry i towarzyszyć im w ostatniej ziemskiej wędrówce — zaczął proboszcz, wzmagając szloch uczestników pogrzebu. — Nie płaczcie, moje dzieci — ksiądz popatrzył po zgromadzonych — lecz módlcie się za swoich bliskich, bo opuścili nas nagle, bez spowiedzi, bez rozgrzeszenia i ostatniego namaszczenia. Zginęli tragicznie, więc wierzmy, że dobry Bóg okaże im swoje miłosierdzie i odpuści im grzechy, jakich dopuścili się na tym łez padole. To oni — wskazał na leżące wokół trumny i trumienki — potrzebują nas bardziej niż my ich. Dlatego módlmy się! Módlmy się za ich życie wieczne, za to, aby Bóg dopuścił ich przed swe łaskawe oblicze i wybaczył im krzywdy, jeśli takie komuś wyrządzili. Prośmy dobrego Boga o wybaczenie im grzechów. Niech światłość wiekuista im świeci!

Ksiądz zaintonował modlitwę *Anioł Pański*. Niebo rozpogodziło się zupełnie, otulając żałobników ciepłymi promieniami słońca. Ceremonia dłużyła się, jednak nikt nie liczył czasu. Nawet gdy trumny spoczęły w ziemi, zgromadzeni nie rozeszli się szybko, jakby chcieli wydłużyć te ostatnie chwile spędzone z bliskimi.

— Mówię ci, Maryś, że to kara za nasze grzechy. By nas tak nie pokarał, gdybyśmy żyli, jak przykazał — płakała sklepowa Józka, trzymając pod rękę Marię Krowiakową, gdy po zakończonych uroczystościach schodziły z cmentarza wyboistą drogą, omijając kałuże. — Chłopy piją i biją. A baby? Też mają swoje na sumieniu. I Bóg pokazał swoją sprawiedliwość. Tyle dzieci pomarło…

Krowiakowa słuchała jej nieuważnie, bo przed oczami wciąż miała twarze dzieci, których ciała w trumienkach pokryła dziś ziemia. Okrągłą buzię Malwinki z dołeczkami w policzkach już w chwili narodzin, zadarty nos Zosi od Kawalców zza rzeki, Jaśka, co przyszedł na świat o miesiąc za wcześnie i długo nie mógł dogonić w dorastaniu rówieśników. Rudowłosą i piegowatą Anielkę o cerze tak delikatnej, że nie mogła wystawiać jej dłużej na słońce. Stasię z brązowym znamieniem pod lewym okiem. Wszystkim pomogła przyjść na świat i nigdy by nie pomyślała, że ich przeżyje. Pamiętała każde z nich, każdy pierwszy krzyk i pierwsze przystawianie do piersi matek.

— Nie gadaj głupot, Józka — skarciła ją. — To był straszny wypadek, a nie kara za grzechy.

— Ja tam swoje wiem. — Józka nie dała się przekonać. — Czy ktoś z twoich albo moich zginął? Nie. I powiem ci dlaczego. Dlatego, że my żyjemy przykładnie i po bożemu. Ja tam wiem, kto poszedł na zatracenie.

Sklepowa zaczęła jej opowiadać, jak wyglądała zza lady, by zobaczyć, kogo najbardziej

ciągnęło do kina objazdowego. Jej zdaniem pierwsi w kolejce ustawili się ci, którzy nie chodzili do kościoła. Co gorsza, jeszcze pozowali do zdjęć, by mieć pamiątkę z tej rozrywki. Twierdziła, że filmy pokazywane w takich kinach są pełne gorszących scen i szerzą rozpustę. To nic innego, jak wymysł szatana, mówiła.

Maria Krowiakowa popatrzyła na sklepową lekceważąco. Sama całe życie spędziła na wsi. Tylko jeden jedyny raz była w pobliskim mieście. Zszokowało ją tam wszystko: widok kobiet śmiało paradujących w spódnicach odsłaniających łydki czy ostentacyjnie palących papierosy. Mimo to stwierdziła, że jej umysł jest jednak bardziej otwarty niż kołtuński i prowincjonalny sposób myślenia sklepowej, która chwaliła się, że w niejednym mieście była i niejedno już widziała.

— A dzieci? Przecież one niczemu nie były winne — obruszyła się.

— To ofiary za grzechy rodziców — oznajmiła Józka.

Krowiakowa postanowiła nie dyskutować z Józką, która we wsi uchodziła za największą plotkarę. Przemilczała jej wywody i skupiła się na przyglądaniu żałobnikom tłumnie opuszczającym cmentarz. Jej uwagę zwróciła mała dziewczynka w granatowej sukience. Szła posłusznie za matką, która raz po raz ocierała oczy chusteczką, nie zwracając uwagi na dziecko. Kobieta musiała stracić kogoś bliskiego, bo nie mogła opanować spazmów i co chwila zatrzymywały się przy niej osoby, które składały jej kondolencje. Mała bez skutku próbowała zwrócić na siebie uwagę. Wyjęła z kieszeni kawałek czerwonej szmatki i usiłowała zrobić z niej chorągiewkę kołyszącą się na wietrze.

Krowiakowa przyspieszyła kroku, chcąc przyjrzeć się małej. Musiała pochodzić z którejś z dalszych wiosek, bo twarze dziecka i matki były jej zupełnie obce. Na pewno nie pomagała dziewczynce przyjść na świat.

— Wolniej, Maryś, ja nie nadążę za tobą — sapała Józka, której spora nadwaga utrudniała ruchy. — Powiem ci jeszcze, że…

Maria Krowiakowa już nie słuchała wywodów Józki. Patrzyła, jak śliczna, złotowłosa dziewczynka wymachuje kawałkiem czerwonego materiału w białe kwiatki.

Dziwne, pomyślała Krowiakowa.

Już kiedyś widziała coś takiego. Dawno, dawno temu. Na pewno przed wojną. Teraz trudno było o jakąś ładną kolorową tkaninę. Z wysiłkiem szperała w pamięci. Z kim ten materiał mógł jej się kojarzyć? Miała pustkę w głowie.

Co to było? Chusta? Spódnica? Sukienka?

— Mamo, mamo! — Dziewczynka ciągnęła matkę za rękę. — Zrobię Kasi fartuszek. Zobacz, co mam.

Matka, jakby wyrwana ze snu, odwróciła się i kiwnęła głową.

— Ładne — przyznała, nie patrząc na materiał, który jej córka przeznaczała dla lalki.

Obie w końcu poszły w swoją stronę, ale Krowiakowa stała chwilę i zastanawiała się, gdzie mogła widzieć te biały kwiaty na czerwonym tle.

Wreszcie machnęła ręką i dała się wciągnąć Józce w gadaninę o niemoralnym prowadzeniu się paru dziewczyn we wsi.

III. Teraz

Marcelina była wyjątkowo poirytowana. Stwierdziła, że powinna być bardziej stanowcza i skuteczniej forsować swoje zdanie, zamiast zgadzać się na coś, na co nie miała ochoty. Zarzucała sobie brak asertywności. Co więcej, kiedy przeanalizowała swój związek z Łukaszem, wyszło na to, że ukochany zwyczajnie wykorzystywał jej słabość do przyznawania mu racji. Zastanawiała się, dlaczego wcześniej tego nie zauważyła. Uznała, że tym razem musi mu odmówić. Podać argumenty za i przeciw i udowodnić, iż ten jego doskonały plan się nie powiedzie. Nie czuła tematu i nie widziała sensu w publikacji takiego materiału. Uważała, że nie nadaje się do tego zadania i nie ma umiejętności ani ochoty, by zastępować go w pracy. Zdawała sobie sprawę, że rozmowa z chłopakiem nie będzie należała do łatwych, ale musi postawić na swoim. Tym razem powiem pas, obiecała sobie, choć te słowa nawet dla niej nie brzmiały przekonująco.

Wkrótce jej urodziny. Była przekonana, że spędzą je razem. Od dwóch lat majowe weekendy spędzali wspólnie, przeważnie na jakimś wyjeździe do ciepłego kraju, gdzie ładowali baterie na kolejne miesiące harówki. Żałowała, że w tym roku będzie inaczej, bo Łukasz podjął decyzję, nie pytając jej o zdanie.

Dopisała jeszcze kilka zdań, zapisała plik i zamknęła laptop. Była już mocno zmęczona. Pociągnęła spory łyk chłodnej kawy, choć zegar podpowiadał, że lepszym rozwiązaniem będzie kubek gorącej herbaty niż kolejna porcja kofeiny. Obok na biurku leżały gazety i magazyny sportowe, które zostawił jej Łukasz. Nawet ich nie ruszyła. Mieli się spotkać wieczorem i omówić ostatnie sprawy przed jego wyjazdem. Był spakowany i podekscytowany wyprawą. Marcelina jakoś nie podzielała jego entuzjazmu, chociaż jeszcze tydzień temu była przekonana, że są jak dwie połówki pomarańczy: nie potrafią bez siebie żyć. Tym razem nie umiała cieszyć się jego szczęściem ani przyznać sama przed sobą, że trochę mu zazdrości.

Łukasz otrzymał zagraniczne stypendium dla dziennikarzy i prezenterów sportowych. Wkrótce miał wyjechać na kilka tygodni do Hiszpanii, by stamtąd relacjonować zmagania drużyn na Mistrzostwach Europy w Piłce Nożnej Juniorów i przeprowadzać rozmowy z osobistościami wpływowymi w świecie futbolu. Jego relacje miały spore szanse, by ukazać się w popularnych zagranicznych portalach i magazynach sportowych. Świetnie władał angielskim i nie miał oporów, by występować przed kamerą, choć dla niego — dziennikarza prasowego — było to nowością. Wszyscy w redakcji uważali, że to spore wyróżnienie, i wróżyli mu większą karierę. Nawet szefostwo, które musiało liczyć się z faktem, iż Łukasz mógłby nie wrócić za swoje biurko w warszawskim newsroomie, chyba rzeczywiście cieszyło się z jego wyjazdu.

Najmniej zadowolona była Marcelina. Wyjazd Łukasza wiązał się dla niej nie tylko z samotnością. Marcelina została obarczona niektórymi zadaniami zawodowymi swojego chłopaka, podobnie jak większość kolegów i koleżanek z redakcji. Nie lubiła sportu, więc jak miała o nim pisać? Dodatkowa praca, którą niechętnie zgodziła się wykonać, wiązała się z nieplanowanym wyjazdem i brakiem urlopu. Postanowiła powiedzieć, że przemyślała sprawę i nie podejmie się realizacji jego zaległych spraw. Definitywnie. Niech szuka pomocy u kolegów z działu. Jakoś sobie poradzi. A rozstanie? Cóż, mała, kilkutygodniowa przerwa od siebie powinna im dobrze zrobić.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Za godzinę mieli się spotkać na kolacji w Orchidei, restauracji na drugim końcu miasta. Wybrał jeden z bardziej eleganckich i popularnych lokali, gdzie trzeba było odpowiednio wcześniej rezerwować stolik.

Łukasz kilka razy wysłał jej wiadomość z prośbą, żeby się nie spóźniła, co było w jej zwyczaju. Wzięła szybki prysznic, włożyła pierwszą lepszą sukienkę i wsunęła stopy w szpilki. Nawet się nie starała, żeby wyglądać ładnie. W pośpiechu zamknęła mieszkanie i wybiegła do czekającej na ulicy taksówki. Podróż zajęła kilkanaście minut.

Kiedy dotarła na miejsce, Orchidea tętniła życiem. W środku było już dość tłoczno jak na wtorkowy wieczór. Stała przed przeszklonymi ścianami restauracji, bezskutecznie rozglądając się za Łukaszem. Tuż przed nią, za szybą, kolację jadło eleganckie starsze małżeństwo. Patrzyła na nich z zazdrością, bo spoglądali na siebie jak nastolatkowie. Do stolików po lewej kelnerzy właśnie donosili talerze, zręcznie balansując pomiędzy białym fortepianem i grającą na nim młodą dziewczyną. Po prawej czekała na zamówienie rodzina z trójką nastolatków beznamiętnie wpatrzonych w smartfony, a tuż za nimi toast wznosiła grupa roześmianych koleżanek. Dziewczyny w jednej ręce trzymały drinki, w drugiej smartfony i na bieżąco relacjonowały spotkanie. Kiedy jedna z nich odchyliła lekko głowę, patrząc w lewo, reszta szybko powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem. Marcelina też.

Dopiero wtedy go zauważyła. Siedział pod ścianą przy stoliku, który wręcz tonął w kwiatach i był bardziej okazale przystrojony od innych. To w niego wpatrywały się te dziewczyny. Jednak bardziej zastanowił ją ten przystrojony stolik. Pomyślała, że Łukasz chce się efektownie pożegnać albo wynagrodzić jej w ten sposób zbliżające się urodziny, które spędzi bez niego. Przeszło jej też przez myśl, że rozmowa, jaką tak skrupulatnie planowała, może być trudniejsza, niż zakładała. Ważyła w myślach słowa, jakie za chwilę wypowie. Odmowa współpracy i propozycja „odpoczynku od siebie” na czas stażu mogła zaboleć Łukasza. Ją zresztą także.

Przez kilka sekund zastanawiała się, czy w ogóle wchodzić, czy może złapać taksówkę i chyłkiem wrócić do mieszkania, tłumacząc się potem bólem głowy. Jednak niepewnie weszła do środka i cicho przemknęła przez salę i gwar rozmów. Wyglądała niepozornie na tle eleganckich gości, starannie umalowanych i wystrojonych kobiet oraz gustownie ubranych mężczyzn. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Nawet dziewczyny, które jeszcze przed chwilą szturchały się łokciami na widok Łukasza, teraz siedziały z nosem w smartfonach.

Łukasz pochylony nad telefonem również jej nie zauważył, za to ona przyjrzała mu się dokładnie. Prezentował się nienagannie. Zauważyła nową marynarkę i koszulę oraz zmienioną fryzurę. Zarost też miał przycięty inaczej niż zwykle. Bardziej stylowo. Nie widzieli się dwa dni, a tyle się zmieniło.

— Cześć — szepnęła mu do ucha.

Właśnie kończył pisać jakąś wiadomość. Zerwał się z miejsca, by odsunąć jej krzesło.

— Pięknie wyglądasz, jak zwykle — powiedział, całując ją w policzek. Rozpoznał perfumy, które kupił Marcelinie na gwiazdkę.

Nie zareagowała. Doskonale wiedziała, że wcale nie wygląda dobrze. Noce spędzone przed monitorem ewidentnie nie służą urodzie, pomyślała z przekąsem.

— I nie spóźniłaś się — dodał.

— Widzisz, jeszcze potrafię cię zaskoczyć. — roześmiała się sztucznie.

Rzadko zjawiała się na czas. Znajomi wiedzieli, że zwykle trzeba na nią czekać. Łukasz nie lubił spóźniania się, ale nijak nie potrafił sprawić, by Marcelinie punktualność weszła w nawyk.

W Orchidei czuła się nieswojo. Dziś na kolację umówiło się tu z pół miasta. Przyglądając się bliżej sąsiednim stolikom, zauważyła kilka osób z pierwszych stron gazet i portali. Nie lubiła miejsc takich jak to, gdzie królowały blichtr i pozory. Łukasz z kolei bardzo lubił tu bywać. Wciąż ktoś do niego podchodził się przywitać albo pozdrawiał go z daleka uśmiechem.

Marcelina poczuła się jak ubogi krewny na wytwornej kolacji u bogatego wujka.

Próbowali rozmawiać, ale to się jakoś nie kleiło. Łukasz był lekko zdenerwowany, ona spięta. Gawędzili o czymś tam, jakby udając, że on jutro nie wyjeżdża, na długie chwile zapadała niezręczna cisza. Marcelina skubała wargę i zwlekała z podjęciem niewygodnego tematu. Łukasza też coś gryzło, bo jego sportowy luz gdzieś się ulotnił na rzecz nieznanej dotąd mu tremy. Zjedli smaczną kolację, po czym Łukasz nagle wstał, klęknął przed Marceliną i wyciągnął z kieszeni małe czerwone pudełko. W środku połyskiwał pierścionek z białego złota, wysadzany drobnymi szafirami. Patrzyła to na niego, to na pudełko, nic nie rozumiejąc. Chciała uciec do łazienki, ale nie miała siły, by się podnieść.

— Kocham cię. Zostaniesz moją żoną? — zapytał. Był przy tym tak uroczy, że Marcelina nagle stała się zupełnie bezradna. Poczuła, jak sztywnieje jej kark, a głos więźnie w gardle. — Nie dosłyszałem odpowiedzi. — uśmiechnął się, ale głos mu drżał. — Zostaniesz moją żoną?

Monolog, który Marcelina tak starannie przygotowywała od rana, rozsypał się w drobny mak.

— Tak. Tak — powtórzyła, jakby chciała się upewnić. Jeszcze pół godziny temu miała mu zaproponować przerwę w związku. Dla dobra ich obojga, tak jej się wydawało.

Łukasz odetchnął z ulgą. Goście przy sąsiednich stolikach bili brawo i gratulowali. Kelner wyrósł jak spod ziemi z butelką szampana. Łukasz sięgnął po jej drobną dłoń. Zawstydziła się. Paznokcie miała krótkie i podniszczone od pisania na klawiaturze, a na porządny manicure nigdy nie starczyło czasu. Założył pierścionek. Pasował idealnie. Dłoń miała lodowatą. Łukasz podziękował wszystkim na sali za „doping", chwaląc się: „poznajcie moją piękną narzeczoną". Potem wznieśli toast. Kiedy w Orchidei ucichło, a na pierwszy plan znów wysunęła się melodia płynąca z fortepianu, usiedli.

— Jakoś nie widzę, żebyś się specjalnie cieszyła — stwierdził. — Nie podoba ci się czy chodzi o coś innego?

— Jest piękny — przyznała. — Zapamiętałeś. Dziękuję. Naprawdę mi się podoba.

Kilka miesięcy wcześniej zobaczyła podobny u jubilera, gdy kupowali kolczyki dla koleżanki, która odchodziła z pracy. Pierścionek przykuł jej uwagę, a Łukasz zapytał, czy jest w jej guście. W tamtej chwili nawet do głowy jej nie przyszło, że mógłby myśleć o zaręczynach. Ich tryb życia nie przewidywał formalizowania związku. Ani on, ani ona nie czuli takiej potrzeby. Byli ze sobą i tylko to się dla nich liczyło. Nie snuli planów na przyszłość ani nie rozpamiętywali przeszłości. Żyli z dnia na dzień podobnie jak większość ich znajomych. Dziś zaskoczył ją jak nigdy wcześniej.

Marcelina nerwowo splotła dłonie na kolanach. Spoglądała na Łukasza podejrzliwie.

— Wiem, jak nie lubisz niespodzianek, ale jednak oświadczyny to oświadczyny i nie chciałem pytać cię o zgodę, czy mogę to zrobić. — roześmiał się.

— Rzadko mnie pytasz o zgodę — odparła poważnie, obracając pierścionek na palcu.

— Nie pytam, bo chyba zgadzamy się we wszystkim.

Przytaknęła. Kelner dolał szampana. Wypiła do dna, mimo że nie znosiła alkoholu.

— Pisałaś, że musimy jeszcze o czymś porozmawiać przed moim wyjazdem. To coś ważnego? — przypomniał sobie.

Postanowiła nie psuć atmosfery, która wraz z kolejnym łykiem szampana coraz bardziej jej odpowiadała.

— Nie, już sobie poradziłam. Drobiazg — skłamała. — Nie ma o czym mówić.

— Jesteś pewna? — dopytywał.

— Tak — skłamała ponownie.

Łukasz wziął jej prawą dłoń i schował w swoich rękach. Nadal była zimna. Delikatnie ją

głaskał, aż zrobiła się cieplejsza, a potem pocałował. Jakie to staroświeckie i sentymentalne, pomyślała. Zupełnie nie pasuje do nowoczesnego Łukasza.

— Dziękuję, że zawsze mogę na ciebie liczyć. Gdyby nie ty, nie mógłbym odbyć tego stażu. Nawet nie wiesz, jak dużo to dla mnie znaczy — mówił, patrząc jej w oczy. Czuła, że jest szczery. — Dziękuję, że wzięłaś tę robotę, ratujesz mi tyłek. Wiem, że sobie poradzisz, bo jesteś najlepsza. Nigdy się na tobie nie zawiodłem.

Chciała móc mu powiedzieć to samo. Cofnęła rękę, udając, że szuka czegoś w torebce.

Łukasz opowiadał, jak będą wyglądać jego najbliższe dni w Hiszpanii. Mówił coś o umówionych wywiadach ze sportowcami, o kursach trenerskich i lekcjach hiszpańskiego. Słuchała z umiarkowanym zainteresowaniem, uważnie obserwując bąbelki tryskające w kryształowym naczyniu.

Kelner znów napełnił kieliszek, a Marcelina chętnie go opróżniła, aż zakręciło jej się w głowie. Wciąż zerkała na pierścionek, przyznając w duchu, że jest przepiękny. Kiedy ziewnęła kolejny raz, Łukasz skończył przydługawą opowieść o kondycji polskich piłkarzy juniorów.

— Może masz ochotę na coś jeszcze? — dopytywał. — Szampana?

— Może atrakcji na dziś już wystarczy? Wypiłam zdecydowanie za dużo.

— Taka okazja może się nie powtórzyć — zażartował.

— Kto wie? — zrewanżowała się.

— Ja wiem, bo nie pozwolę na to, żeby ktoś poza mną prosił cię o rękę — powiedział poważnie.

— Na razie nie masz konkurencji.

— I tak niech pozostanie.

Zamówili tiramisu, ulubiony deser obojga, i skinął na kelnera. Nim zdążyła zaprotestować, kelner trzeci raz dolał szampana. Alkohol rozluźnił Marcelinę do tego stopnia, że do późnego wieczora śmiała się i żartowała z Łukaszem. Wydawało jej się, że dogadują się jak dawniej. Było już dobrze po dwudziestej drugiej, gdy uznali, że pora wracać do domu. O ósmej rano miał samolot.

Łukasz odwiózł ją do mieszkania. Nie protestowała, gdy stwierdził, że zostanie na noc, zwłaszcza iż mieli się rozstać na kilka, a może nawet kilkanaście tygodni. Pamiętała, jak szeptał jej, że jest szczęściarzem i że będzie za nią tęsknił. Zaniósł ją do łóżka na rękach, a potem zdjął sukienkę i zasypał pieszczotami.

Kiedy się obudziła, Łukasza już nie było. Długo zwlekała, zanim zdecydowała się podnieść z łóżka. Na biurku znalazła samoprzylepną kartkę i kilka w pośpiechu skreślonych słów: „Nie miałem serca Cię budzić. Zadzwonię, jak będę na miejscu. Pa”. Po wczorajszym szampanie bolała ją głowa. Czuła się koszmarnie, choć nie wiadomo, co było gorsze: szampan w dużej ilości czy wczorajszy brak odwagi. Wypiła zdecydowanie za dużo, co zwykle jej się nie zdarzało, choć okazja do świętowania była nie byle jaka. Wciąż nie dowierzała tym spontanicznym oświadczynom i nie mogła oswoić się ze statusem narzeczonej. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy Łukasz ma coś na sumieniu, skoro zdecydował się na tak radykalny krok.

Była na siebie zła, że nie porozmawiała z nim szczerze. Zamarzyła, by cofnąć się w czasie o kilka godzin i powiedzieć Łukaszowi wprost, że nie nadrobi jego zaległości, bo ma własne projekty, a im przyda się przerwa. Mogła to zrobić wczoraj i pozbyć się balastu, ale gest chłopaka kompletnie ją zaskoczył, a zaproponowanie od siebie akurat w momencie zaręczyn zdecydowanie byłoby nie na miejscu. Co więcej, finał wieczoru w łóżku bardzo jej się podobał. i o to najbardziej robiła sobie wyrzuty.

Teraz została w mieszkaniu sama z mętlikiem w głowie, bieżącą pracą oraz zadaniem, jakie miała wykonać za narzeczonego. Przypomniała sobie niedawną rozmowę z mamą, która

jasno wypowiedziała się w kwestii jej relacji z Łukaszem. W związku trzeba stawiać granice, nawet jeśli wydaje się nam, że jest to największa miłość. Marcelina nie dość, że tych granic nie stawiała, to jeszcze miała wątpliwości, czy ta miłość jest tą jedyną i największą. To był jej pierwszy poważny związek. Łukasz oczarował ją w mgnieniu oka. Poznali się pierwszego dnia jej pracy. Asystentka szefa wydawnictwa wprowadziła ją do newsroomu pełnego ludzi w różnym wieku, rzuciła zdawkowe „to wasza nowa koleżanka", obróciła się na pięcie i wróciła do swoich obowiązków. Zdezorientowana Marcelina miała rozpacz w oczach, gdy podszedł do niej wysoki, przystojny blondyn i wskazał biurko obok siebie.

— Jestem Łukasz, dział sportowy. Wygląda na to, że będziemy sąsiadami — uśmiechnął się. — Kawy?

— Chętnie. Marcelina. Dopiero zaczynam i na początku mam robić wszystko, choć nie wiem, co to dokładnie oznacza — odparła nieśmiało.

Od tamtej chwili niemal całe dnie w pracy spędzali razem. Łukasz pomógł jej odnaleźć się w nowej rzeczywistości i jako doświadczony kolega po fachu służył dobrą radą. Dzięki niemu prędko zaadaptowała się w nowym mieście i środowisku. Po kilku miesiącach zaczęli się spotykać ku zdumieniu reszty newsroomu, ale dla nich to było zupełnie naturalne, bo szybko stali się sobie bliscy. Dopiero potem dowiedziała się, że zanim ją poznał, długo leczył rany po poprzednim związku. Nie przeszkadzało jej to. Ona też miała swoją przeszłość.

Obróciła pierścionek na palcu i zaryzykowała stwierdzenie, że może wcale nie chce tej przerwy. Może zbytnio czepia się szczegółów i analizuje ich związek?

IV. Kiedyś

Kalman stał przed oknem i wpatrywał się w drobną sylwetkę żony pochyloną nad kołyską. Kiwała się rytmicznie, raz za razem składając pocałunek na czole leżącego maleństwa. Jej gęste czarne włosy, poprzetykane gdzieniegdzie srebrnymi kosmykami mocno lśniły w blasku południowego słońca. Gdy się pochylała, burza włosów wpadała do kołyski, więc raz po raz odgarniała je zdecydowanym ruchem, by nie drażniły dziecka.

Kiedy z jej ust popłynęły znane mu dźwięki kołysanki *Sztejt in feld a bejmele*1, przywarł do ściany i zamknął oczy. Miękki głos Estery i kojące słowa: „Na zielonych gałązkach śpią już słodko ptaszyny, matka śpiewa im: a-a-a, jaka cicha już noc, a-a…" przeniosły go wspomnieniem do rodzinnego domu, który tyle razy wypełniał się dźwiękami tej kołysanki. Rzadko pozwalał sobie na takie wycieczki w przeszłość, jednak ta melodia poruszyła w nim najczulsze struny. Uśmiechnął się. Na moment wróciło do niego uczucie dawnej beztroski, a zaraz po nim ponure przekonanie, że to, co było, jest dawno zamkniętym rozdziałem. Jeszcze mocniej wtulił się w nagrzaną ścianę domu, pokrytą drobnymi kroplami. Drewno oddawało wilgoć po zimie. Otarł policzek.

Po chwili Estera zamilkła. Kołysanka dobiegła końca, a wraz z nią zamyślenie Kalmana. Dziecko jeszcze popłakiwało, więc ostrożnie wyjęła je z kołyski, rozchyliła poły sukienki i przystawiła do piersi. Karmienie nie trwało długo. W drobnych piersiach młodej kobiety było niewiele pokarmu. Znów zaczęła śpiewać, licząc, że maluch, choć nadal głodny, jeszcze zaśnie. Gdy płacz wreszcie ustał, Kalman niemal bezszelestnie wsunął się do izby i przylgnął do żony.

— Byłem dziś we wsi. Mam dla ciebie niespodziankę — zaczął nieśmiało, żeby nie zbudzić dziecka. Wtulił się w jej bujne włosy i pochłaniał woń olejku różanego, jaki regularnie w nie wcierała. Potem wsunął jej w dłoń dwa kawałki papieru. — Jutro przyjeżdża kino objazdowe. Zapraszam cię na randkę — szepnął.

Estera ze zdumieniem przyglądała się biletom, a on wpatrywał się w jej błękitne oczy, szukając choćby cienia radości. Ujrzał jedynie lekki grymas, jaki przebiegł po jej twarzy. Wyczekiwał odpowiedzi, ale Estera milczała.

— Nie cieszysz się ani trochę? Przecież nigdy nie byłaś w kinie… Nie zdążyłaś przed… — Kalman zaczął robić żonie wyrzuty, ale Estera zamknęła mu usta pocałunkiem, nie dając dokończyć zdania.

— Oczywiście, że chcę — przyznała. — A Beniamin? Jest taki malutki. Ma dopiero miesiąc. Przecież go nie zabierzemy ze sobą. To nierozsądne.

— Poproszę Marcjannę, żeby się nim zaopiekowała. To nie będzie długi seans, a taka okazja nie powtórzy się szybko — przekonywał Kalman. — Blum jedzie do wsi wozem, weźmie nas. Szybciej będziemy na miejscu, a potem z powrotem w domu.

Estera wciąż milczała.

— To jak, zgadzasz się? Tak dawno nigdzie nie byliśmy razem. Proszę… — spróbował ponownie.

Skinęła głową. Zdawało mu się, że dostrzegł małe iskierki w jej oczach.

— Dziękuję — szepnął jej do ucha, po czym wyszedł z domu.

Obserwowała go, dopóki nie zniknął w lesie. Ponownie przystawiła syna do piersi i zaczęła nucić kołysankę. Od porodu upłynęło już sporo dni, a ona wciąż nie mogła się nadziwić, że to jej własne dziecko. Podziwiała miękkie, różowe ciało, mały, ale już wyrazisty nosek i intensywnie błękitne oczy. Czule gładziła czarne włosy okalające jego twarzyczkę zdumiona, że

taka mała istota może być tak doskonała. Kiedyś będzie przystojnym młodzieńcem. Dziewczęta będą się za nim oglądać.

— Meyn kind… Moje maleństwo. Cud od Boga. O ile Bóg w ogóle istnieje… — wyszeptała.

Po chwili zganiła się za tę myśl, która powracała do niej od wielu miesięcy. Choć zdarzało jej się wątpić w istnienie Opatrzności, to nie miała wątpliwości, że narodziny Beniamina były cudem. Jej wątłe, drobne ciało, wycieńczone niedożywieniem i rozmaitymi chorobami, nie byłoby w stanie utrzymać ciąży. Dlatego to, że wydała na świat zdrowe dziecko, wydawało jej się zagadką i darem od losu, który do tej pory skąpił jej dobra.

Poród był szybki. Kalman w ostatniej chwili zdążył przyprowadzić Bronisławę, by pomogła dziecku przyjść na świat. Młoda, bo zaledwie dwudziestoletnia akuszerka ledwie co odebrała poród Marcjanny i nawet nie zdążyła dobrze zająć się położnicą, gdy w sieni u Woźniaków pojawił się rozgorączkowany i przemoczony do suchej nitki Kalman, błagając o szybką pomoc. Biegli co sił w strugach majowego deszczu. Gdy dotarli do domu Salzmanów, dzieciak już pchał się na świat. Bronisława Krowiak, która fachu nauczyła się od matki i babki i od piętnastego roku życia pomagała odbierać porody, pierwszy raz widziała tak szybkie rozwiązanie. Myślała, że się nie uwinie z robotą. Nie upłynęło więcej niż dwie minuty, gdy noworodek głośno zapłakał.

— Zdrów jak rydz i przystojny jak tata. A po sąsiedzku będzie miał dziewczynę — oznajmiła przestraszonym rodzicom, zalotnie puszczając oko do Kalmana. Chłopiec miał to samo brunatne znamię, co jego ojciec. Tak samo jak u Kalmana znajdowało się tuż za płatkiem lewego ucha. — Jesteście jak dwie krople wody — szepnęła maluszkowi do ucha.

Estera leżała na łóżku wycieńczona i blada niczym prześcieradło, nie zdając sobie sprawy z tego, co właśnie się wydarzyło, a świeżo upieczony ojciec wyglądał jeszcze gorzej. Bronisława szybko uwinęła się z maleństwem, łożyskiem i Esterą, wydała Kalmanowi polecenia co do opieki nad matką i dzieckiem i pobiegła do Marcjanny, która po ciężkim i długim porodzie nadal potrzebowała jej pomocy. Nie miała już wiele siły, ale musiała się spieszyć, żeby zaparzyć młodej matce ziół. Zgrzana i przemoczona dotarła do Marcjanny, jednak dzień później to ją musieli ratować. Bronisława zapadła na ciężkie zapalenie płuc, z którego nie mogła się wykaraskać.

Estera przypomniała sobie, jak w pierwszych godzinach z Beniaminem nie mieli pojęcia, co będzie dalej. Wszystko wydawało się nowe i niepewne. Nie wiedzieli, jak zająć się dzieckiem, ale ocaliła ich rodzicielska intuicja. Spełniło się to wszystko, o czym słyszała od kobiet z rodziny — już po kilku dniach nie wyobrażała sobie życia bez syna. Teraz po porodzie jeszcze nie czuła się całkiem dobrze, jednak w porównaniu z sąsiadką Marcjanną dużo szybciej wracała do zdrowia. Krwawienie ustało, z każdym dniem miała coraz więcej pokarmu i coraz więcej sił. Postanowiła nie sprawiać mężowi przykrości i zgodziła się na kino. Kalman każdego dnia tak bardzo się starał, by ich codzienne życie nabrało jaśniejszych barw, że grzechem by było odmówić mu wspólnej randki. Jeśli Marcjanna im pomoże przy dziecku, po raz pierwszy pójdą do kina.

Wieczorem zawinęła Beniamina w chustę i wybrała się do Marcjanny. Dom Woźniaków był oddalony od ich chaty mniej więcej pół kilometra. Byli najbliższymi sąsiadami na tym pustkowiu. Wiedzieli o sobie wszystko. Ich domy położone na wzgórzu, na skraju rozległego lasu, z dala od wiejskich zabudowań, gwarantowały spokój. Nie wiedzieli, co dzieje się we wsi, a we wsi rzadko kto pytał o Woźniaków i Salzmanów. Oni nie tęsknili za wiejskim towarzystwem, wsiowi nie zabiegali o ich obecność. Zbyt wiele ich dzieliło, dlatego woleli się unikać.

Majowy wieczór, o dziwo, był dość ciepły, więc Estera zdjęła z dziecka wierzchnie

okrycie i nucąc ulubioną kołysankę Kalmana, zmierzała w kierunku Woźniaków. Droga była błotnista po ulewach, które przez kilkanaście dni nawiedzały wioskę, więc co chwila grzęzła w mokradle. Nie przeszkadzało jej to, bo po raz pierwszy od kilku tygodni wyszła z domu. Jeszcze na początku marca, gdy z dużym brzuchem z trudem pokonywała tę trasę, krajobraz był zimowy. Teraz, mimo gwałtownych kilkudniowych deszczów, wiosna rozgościła się na świecie na dobre. Las buchnął zielenią, a bujne trawy utworzyły wspaniały zielony dywan. Estera syciła oczy i uszy widokami i majową wonią i opisywała je synkowi z dziecięcą ciekawością świata. Opowiadała o ubogiej przydrożnej kapliczce z figurą Maryi, która stała w tym miejscu od blisko stu lat i przed którą zawsze gorliwie przyklękała. O samotnym krzyżu postawionym w pustkowiu przez mieszkańców wsi tam, gdzie został pochowany austriacki żołnierz, któremu pierwsza wojna światowa odebrała rozum. O ptakach, które każdego ranka stadnie wyfruwały spomiędzy gęsto rosnących drzew i pięknym szczebiotem budziły Esterę i Kalmana.

Pochłonięta zabawą i rozmową z synem w ostatniej chwili zauważyła postać, jaka wyrosła naprzeciwko. Stara kobieta stanęła tak blisko Estery, że ta poczuła nieprzyjemną, słodkawą woń niedomytego ciała i brudnych ubrań, ale jednocześnie tak daleko, że w tle zachodzącego słońca nie była w stanie jej rozpoznać. Serce zabiło jej mocniej. Odruchowo przycisnęła Beniamina do piersi.

— Tfu, ty, diabelskie nasienie! — Starsza kobieta splunęła tuż przed stopami Estery, ukazując dziąsła i rozległą bliznę pod prawym okiem. — Śmiesz stawać mi na drodze?

Kiedy postać zbliżyła się, rozpoznała w niej starą Kubiakową, którą była straszona jeszcze w dzieciństwie. Obłąkana, bezdomna kobieta wędrowała bez celu po wsiach i zwiastowała nieszczęście, złorzecząc ludziom i zwierzętom, więc wieśniacy z okolicznych miejscowości unikali jej jak ognia. Podobno krowy tracą mleko pod jej spojrzeniem, kwiaty usychają, a dzieci płaczą nocami. Estera zadrżała.

Kubiakowa urodziła się w poprzednim wieku. Ponieważ jej rówieśnicy dawno wymarli, nikt nie miał pewności, ile ma lat i czy ma rodzinę. Mówiono, że rozum zaczęła tracić podczas pierwszej wojny światowej, gdy w bitwie pod Gorlicami w maju 1915 roku zginęli jej ojciec i bracia, a ją, ponadczterdziestoletnią pannę, zgwałciło i poturbowało kilku Rosjan. Ponoć ledwie uszła z życiem. Rosyjscy żołnierze byli pewni, że nie przeżyła spotkania z nimi, więc pożałowali jej kuli. Ale Kubiakowa była silniejsza, niż podejrzewali. Ocknęła się w kałuży krwi i ze zmasakrowaną twarzą, a po kilku tygodniach doszła do siebie. Nikomu się nie przyznała, co ją spotkało. Nie musiała opowiadać. Podobny los spotkał jeszcze kilka kobiet w okolicy. Bolesną pamiątką po przejściu sołdatów okazała się niechciana ciąża i rozległa blizna pod okiem. Przez kilka miesięcy Kubiakowa bezskutecznie próbowała pozbyć się dziecka, pijąc rozmaite zioła i imając się najtrudniejszych prac. Błagała miejscową akuszerkę, aby pomogła usunąć ciążę, ale kobieta odmówiła. Bękart przyszedł na świat cały i zdrowy, jakby na przekór matce, ale po kilku tygodniach zmarł. Nikt nie dociekał, z jakiego powodu, choć wszyscy podejrzewali jedno. Dzieciak nie miał nawet własnego grobu. Od tamtej pory Kubiakowa nienawidziła obcych. Rosjan, Niemców, Żydów, słowem wszystkich, którzy nie byli Polakami. Nienawiść obróciła się przeciwko niej. Od zgorzkniałej kobiety zaczęli się odsuwać sąsiedzi, ludzie jej unikali. Wówczas zaczęła złorzeczyć także swoim. Jednak najbardziej nienawidziła małych dzieci. Nie miała swoich, gdy była młoda, a kiedy los przewrotnie obdarował ją ciążą, znienawidziła nawet te najmniejsze, niewinne istoty.

— W domu siedzieć, a nie włóczyć się po polach i zarazę roznosić — syknęła Kubiakowa. — Co tam chowasz? — spytała, wyciągając brudną dłoń w stronę Beniamina.

Estera pospiesznie zarzuciła dziecku chustę na głowę, ale mały zaczął płakać. Nerwowo szeptała jego imię. Po policzkach płynęły jej łzy. Kubiakowa przyglądała się chłopcu

z obrzydzeniem.

— Jeszcze jednego takiego jak wy tu brakowało! — Splunęła ponownie. — Jeszcze się wam żyć po tym wszystkim chce i dzieci robić? Tfu!

Estera chciała jak najprędzej uciec, jednak błoto i poporodowe słabości nie pozwoliły jej na taki wysiłek. Z trudem ominęła obłąkaną, która śmiała się złowieszczo.

— Nic dobrego was tu nie spotka. Ani was, ani tego bachora. Wracać, skąd przybyliście! — wołała za nią Kubiakowa, ale kolejne słowa ginęły pośród pól. — Jeszcze się przekonasz, o czym mówię… Zobaczysz!

V. Teraz

Marcelina postanowiła nie dawać za wygraną i negocjować zakres obowiązków z wydawcą. O dziewiątej zwykle rozpoczynało się zebranie, po którym wszyscy rzucali się w wir pracy. Powinna w nim uczestniczyć. Wychodząc z mieszkania, zerknęła na zegarek. Był już kwadrans po dziewiątej. Do biura dotrze najwcześniej za piętnaście minut, więc w rozmowie z szefem będzie na przegranej z góry pozycji.

Nie myliła się. Wydawca już na nią czekał, a jego asystentka dawała jej wyraźne sygnały, żeby natychmiast weszła do jego gabinetu. Gabriel Walicki właśnie kończył rozmowę telefoniczną.

— Marcelina, naprawdę dużo jestem w stanie zrozumieć, ale dziś chyba przesadziłaś — zaczął, nawet na nią nie patrząc. Gestem wskazał, aby usiadła.

— Dzień dobry, przepraszam, szefie. — Wzięła głęboki oddech. Przestronny gabinet wydawcy zawsze ją onieśmielał. Wchodząc tutaj, pewność siebie zostawiała za drzwiami. — Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie poza tym, że Łukasz miał dziś rano samolot. Przepraszam.

— Zrozumiałbym, gdybyś go jeszcze odwoziła na lotnisko, ale podobno rano byłaś jeszcze nie w formie i chłopak musiał dzwonić po Anitkę, żeby zdążyć na lot. Anitka zadbała o jego bilety i odprawę, odwiozła go i jeszcze zdążyła przyjść do pracy punktualnie — wyliczał Walicki. — A na ciebie wszyscy czekali.

— Taka asystentka to prawdziwy skarb — przyznała z ironią. Łukasz musiał wypaplać Anicie, że Marcelina nie może go odwieźć, bo przesadziła wczoraj z alkoholem. Dzięki niemu zresztą. Poczuła się nieswojo. Z ciekawości przyjrzała się asystentce, która w pomieszczeniu obok wypełniała dokumenty. Wyglądała zjawiskowo w dopasowanej sukience, modnych szpilkach i delikatnym makijażu. Nie zwróciła na nią uwagi, wchodząc do redakcji, ale teraz poczuła zazdrość. Sama miała na sobie proste dżinsy i zwykłą koszulę. Strój idealny, by nie wyróżniać się z tłumu.

— Gdyby nie ona, panowałby tu zwykły burdel — stwierdził dobitnie Walicki, patrząc na zapracowaną Anitę. — Dobrze, przejdźmy do rzeczy.

Walicki zdjął okulary i wyjął z szuflady teczkę z plikiem kartek. Drugą wręczył Marcelinie.

— To jest umowa, którą podpisał Łukasz. Wiemy, że nie może jej zrealizować, bo od dziś wygrzewa się w Hiszpanii. — Walicki przewrócił oczami. — I chwała mu za to, może i my na tym jego wyjeździe coś ugramy.

— O tym właśnie chciałam z panem porozmawiać — przerwała mu, wskazując na umowę.

— Mam nadzieję, że Łukasz wszystko ci wyjaśnił i nie muszę tłumaczyć od początku? — zapytał wydawca.

— Nie do końca. Przed wyjazdem miał mało czasu, więc nie rozmawialiśmy na ten temat. Szefie, mam blade pojęcie o tym, co trzeba będzie robić, ale przede wszystkim nie chcę tego robić — przyznała Marcelina.

— Ale musisz się tym zająć niezwłocznie — oznajmił Walicki tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Szefie, będę szczera. Zupełnie nie znam się na sporcie, nie chcę i nie mam czasu, żeby się tym zajmować — powiedziała. — Mam mnóstwo swoich tematów i różnych obowiązków. Mam też swoje pasje, na które przeznaczam czas wolny. Nigdy pana nie zawiodłam, ale tym

razem muszę odmówić. Przykro mi.

Walicki nie słuchał jej tłumaczenia. Stukał długopisem w blat i czekał, aż Marcelina skończy.

— Nie możesz odmówić — oznajmił.

— Szefie, nasz dział sportu jest tak duży, że któryś z chłopaków na pewno się tego podejmie — zaproponowała.

— Masz rację, jest liczny, ale powiedz szczerze, kto tam potrafi dobrze napisać więcej niż dwie strony? Nikt. Uwierz mi, kiedy dowiedziałem się o stażu Łukasza, długo myślałem, kto mógłby go zastąpić. I wiesz co? Poza tobą nikt nie przyszedł mi do głowy — powiedział Walicki. — Potraktuj to jako komplement.

Marcelina próbowała jeszcze negocjować, tłumacząc się rozpoczętymi projektami i zobowiązaniami, za które była odpowiedzialna w dziale.

— Marcelinko, jesteś najlepsza. Wiem to ja, wiesz ty i wie cały nasz dział. Bijesz na głowę reporterów, którzy pracują tu od dekady. Nikt nie potrafi tak pięknie opowiadać historii jak ty — komplementował ją wydawca. — Powiem ci więcej, myślę, że zrobisz to sto razy lepiej niż Łukasz.

— To dlaczego od razu mi pan nie zaproponował tematu, skoro jestem najlepsza? — zapytała.

— Wiem, że nie lubisz sportu. — Walicki się uśmiechnął.

Marcelina odwzajemniła gorzki uśmiech, a Walicki ciągnął dalej:

— Nasi prawnicy już wszystkim się zajęli. Finalnie autorem książki będzie Łukasz, bo koncern Przybyłowicza już wypuścił zapowiedź publikacji. Tobie przypada rola ghostwritera. Pojedziesz, zrobisz wywiad, wrócisz, spiszesz go, a Łukasz go zredaguje. Albo nie, ty to zrobisz lepiej. Rozmówca autoryzuje. Zarobisz podwójnie, zadbam o to osobiście. Lepiej niż Łukasz, bo on da tylko swoje nazwisko — przekonywał Walicki. — Niestety, sławy ci to nie przyniesie. Wiesz, jaka jest rola ghostwritera.

— Propozycja nie do odrzucenia — skomentowała.

— Znowu się zgadzamy. To najbardziej w tobie lubię. — Walicki puścił do niej oko.

— Chyba jednak nie rozumiemy się do końca — odparła. — Nadal uważam, że chłopaki ze sportu zrobią to równie dobrze.

— Marcelinko, postawię sprawę jasno. Jeśli nie wywiążemy się z umowy do końca czerwca, Przybyłowicz wytoczy nam proces, którego nie wygramy. Skutki odczują wszyscy — tłumaczył Walicki. — Wyjazd Łukasza, niestety, wszystko skomplikował. Wiem, że wyrobiłby się na czas, a książka odniosłaby sukces. Na szczęście Łukasz nie jest niezastąpiony. Zresztą i tak będzie widniał jako autor. Teraz wszystko w twoich rękach. Mam nadzieję, że nie muszę cię dalej przekonywać.

— Dobrze, kiedy mam się do tego zabrać? — spytała. Wyczuł w jej głosie nutkę niechęci.

— Najlepiej natychmiast — odparł, nie patrząc jej w oczy.

— A co z moimi projektami? Mam umówione spotkania, niedokończone artykuły, mam zobowiązania wobec różnych osób, instytucji. — Marcelina aż uniosła się z fotela. — Nie mogę z dnia na dzień rzucić wszystkiego i pisać o czymś, czego zupełnie nie czuję.

— Możesz, masz moje błogosławieństwo — powiedział Walicki. — Twoje bieżące sprawy dokończy Ula. Resztą zajmie się Anitka. Poprzesuwa spotkania, które nie są pilne. Wszystko załatwi.

— A Anitka nie mogłaby być tym ghostwriterem, skoro wszystko potrafi? — nie mogła się powstrzymać od złośliwości.

— Bez ironii — skarcił ją. — Anitka potrafi wiele, ale nie wszystko. Z pisaniem nie do

końca jej wychodzi.

Marcelina rozłożyła ręce. Była bezradna wobec argumentów szefa.

— No dobrze, widzę, że nie mam wyjścia. Poproszę więcej szczegółów. Kim jest ten słynny sportowiec, gdzie mam jechać i kiedy?

— Wszystko masz w teczce. Poza tym Łukasz miał ci zostawić kilka czasopism do poczytania oraz plan książki, którego musisz się trzymać — wyjaśnił Walicki. — Anitka zarezerwowała ci pobyt na dwa tygodnie w jakimś miłym pensjonacie. O nic nie musisz się martwić. Firma płaci. Pomyśl o tym wyjeździe jak o miłym urlopie.

— Kiedy wyjeżdżam? — spytała z udawaną grzecznością.

— Pojutrze.

— Wspaniale! Mogę wiedzieć, gdzie jadę?

— Za Rzeszów. Prawie Bieszczady. — Walicki uśmiechnął się szeroko.

— Jeszcze lepiej. — Klasnęła.

— Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Przybyłowicz wykończyłby nas. — Uścisnął jej dłoń, a ona tylko pokiwała głową, bo wczoraj dokładnie to samo słyszała od Łukasza.

— A ten facet? Ten sportowiec to kto? Jakiś znośny? — zapytała.

— Niespecjalnie. — Walicki znany był ze swej szczerości.

— Świetnie.

— To Mateusz Jurewicz.

— Pierwsze słyszę.

— Naprawdę nie interesujesz się sportem — westchnął Walicki.

— Przecież mówiłam. — uśmiechnęła się.

— Legenda triathlonu, niedoszły uczestnik Ironmana. Alpinista i himalaista. Wspaniały kolarz. Ostatnio nie miał dobrej prasy. Dalej to nazwisko ci nic nie mówi?

Marcelina pokręciła głową.

— Nic a nic.

— Ostatnio było o nim cicho, ale rok temu był gwiazdą Internetu. Dobra, idź do domu, poczytaj trochę o nim, bo pojutrze już masz być na miejscu, a on ma dość bogaty życiorys.

— Okej. Widzę, że czeka mnie mnóstwo pracy, bo w ogóle go nie kojarzę. Na pewno nie jest aż tak znany. Gdyby był, jego nazwisko obiłoby mi się o uszy.

— Dobra wiadomość jest taka, że bardzo zależy mu na tej książce, a raczej na sporym honorarium, które ponoć obiecał mu Przybyłowicz — dodał Walicki. — Dasz radę. Nigdy w ciebie nie wątpiłem.

Z gabinetu wyszła zrezygnowana. „Potraktuj to jako zadanie do wykonania”, powtarzała sobie. Anita uśmiechnęła się serdecznie i wręczyła jej kolejną teczkę z dokumentami, które będą potrzebne na miejscu.

— Śliczny pierścionek — skomplementowała.

— Tak się składa, że mi też się podoba. — Marcelina odwzajemniła uśmiech, ale szybko zsunęła dłoń z biurka.

— Gdybyś czegoś potrzebowała tam na miejscu, dzwoń albo pisz.

— Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby, ale dziękuję — odparła Marcelina.

— Aha, do Rzeszowa lecisz samolotem, a potem wybierzesz najlepszy dla siebie środek transportu, by dotrzeć na miejsce.

— Bardzo dziękuję, do widzenia — pożegnała się z asystentką.

Miała jeszcze zajrzeć do biurka w newsroomie, jednak po chwili namysłu stwierdziła, że nie ma ochoty wdawać się w rozmowy z ciekawskimi koleżankami, które będą dopytywać o pierścionek i jej wyjazd. Nie chciała być w centrum zainteresowania i odpowiadać drętwymi

formułkami.

Pomachała Walickiemu, a ten uniósł dwa kciuki w górę. Cwaniak.

Marcelina chciała pokazać mu dwa kciuki w dół, ale powstrzymała się w pół gestu. W ciągu kilkunastu godzin jej życie przewróciło się do góry nogami, przez co miała poczucie totalnej klęski. Najpierw została narzeczoną, z czego się nie ucieszyła. Potem dowiedziała się, że wyjeżdża na dwa tygodnie gdzieś na południowy wschód Polski, żeby jako ghostwriterka w zastępstwie swojego ukochanego przeprowadzić wywiad-rzekę z jakąś nadętą gwiazdą sportu. Lepiej być nie mogło.

Zdecydowanie wolała swoje uporządkowane — jak na dziennikarkę — życie.

Wyszła z biurowca i usiadła na surowej betonowej ławce, żeby uładzić myśli. Warszawa tonęła w wiosennym słońcu. Ludzie spieszyli się jak zwykle. Zerknęła na telefon. Łukasz wciąż milczał, więc wybrała numer do matki.

— Mamo, zmiana planów. Mam pilny służbowy wyjazd i nie mogę go przesunąć. Zobaczymy się za dwa, trzy tygodnie — tłumaczyła. — Odezwę się, gdy dojadę na miejsce. Teraz naprawdę mam mnóstwo pracy, muszę się jeszcze spakować. Dbaj o siebie.

VI. Kiedyś

Kalman trzymał w ramionach zapłakaną Esterę. Dygotała, przyciskając Beniamina do piersi. Od pół godziny próbował dowiedzieć się, co się stało, ale Estera nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Kiedy w końcu się uspokoiła, a nakarmione dziecko wreszcie zasnęło, Kalman zapytał, dlaczego wróciła tak szybko i taka przerażona.

Łamiącym głosem opowiedziała mu o spotkaniu z Kubiakową.

— To stara, obłąkana kobieta. Nie wierz w żadne jej słowo — mruknął lekceważąco.

— Chciałabym jej nie wierzyć, ale nie mogę. Za dużo o niej słyszałam. Dużo strasznych rzeczy — odparła cicho. — Wiesz przecież, że niektóre jej złe wróżby się spełniały.

— Wiem, co słyszałaś. Bzdury. Ludzie gadają głupoty. Kobieta przeżyła koszmar. Gdybyś ty przeszła coś takiego, też byś …

Nie dokończył. W porę się pohamował, a potem spotkał się z lodowatym spojrzeniem żony. Odwrócił twarz w stronę okna i wpatrywał się w mrok zapadający w wiosce. Z ich wzgórza dobrze było widać, jak wiejskie zabudowania zaczyna spowijać ciemność lekko rozświetlana przez pojawiające się na niebie gwiazdy. Gdzieniegdzie unosił się jeszcze dym z kominów. Otaczający wzgórza las coraz bardziej wtapiał się w czerń nocy, aż zupełnie się z nią zlał. Estera podążyła za spojrzeniem Kalmana. Stali w milczeniu, przyglądając się nocnej panoramie.

— Przepraszam, nie powinienem tak mówić. — Przytulił ją.

— Nie byłam u Marcjanny — przyznała. — Nie miałam siły iść dalej. Bałam się, że ona mu coś zrobi. Mówiła mi straszne rzeczy. Lepiej oddaj te bilety.

Kalman pokręcił głową.

— Nie oddam. Chcę iść z tobą do kina — powiedział, podnosząc głos. — To bilety dla nas. Jutro rano pójdę do Woźniaków i załatwię sprawę. Zostaną z dzieckiem.

— Rób, jak uważasz, ale ja mam złe przeczucia.

— A może nie chcesz iść tam ze mną? — zapytał.

— Nie obrażaj mnie.

W nocy nie mogła zasnąć. Co chwila wstawała do kołyski, by sprawdzić, czy Beniamin oddycha i czy nie jest głodny. Nasłuchiwała, czy nikt nie puka do drzwi. Kalman spał twardym snem. Beniamin też. Estera uklękła i zmówiła modlitwę. Najpierw za swoich rodziców, których tak bardzo jej brakowało, za rodzeństwo, męża i syna. Modlitwa przyniosła ukojenie i sen. Śniła jej się daleka podróż. Było upalne lato. Biegli z Kalmanem nie wiadomo po co przez gęsto ukwiecone łąki. Potem uciekali. Coraz szybciej. I szybciej. Kalman był silniejszy, nie mogła za nim nadążyć. Wołał, żeby biegła szybciej, ale jej było nieznośnie gorąco. Już nie mam sił, nie dam rady, chcę pić, prosiła. Kalman złapał ją za rękę i ciągnął za sobą, ale zwolnił uścisk. Upadła na łąkę. Biegnij po Beniamina, ja tu zaczekam… Było coraz bardziej gorąco. Upał. Skwar. Ogień…

Poczuła przyjemne ciepło na policzku. Zerwała się z łóżka, by się upewnić, że Kalman i Beniamin są tuż obok. Obaj jeszcze spali, a ich twarze otulone były delikatnymi promykami słońca. Przyłożyła dłoń do rozgrzanego policzka, spojrzała na poduszkę, na którą również padały promienie, i zrozumiała, że obudziło ją ciepło poranka. To był tylko straszny sen. To był tylko straszny sen, tłumaczyła sobie, chowając twarz w dłoniach.

Kalman niewiele mówił tego ranka. Zaraz po śniadaniu poszedł do Woźniaków, żeby zapytać, czy wieczorem zajmą się Beniaminem. Zgodzili się bez wahania, więc nie musiał już długo przekonywać Estery. Przez cały dzień nie potrafił sobie znaleźć zajęcia, bo nie mógł się

doczekać wieczoru. Choć wokół domu czekało go mnóstwo roboty po długiej zimie, Kalman nie był w stanie zacząć żadnej pracy. Gdy żona zajęła się obiadem i wiedział, że nie odejdzie prędko od kuchni, poszedł do komory.

Nieco wilgotne pomieszczenie zastawione było drewnianymi skrzyniami, w których składowali zboże. Wszedł pomiędzy skrzynie, by dostać się pod ścianę, gdzie w kącie stał niewielkich rozmiarów kufer. Znajdowały się w nim ubrania pamiętające jeszcze poprzedni wiek. Od lat do niego nie zaglądał, by nie przywoływać wspomnień i tęsknoty za rodzicami i rodzeństwem. Przesunął go ostrożnie. Za kufrem stała stara, nienadająca się do użytku maselnica. Ta sama, którą zepsuł, gdy miał sześć lat, i dostał za to tęgie lanie. Nikt jej nie naprawił. Dziadek zrobił nową, a ta została odstawiona do kąta z zamiarem zreperowania jej w przyszłości, ale nie doczekała lepszych czasów. Kalman zdjął nadstawkę i zanurzył rękę w konwi. Znalazł niewielkich rozmiarów zawiniątko zapakowane w gazetę z 1939 roku. Rozwinął gazetę i wyjął z niej dwa lniane woreczki związane niebieską tasiemką. Rozsupłał kokardę i wysypał zawartość pierwszego woreczka na dłoń. Złote kolczyki i naszyjnik. Biżuteria była zimna i czuć ją było wilgocią, ale upływ czasu jej nie zaszkodził. Prezentowała się tak samo pięknie jak w dniu, gdy matka założyła ją po raz pierwszy i z ciekawością przeglądała się w rozbitym przez niego lusterku. W drugim woreczku leżał złoty łańcuszek z serduszkiem. Odłożył go z powrotem do maselnicy. Może podarują go córce, jeśli kiedyś doczekają się kolejnego dziecka?

Kosztowności leżały w maselnicy od 1939 roku. Kalman był wówczas dzieckiem, ale doskonale pamiętał, jak matka zawijała swój skarb. Pakowała się w pośpiechu. Nie chciała brać ze sobą najcenniejszych rzeczy. Bała się, że je straci. Kolczyki i naszyjnik dostała od męża w piątą rocznicę ślubu. Kiedyś należały do jego babci, więc obchodziła się z nimi ostrożnie, wiedząc, że zgodnie z tradycją rodzinną w przyszłości przekaże je córce lub wnuczce. Przezornie wyjęła je ze szkatułki, zawinęła w lniany woreczek i gazetę. Pobiegła do komory i schowała w zepsutej maselnicy. „Nigdy nie wiadomo, co to będzie, ale w maselnicy nikt nie będzie szukał kosztowności”, mówiła.

Miała rację. Biżuteria od jedenastu lat leżała nietknięta. Choć do komory Kalman zachodził ostatnio często, dopiero niedawno przypomniał sobie, jak przed laty matka ukrywała maselnicę za kufrem z ubraniami przekonana, że jeszcze nie raz założy biżuterię. Jaka była naiwna.

Pomyślał, że kolczyki i naszyjnik byłyby odpowiednie na wieczorne wyjście. Schował kosztowności do woreczka, a potem do kieszeni i odłożył maselnicę na miejsce. Żona już czekała z obiadem, a na sznurze przed domem, gdzie zwykle suszyło się pranie, wisiała jej najładniejsza sukienka. Kalman aż się uśmiechnął, gdy to zobaczył. Widać podjęła decyzję.

Kiedy późnym popołudniem włożyła zwiewną czerwoną sukienkę w białe kwiaty, pachnącą świeżym majowym powietrzem, nie mógł oderwać od niej wzroku. Estera prezentowała się wspaniale. Suknia podkreśliła jej wyrazistą urodę i szczupłą talię. Włosy upięła luźno i przewiązała czerwoną kokardą. Gdyby nie rzadkie pasma siwizny, mogłaby uchodzić za nastolatkę.

— Wydaje mi się, że będziesz najbardziej wystrojoną panną na tym seansie — stwierdził z zachwytem w głosie.

— To niemożliwe. Już nie jestem panną. A wystrojonych pań na pewno będzie mnóstwo — odparła.

— Każda będzie wyglądać przy tobie blado. — Pocałował ją w policzek i w tej samej chwili poczuła na szyi coś zimnego. — Zamknij oczy — szepnął.

Poprowadził ją ostrożnie do lustra, które znajdowało się w szafie.

— Teraz możesz zobaczyć — szepnął.

Jej szyję zdobił złoty naszyjnik. Przesunęła po nim dłonią i w mig oszacowała, ile może być wart. Spojrzała na Kalmana z wyrzutem. Nie musiał pytać dlaczego.

— To biżuteria matki — odparł. Ujął dłoń Estery i włożył w nią kolczyki. Przyglądała im się z zachwytem, po czym szybko je założyła.

— Nie wiem, czy powinnam ją nosić. — naszły ją wątpliwości.

— Mnie nie wypada — zażartował.

— Mówię poważnie. To cenna rzecz. Lepiej się w takiej nie pokazywać we wsi. Wiesz, co ludzie będą mówili…

— Niech gadają. Nie obchodzi mnie to.

— Ale …

— Pójdziesz w niej i już — oświadczył.

Estera wciąż przeglądała się w lustrze. Choć zupełnie nie przykładała wagi do wyglądu i ubioru, tym razem musiała przyznać, że gustowna sukienka i bogata biżuteria potrafiły zrobić ze zwykłej wiejskiej dziewczyny elegancką młodą damę. Nie poznawała się i bardzo jej się to podobało. Kalman patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Przysunął się do niej i drżącymi palcami usiłował rozpiąć sukienkę, jednak drobne guziki nie ustępowały tak łatwo. Zasypał jej szyję pocałunkami.

— Przestań, Beniamin zaraz się obudzi — zganiła go.

— Przecież śpi… Nic mu nie będzie. Daj mi chwilę.

— Nie teraz — mówiła, a on cały rozgorączkowany zachłannie całował jej szyję i ramiona.

— A kiedy? Nadejdzie kiedyś odpowiednia pora?

— Nie wiem.

— Czy proszę o zbyt wiele?

— Może wieczorem, gdy wrócimy z kina.

Wyrwała się z objęć męża pod pretekstem, że płacze dziecko. Na szyi wciąż czuła jego gorący oddech. Beniamin spał, ale musiała go wybudzić, żeby nakarmić, zanim odniosą go do Woźniaków. Rozczarowany Kalman poszedł do sieni, by wypastować buty na wieczór.

Gdy wychodzili do sąsiadów, słońce nadal było wysoko, ale już nie grzało tak mocno. Estera wzdrygnęła się, gdy przechodzili przez miejsce, w którym Kubiakowa rzuciła w nią obelgami. Ścisnęła mocniej rękę Kalmana. Szli w milczeniu. Ona podekscytowana była zbliżającym się seansem, on już nie mógł doczekać się wieczoru. Z daleka zauważyli siedzących na progu domu Macieja i Marcjannę. Maciej palił, a Marcjanna kołysała Basię. Machali do nich.

Marcjanna przyglądała się Esterze z niekłamanym podziwem i zakłopotała się na myśl o swojej okrągłej sylwetce i skromnym ubiorze. Przyłapała Maćka, że patrzy na sąsiadkę dłużej, niż powinien, więc czym prędzej przekazała mu Basię. Rozprostowała dłonią fartuch i zaprosiła ich do środka. Salzmanowie wyjęli Beniamina z chusty. Estera nakarmiła go i położyła w kołysce Basi, która została przełożona na skromne łóżko rodziców. Kobiety usiadły na brzegu łóżka i zajęły się rozmową o dzieciach. Marcjanna opowiadała o bezsennych nocach i córce, która ciągle domagała się karmienia. Estera skarżyła się na brak pokarmu i przyznała, że nie wyobraża sobie już życia bez dziecka, dlatego nawet chwilowe rozstanie z nim jest dla niej bardzo trudne.

— Uwierz mi, wolałabym zostać w domu — zwierzyła się sąsiadce, kiedy ich mężowie wyszli przed dom zapalić i politykować.

— Nie gadaj głupot. A ja bym poszła, gdyby tylko Maciek myślał choć trochę jak Kalman. Twój jakoś potrafił wystarać się o bilety. Mojemu coś takiego nie przyszłoby do głowy — narzekała na męża Marcjanna. — Od kiedy urodziła się Basia, nie mamy ani chwili dla siebie.

Cały czas jest markotny.

— Ja naprawdę chcę zobaczyć film, ale nie chcę sprawiać wam kłopotu. I boję się o Beniamina …

— O czym ty mówisz? Jaki kłopot? — Złapała Esterę za dłoń, patrząc w oczy. — Poradzimy sobie. Zajmę się Beniaminem jak swoim. Jeśli trzeba będzie, nakarmię go własną piersią. Pokarmu mam aż nadto, sama widzisz. — Wskazała na mokrą koszulę. — Wystarczy dla obojga. O nic się nie martw.

— Dziękuję. Nie wiem, co więcej mogę powiedzieć. — Estera spuściła oczy.

— Nie dziękuj. Wiem, że też pomogłabyś nam, gdybyśmy tego potrzebowali.

— To prawda. Mam nadzieję, że kiedyś ci się zrewanżuję, bo wy pomagaliście nam wiele razy. — Estera przywołała w pamięci kilka sytuacji z przeszłości, w których mogli liczyć na Marcjannę i Macieja.

— Może szybciej niż myślisz. — Marcjanna się zaśmiała i zwolniła uścisk dłoni, kiedy stwierdziła, że Estera jest spokojniejsza. — Maciek usłyszał już swoje za to, że nie załatwił biletów. Obiecał, że pójdziemy następnym razem. Kalman ma wypytać, kiedy kino znów przyjedzie do wsi. Wtedy wy zostaniecie z Basią.

— Oczywiście. — Estera zgodziła się bez wahania i dodała: — Wrócimy najszybciej, jak to będzie możliwe. Obiecuję.

— Nie spieszcie się, to wasz czas.

— Wiem, że zostawiam Beniamina w dobrych rękach — rzekła Estera, czule obejmując przyjaciółkę.

— Bądź spokojna. Zajmę się nim jak swoim. — Marcjanna odwzajemniła uścisk. — To tylko trzy, cztery godziny.

Estera pocałowała śpiacego Beniamina w czoło i nakreśliła mu znak krzyża. Jego oddech był rytmiczny i miarowy. Zacisnął lekko piąstki, a po jego twarzy błąkał się delikatny grymas. Miała wrażenie, że uśmiecha się do niej przez sen. Ten widok ukoił jej niepokój. Pogłaskała syna po policzku. Z podwórza dobiegł głos nawołującego ją Kalmana.

— Do zobaczenia później, aniołku — szepnęła nad kołyską. — Jeszcze raz ci dziękuję — rzuciła do Marcjanny, ucałowała ją w oba policzki i lekkim krokiem wybiegła na podwórze.

— Tylko zapamiętaj dobrze ten film. Musisz mi o nim opowiedzieć — wołała z progu Marcjanna.

Blum już czekał z wozem, żeby ich zabrać do wsi. Maciej i Marcjanna pomachali im na pożegnanie. Kalman objął żonę w pasie i szeptał do ucha słowa, których nie rozumiała. Jej myśli zajęte były Beniaminem. Co chwila oglądała się w stronę gospodarstwa Woźniaków, gdzie zostawili śpiącego syna, dopóki sąsiedzi nie zniknęli za horyzontem.

Po ich odjeździe Marcjanna nagle wpadła we wściekłość. Nie dość, że hormony w niej szalały, wyzwalając skrajne emocje, to wiadomość, iż pół wsi wybiera się do kina objazdowego, tylko spotęgowała jej podły nastrój. Maciej nawet nie spróbował zdobyć biletów, więc kiedy wykrzyczała mu prosto w twarz, że nie dba o nią, wyszedł z domu, zamykając drzwi tak, że zadrżały kubki w kredensie. Maciej był dobrym mężem. W przeciwieństwie do większości mężczyzn z wioski alkohol pił rzadko, a ręki na żonę nie podniósł nigdy. Jednak kino i inne rozrywki były dla niego fanaberią.

Marcjanna wypłakała się, a kiedy odzyskała trzeźwość umysłu, w duchu przyznała mu rację. Basia całe dnie wisiała przy piersi. Z kim mieliby ją zostawić?

VII. Teraz

Anitka była tak uprzejma, że wynajęła Marcelinie samochód z wypożyczalni. Jak twierdziła, na takim wygwizdowie musi być mobilna, bo na komunikację publiczną za bardzo nie ma co liczyć. Choć Marcelina nie była dobrym kierowcą, przystała na tę propozycję, a skoro już mogła skomplikować asystentce życie, poprosiła o SUV-a w kolorze niebieski metalik. Ta znalazła go w pół godziny. Czy jest coś, czego ta dziewczyna nie potrafi? — pomyślała ze złością.

Samochód prowadził się dobrze, w przeciwieństwie do nawigacji, która zawodziła ją co chwila. Marcelina chciała jak najszybciej dotrzeć na miejsce, ale widząc korki, w jakie wbiła się tuż po wyjeździe z miasta, nie liczyła na rychły odpoczynek. Nawigacja podpowiadała, że do celu dojedzie w ciągu godziny. Ból głowy i brak kofeiny sprawił, że po chwili zjechała z trasy i zatrzymała się pod pierwszą lepszą restauracją, aby napić się kawy i rozmasować skronie. Usiadła na krześle barowym pod oknem i sącząc małą czarną, czytała wiadomości od Łukasza, w których entuzjastycznie opisywał hiszpańską codzienność. Wysłał też serię zdjęć z takimi widokami, że Marcelinie przeszła ochota na dalszą podróż w nieznane. Zapatrzona w galerię hiszpańskich gorących krajobrazów nawet nie zauważyła, że za oknem zbierało się na deszcz. Pogodne do tej pory niebo zaczynały zasnuwać granatowe chmury i w ciągu kilku minut przyjemną aurę starł najpierw drobny kapuśniaczek, a potem kapryśna ulewa. Szybko dopiła kawę, zostawiła napiwek i pobiegła do auta. Trwało to nie więcej niż pół minuty, ale wystarczyło, by wsiadła do samochodu z mokrymi włosami i płaszczem.

Wycieraczki nie nadążały za strugami deszczu, który obficie zalewał szybę, skutecznie utrudniając jazdę. Marcelina widziała przed sobą jedynie niekończący się sznur migających czerwonych świateł stop i oślepiające reflektory ciężarówek nadjeżdżających z naprzeciwka. Nie mogła odsunąć szyby, więc wszystkie w krótkim czasie zaparowały. Z każdym kolejnym kilometrem ulewy coraz mocniej zaciskała dłonie na kierownicy. Nerwowy uścisk zwalniała jedynie wtedy, gdy musiała przetrzeć przednią szybę albo zmienić bieg. Mimo że jazda samochodem zawsze sprawiała jej przyjemność, dziś nie czuła się pewnie. Jedną ręką sięgnęła do torebki leżącej na siedzeniu pasażera i próbowała wyciągnąć chusteczkę, by przetrzeć szybę, bo nawiew w wypożyczonym samochodzie wyraźnie szwankował. Po kilku minutach ulewa zelżała, a niebo zaczęło się wypogadzać.

Wioski, które mijała, niewiele się od siebie różniły. Pomiędzy rytmicznie przeskakującymi wycieraczkami i czerwonymi światłami stop widziała dokładnie przystrzyżone trawniki i posadzone równymi rzędami tuje, kapliczki przybrane świeżymi kwiatami, świeżo odmalowane przystanki, pomarańczowe światła pulsujące przy przejściach dla pieszych i puste chodniki. Kwietniowy wieczór mógł być idealną porą na spacer, ale w taką pogodę nikt nie wychodził z domu. Deszcz musiał zaskoczyć tutejszych mieszkańców, o czym świadczyły dziecięce rowery naprędce porzucone przed wejściem do paru domów.

Samochód poruszał się z małą prędkością, więc miała okazję przyjrzeć się okolicy. Im wiecej kilometrów dzieliło ją od Rzeszowa, tym bardziej krajobraz stawał się różnorodny. Równiny ustępowały miejsca pagórkom porośniętym zieleniącymi się już lasami, a gęstą miejską zabudowę zastępowały domostwa usiane bez wyraźnego ładu, ale tworzące ciekawą kompozycję. Mimo że z racji zawodu Marcelina sporo podróżowała po Polsce, to w południowo-wschodnim zakątku kraju jeszcze nie była. Dlatego z zaciekawieniem przyglądała się temu, co udało jej się zobaczyć podczas niespiesznej jazdy samochodem. Próbowała nawet zrobić zdjęcie telefonem,

ale wykonała tak ryzykowny manewr, że kierowca z naprzeciwka popukał się w czoło.

Kiedy ruch na drodze nieco zelżał, a nawigacja poinformowała, że tylko siedemdziesiąt kilometrów dzieli ją od granicy polsko-słowackiej, Marcelina pomyślała, że faktycznie jedzie na koniec — może nie świata, ale Polski. Dlaczego właśnie tutaj zaszył się mężczyzna, o którym miała napisać książkę? Zastanawiała się, co sprowadziło go w tak odległe i spokojne miejsce, zupełnie niepasujące do jego stylu życia.

Ostatnie dwa dni przed wyjazdem spędziła na pakowaniu się i czytaniu czasopism i artykułów, które zostawił jej Łukasz. Nie miała ochoty na tę lekturę, ale Walicki postawił sprawę jasno. Jeśli nie wywiążą się z umowy, Przybyłowicz nie będzie miał skrupułów i wytoczy im proces, jakiego jeszcze nie widzieli. „Wszyscy zaciśniemy pasa", zaznaczył, gdy zadzwonił rano z życzeniami owocnej podróży. Na wypadek, gdyby w ostatniej chwili zrezygnowała.

Pensjonat, do którego wieczorem dotarła, w mieście trudno byłoby nazwać pensjonatem, jednak na wsi musiał być miejscem atrakcyjnym i skupiającym życie towarzyskie. Na parkingu było dość tłoczno. Marcelina wysiadła z samochodu i rozejrzała się po okolicy, która miała zostać jej tymczasowym domem. Liczyła na to, że Anita wybrała najlepszy z możliwych noclegów. W końcu firmę było stać nie na takie rzeczy. Frontową część budynku zajmowała obwieszona reklamami stacja paliw ze strefą usługowo-handlową, natomiast pensjonat mieścił się z tyłu. Prowadziło do niego niepozorne przejście po kamiennych schodach, oznakowane niewielką tabliczką z napisem „Noclegi", zupełnie nieprzystosowane do dużej walizki na kółkach, jaką miała w bagażniku. Stacja i pensjonat położone były pomiędzy ruchliwą trasą a rozległym lasem.

Tuż przed wejściem na stację stała grupa nastolatków z rowerami. Jedli zapiekanki, popijali colę i głośno komentowali wynik jakiegoś meczu. Klęli przy tym równo, przekrzykując się nawzajem. Przy dystrybutorach trzech młodych mężczyzn niespiesznie tankowało swoje samochody, mocno przy tym gestykulując. Choć ustawiła się za nimi kolejka, nikomu się nie spieszyło. Nikt nikogo nie ponaglał. Marcelina przyglądała się temu ze zdumieniem. W Warszawie byłoby to nie do pomyślenia. Tam wszyscy zawsze się spieszyli.

Skierowała się w stronę kamiennych schodów, ściągając spojrzenia tankujących mężczyzn. Była obca w miejscu, gdzie — jak szybko się zorientowała po jednakowych rejestracjach — wszyscy się znali i wszystko o sobie wiedzieli, więc musiała wzbudzić zainteresowanie. Krępy, krótko obcięty blondyn, który za dużo czasu spędzał na siłowni, zrobił krok w jej stronę. Dwaj pozostali z rozbawieniem obserwowali starania kolegi, by zainteresować nieznajomą.

— Może w czymś pomóc paniusi? — zapytał, nie przerywając żucia gumy.

Zignorowała go. Udała, że nie słyszy. Dobrze, że miała okulary przeciwsłoneczne, za którymi mogła ukryć spojrzenie, choć słońce chowało się za horyzontem. Przeszła niewzruszona dalej. Rozległ się przeciągły gwizd, a potem gromki śmiech.

— Na bank miastowa. Nasze dziewczyny są dużo milsze — usłyszała za sobą ten sam głos.

Odwróciła się zniesmaczona. Rozbawieni mężczyźni już znaleźli sobie nowy obiekt zainteresowania, szczupłą czarnowłosą dziewczynę idącą poboczem z psem, zbyt skąpo ubraną jak na końcówkę kwietnia. Wysoki brunet z modnie przyciętą brodą i włosami związanymi wysoko w mały węzeł napotkał spojrzenie Marceliny. Bezczelnie przesłał jej całusa. A potem jeszcze jednego. Okropny typ, stwierdziła w myślach. Co za wiocha.

Weszła lekko po schodach, nie odwracając się więcej. Znalazła się w pięknym ogrodzie, gdzie rozkwitała już wiosenna roślinność. W odróżnieniu od niemal wszędzie panujących ogrodów wysypanych kamyczkami i nienaturalnie równo posadzonymi roślinami tu panował

intrygujący chaos. Widać, że ktoś dbał o ogród, ale nie przeszkadzał naturze w jej spontanicznym rozwoju. Różnokolorowe magnolie kwitły jak oszalałe, a rozłożyste forsycje zasypywały deszczem drobnych żółtych kwiatków pobliski żywopłot. Do wejścia do pensjonatu wyłożonego kamiennymi płytami prowadziła alejka wielobarwnych tulipanów i intensywnie fioletowych szafirków. Dookoła niej stało kilka drewnianych stolików pod parasolami. Wokół alejki i stolików ustawiono latarnie, które wieczorem musiały pięknie oświetlać cały ogród. Marcelina stała jak urzeczona. Choć bywała w różnych miejscach, dawno nie oglądała czegoś tak ujmującego prostotą. W myślach już widziała siebie pracującą przy laptopie w tej pięknej scenerii, jak otulona kocem, w blasku latarni spisuje ten niechciany wywiad.

Wyjęła smartfon i zrobiła zdjęcie. Wysłała Łukaszowi z dopiskiem: „Od dziś tak pracuję :-) PS Zawsze możesz tutaj przyjechać ;-)". Odpisał szybciej, niż się spodziewała: „Chyba wygrałem pojedynek na widoki" i załączył zdjęcie z hiszpańskiej plaży. „Nie powiedziałabym. dobranoc". „Też cię kocham", odpisał. Od kiedy wyjechał, rozmowy z nim były lakoniczne. Tłumaczył to brakiem czasu i mnóstwem zamówień na relacje.

Zaintrygowana weszła do środka. W restauracji było pusto. W recepcji stała młoda dziewczyna, ale zapatrzona w telefon nawet nie zauważyła wchodzącego gościa.

— Dzień dobry. Marcelina Midowicz — przedstawiła się. — Mam zarezerwowany pobyt.

— Oczywiście. — Dziewczyna uśmiechnęła się życzliwie i szybko załatwiła meldunek.

— Rzadko kiedy mamy gości na taki długi pobyt — przyznała po chwili. — Zwykle to są kierowcy albo turyści, którzy chcą wypocząć przed podróżą do Słowacji lub na Węgry… A pani nie wygląda ani na jedno, ani na drugie. Co panią sprowadza do nas na tak długo, jeśli mogę zapytać?

— Praca — zaspokoiła ciekawość recepcjonistki.

— Chyba za karę panią tu zesłali — zażartowała.

— Też mi się tak wydaje — przytaknęła. — Ale mój szef uważa, że to duże wyróżnienie.

Recepcjonistka się roześmiała.

— U nas nic nie ma. Zanudzi się pani. Osiem godzin zleci, a potem co? Zostaje plac zabaw przy szkole albo wieczorna msza w kościele. Choć pewnie ani jedno, ani drugie pani nie interesuje — stwierdziła, taksując spojrzeniem Marcelinę.

— Mam tyle pracy, że nie będę mieć czasu na rozrywki. Zwykle pracuję dłużej niż osiem godzin — wyjaśniła, kończąc rozmowę z ciekawską recepcjonistką. — Muszę się rozpakować.

Ta wytłumaczyła jej, gdzie może zaparkować samochód, i zleciła kuchni przygotowanie kolacji. Marcelina jeszcze raz przeszła alejką otoczoną tulipanami, tym razem z walizką.

— Piękny taras i ogród — powiedziała do dziewczyny. — Chciałabym pracować, mając na co dzień taki widok.

— Po pewnym czasie to się nudzi i człowiek przechodzi obojętnie. Na początku też mi się tutaj podobało, a potem przywykłam — odparła dziewczyna.

Po kolacji Marcelina udała się do pokoju i zatopiła się w lekturze czasopism, które zostawił jej Łukasz. Próbowała dodzwonić się do Mateusza Jurewicza, aby się umówić na jutrzejsze spotkanie, ale nie odbierał.

Noc upłynęła jej przyjemnie, choć odgłosy przejeżdżających tirów nie pozwalały zapaść w sen. Pensjonat stał przy trasie prowadzącej na Słowację, więc ruch na drodze był wzmożony, o czym uprzedzała ją recepcjonistka. Próbując zasnąć, długo obracała pierścionek zaręczynowy w palcach. Miała ochotę odłożyć go do walizki, ale ostatecznie uznała, że byłoby to nie w porządku wobec Łukasza, który angażował się w ich związek dużo bardziej niż ona. Przynajmniej tak to wyglądało z boku.

VIII. Kiedyś

Wojnę pamiętał jak przez mgłę. W głowie najbardziej utkwiła mu scena pożegnania z rodzicami i rodzeństwem, która przez lata wracała do niego noc w noc, żłobiąc w sercu coraz większą wyrwę.

Tuż po tym, jak matka schowała w komorze swoje kosztowności, a resztę najważniejszych rzeczy spakowała do walizki — w dłuższą podróż, jak im zapowiedziano — ukryła go u Kasprzyków, znajomych z sąsiedniej wioski, niemłodego bezdzietnego małżeństwa. Dwóch starszych braci Kalmana musiało opuścić dom z rodzicami.

— Wrócimy po ciebie, jak tylko to wszystko się uspokoi — mówiła matka, obsypując jego twarz i bujne włosy pocałunkami. — Nic się nie bój. U Kasprzyków będzie ci dobrze.

Po chwili zwolniła uścisk i trzymając dłonie na wątłych ramionach syna, popatrzyła mu prosto w oczy.

— Pamiętaj, że bardzo cię kochamy i cały czas będziemy o tobie myśleć. Wrócimy po ciebie choćby nie wiem co. Bądź grzeczny i nie sprawiaj im kłopotów.

Pokornie spuścił głowę i przytaknął. Choć się starał, nie bardzo rozumiał całą sytuację. Miał jedenaście lat i nie był gotowy na rozstanie z rodziną. Pragnął, by matka utuliła go do snu i zaśpiewała ulubioną kołysankę, którą nuciła mu co wieczór.

— Od dziś masz na imię Paweł — dodał ojciec.

— Tak, ojcze. — Skłonił głowę.

Bracia uścisnęli go, a matka raz jeszcze chwyciła w ramiona i przytuliła tak bardzo, że brakło mu tchu.

— Tak bardzo cię kocham… — szepnęła. — Do zobaczenia!

— Bądź dzielny, mój synu. To teraz będzie twój dom. — Ojciec wskazał na małą, ubogą chatkę Zofii i Jana Kasprzyków, którzy stali w progu chałupy i ze smutkiem przyglądali się rozdzierającej serce scenie pożegnania. Jeszcze wczoraj Salzmanowie i Kasprzykowie szybko spisali fikcyjną umowę kupna–sprzedaży domu Salzmanów. W obawie przed ewentualnym zaprzepaszczeniem majątku Salzmanowie chcieli zabezpieczyć przyszłość swoich dzieci. Znali Kasprzyków i mogli im zaufać nawet w tak poważnej sprawie. Wiedzieli, że są zbyt porządnymi ludźmi, by złamać dane wcześniej słowo.

Kasprzykowie robili, co mogli, by dziecku ich bliskich znajomych żyło się w miarę normalnie, ale nie pozwalali, by mały oddalał się samotnie nawet na dwa metry. Gdy ktokolwiek zbliżał się do ich domu, chowali Kalmana do wnęki za piecem chlebowym, która została po robocie pijanego zduna. W noce, gdy w okolicach robiło się niebezpiecznie, kryjówką Kalmana była głęboka szuflada na spodzie dębowej szafy. Jan Kasprzyk wyciął w mało widocznym miejscu otwór, by mały mógł swobodnie oddychać, gdyby musiał ukryć się w szufladzie na dłużej.

Po trzech latach, gdy Kalman znacząco urósł i już nie mieścił się w szufladzie, trzeba było zmienić kryjówkę. Z braku lepszego schowka Kasprzykowie umieścili go w stajni, gdzie ukrywał się co noc. Za dnia pomagał im w gospodarstwie i obejściu, choć bywały i takie dni, że całymi godzinami nie widział światła dziennego, bo musiał się chować.

Zofia Kasprzykowa, choć była dobrą kobietą, nie potrafiła ani nie mogła zastąpić mu matki, a kołysanka w jej ustach nie brzmiała tak samo. Kalman tęsknił za rodziną i wypatrywał dnia, gdy matka z ojcem pojawią się, tak jak obiecywali, i zabiorą go ze sobą. Jednak wiadomości, które docierały do wsi, budziły coraz większy niepokój.

Gdy wojna się skończyła, a sytuacja we wsi trochę się uspokoiła, szesnastoletni Kalman wrócił do opuszczonego rodzinnego domu i zajął się produkcją wyrobów skórzanych w małym warsztacie — tak jak to robił kiedyś jego ojciec. Później dowiedział się, że cała jego rodzina trafiła do getta w Rzeszowie, a stamtąd do obozu w Bełżcu, który był ostatnim przystankiem ich drogi. To, że przeżył dzięki zapobiegliwości rodziców, wcale mu nie pomagało. Został sam. Zupełnie sam.

Estera miała trochę mniej szczęścia niż on. Rodzina umieściła ją wraz z Anną, siostrą bliźniaczką, u Pleśniaków, dalszych krewnych, którzy wprawdzie nie byli z tego powodu zadowoleni, ale zrobili wszystko, by uchronić dziewczynki przed złem. Anna zmarła pierwszej zimy na zapalenie płuc. zostawiając siostrę z traumą, jaką trudno opisać słowami. W nocy budziła się z krzykiem, dostawała spazmów i dreszczy. Wołała matkę i siostrę, lunatykowała i chciała uciekać od Pleśniaków. Pewnej nocy Janina Pleśniak zauważyła lunatykującą dziewczynę, jak szła w stronę lasu. Niemal w ostatniej chwili złapała ją i siłą przyprowadziła do domu.

Zachowanie Estery stwarzało ogromne ryzyko, więc Janina Pleśniak nie czekając, aż krzyki dziewczynki dotrą do nieodpowiednich uszu, postanowiła uspokajać i usypiać ją naparem z niedojrzałych makówek. Kompot, owszem, działał skutecznie, bo Estera spała jak zabita, ale miał zły wpływ na jej organizm. Estera straciła apetyt i odporność, co rusz dopadały ją jakieś choroby — przeszła zapalenie płuc i ospę, wyglądała coraz marniej. Drobne kości opięte cienką warstwą skóry i drobnych żyłek. Wiele miesięcy zajęło opiekunom, by przywrócić dziecko do jako takiej formy.

Podczas procesji wielkanocnej w 1946 roku Janina Pleśniak dowiedziała się od miejscowych kobiet, że w sąsiedniej wiosce w domu Bejli i Mojżesza Salzmanów mieszka ich ocalały z pożogi wojennej nastoletni syn. Uknuła więc szybko plan pozbycia się Estery, która nie nadawała się do pracy w gospodarstwie, a była dodatkową gębą do wyżywienia. Pleśniakowa zdawała sobie sprawę, że Esterze będzie najlepiej wśród swoich. Pod pretekstem uszycia skórzanej torby dla męża wysłała dziewczynę do oddalonego o kilka kilometrów domu Salzmanów. Liczyła, że młody chłopak nie oprze się hipnotyzującej urodzie Estery. I nie myliła się. Po kilku dniach Kalman pofatygował się do nich z gotową, znakomicie odszytą torbą, a potem tylko szukał kolejnych pretekstów, byle zobaczyć się z dziewczyną.

Już po paru miesiącach Kasprzykowie i Pleśniakowie pobłogosławili młodych. Estera i Kalman zamieszkali w jego domu na wzgórzu, oddalonym od wiejskich zabudowań, i zaprzyjaźnili się z jedynymi sąsiadami — Maciejem Woźniakiem i jego świeżo poślubioną żoną Marcjanną.

IX. Teraz

Dzień dobry, mówi Marcelina Midowicz. Wydawnictwo pana Leona Przybyłowicza oddelegowało mnie do przeprowadzenia z panem wywiadu do książki biograficznej — recytowała jednym tchem, gdy po kilku próbach kontaktu w końcu usłyszała Jurewicza. Jej głos był miękki i przyjemny. W pracy wszyscy mówili, że zamiast pisać, powinna zostać prezenterką telewizyjną albo radiową.

— Słucham? Nie rozumiem. To chyba pomyłka.

— Wydawnictwo pana Leona Przybyłowicza oddelegowało mnie do przeprowadzenia z panem wywiadu do książki, na którą podpisał pan umowę. Wywiad rzeka. Dzwonię, aby umówić się na spotkanie i nagrywanie rozmowy — ciągnęła Marcelina.

— Taaaaak. — Jurewicz potwierdził z niepewnością w głosie. — Ale w tej sprawie byłem umówiony z panem Pellerem …

— Pan Peller nie może obecnie przeprowadzić rozmowy z panem, ale wszystko wyjaśnię, jak się spotkamy — tłumaczyła. — Czy ma pan czas dziś wczesnym popołudniem?

— No dobrze — odparł po chwili namysłu. — Gdzie?

— Mieszkam w pensjonacie Leśne Zacisze. O piętnastej, na tarasie restauracji? — zaproponowała.

— Dobrze, będę o piętnastej.

— Świetnie. Zatem do zobaczenia.

Nawet nie odpowiedział, tylko się rozłączył. Po tej krótkiej rozmowie zorientowała się, co miał na myśli Przybyłowicz, mówiąc, że to niespecjalnie znośny typ. Trudno. Opracowanie książki Łukasza postanowiła traktować jako kolejne zadanie do wykonania. Na zimno, bez angażowania się i zbędnych emocji. Nagranie, pisanie, redakcja, autoryzacja i finał. Resztą zajmie się Łukasz, a ona w końcu wróci do rozpoczętego kilka miesięcy temu projektu, który jakby nie miał końca.

Wieczorem ponownie zaczytywała się w publikacjach o Jurewiczu i musiała przyznać, że temat bardzo ją zainteresował. Mimo wcześniejszego zarzekania się, że nie ma pojęcia, kim jest Mateusz Jurewicz, okazało się, że słyszała o nim w mediach, ale nie skojarzyła nazwiska z pojawiającym się często obrazkiem mężczyzny w kasku i okularach. Pochodził z Wrocławia. Sportowiec amator. Himalaista, alpinista, kolarz, legenda amatorskiego triathlonu. Wysoki brunet, niebieskie oczy, atletyczna sylwetka. Kawaler. Niestały w uczuciach. Często zmienia partnerki. Lubi imprezy. Obieżyświat. Idol nastolatków. Gwiazda Internetu. Celebryta.

Rok temu przestał święcić triumfy w sporcie i brylować w Internecie po tym, jak najpierw pod wpływem alkoholu zrujnował swój wizerunek sportsmena, a potem podczas wycieczki w Tatry w przepaść spadł jego przyjaciel, z którym startował w niemal wszystkich zawodach. Choć sprawa wypadku została umorzona, na Jurewiczu ciążyło niewypowiedziane oskarżenie. Telenowela, będzie o czym pisać, stwierdziła Marcelina.

Ponieważ do spotkania pozostało jeszcze kilka godzin, postanowiła lepiej poznać okolicę. Robiła tak zawsze podczas służbowych wyjazdów. Kiedy inni woleli przesiadywać w pubach czy restauracjach, Marcelina lubiła poznawać zakamarki miast i miasteczek. W ten sposób dowiedziała się o Polsce więcej niż podczas lekcji geografii w szkole.

Zbiegła po schodach.

— Dzień dobry — rzuciła w stronę spłoszonej recepcjonistki, która nerwowo zamknęła książkę.

— Dzień dobry. Mam nadzieję, że dobrze się pani spało, a pobyt u nas pani służy. — Recepcjonistka wyrecytowała formułkę, którą musiała powtarzać każdemu, kto wykupił nocleg tutaj.

— Miło pani zaczyna dzień. — Marcelina podeszła bliżej i wskazała na książkę, którą dziewczyna wsunęła na półkę pod ladą. Recepcjonistka się zmieszała. — Czytania akurat nie musi się pani wstydzić. — Marcelina się roześmiała, widząc zakłopotanie pracownicy pensjonatu.

— Może i tak, ale jestem w pracy, nie powinnam tego robić. Jeszcze ktoś zauważy i doniesie tam, gdzie nie trzeba. Ale są dni, gdy się śmiertelnie nudzę. Czasami nie mam co tu robić.

— Spokojnie, nie wydam pani — zapewniła i ściszając głos, dodała: — Powiem więcej, sama biorę książki do pracy i podczytuję, jak szef nie patrzy. Marcelina jestem. — Podała recepcjonistce dłoń.

— Jola. W takim razie się rozumiemy. Czy mogę ci w czymś pomóc, żeby uprzyjemnić pobyt u nas?

Marcelina początkowo zaprzeczyła, ale po chwili uznała, że pora rozpytać miejscowych o swojego rozmówcę.

— Znasz Mateusza Jurewicza?

Jola uśmiechnęła się delikatnie, jej policzki się zaróżowiły, a oczy błysnęły. Pokiwała głową. Marcelinę zaciekawiła jej reakcja.

— Oczywiście, że tak. Wszyscy go tutaj znają — mówiła z entuzjazmem. — I bardzo lubią.

— W końcu jest gwiazdą — westchnęła Marcelina.

— To nie dlatego — odparła recepcjonistka, a dostrzegając natarczywe spojrzenie Marceliny, krótko opowiedziała, jak mieszkańcy wsi początkowo traktowali go nieufnie i z rezerwą, a on szybko zaskarbił sobie ich sympatię. Ale jak, już nie powiedziała.

— Zaskakujące — stwierdziła sceptycznie Marcelina. — Słyszałam o nim zupełnie inne opinie.

Jola wzruszyła ramionami.

— Musisz się sama przekonać.

— Tak zrobię. Dziś po południu jestem z nim umówiona. Przyjechałam, żeby napisać o nim książkę. Przepraszam — zerknęła na zegarek — muszę lecieć. Do zobaczenia później.

Czekało już na nią zamówione śniadanie, które zjadła z przyjemnością, a potem ubrała wygodny strój sportowy, wsiadła do auta i ruszyła w kierunku rynku, by w jedynym bankomacie w promieniu kilkunastu kilometrów wybrać trochę gotówki. Przy okazji chciała zobaczyć to, co wczoraj zdążyła wyczytać w sieci. Jak na tak malowniczą okolicę było tego niewiele: synagoga, cmentarz, kościół, kilka pomników i miejsc pamięci związanych z lokalną historią.

Na niewielki rynek otoczony kamienicami składało się kilka drzew, kilka ławek, jeden pomnik, kilka klombów z kwiatami i trochę zielonego trawnika, na którym w upalne dni można było rozłożyć koc i odpoczywać w cieniu.

Podeszła do budki z lodami i zamówiła lody z maszyny o smaku czekoladowym z polewą i posypką. Takie, na jakie nigdy sobie nie pozwalała w Warszawie, bo mają masę kalorii. Smakowały nie najgorzej. Usiadła na jednej z parkowych ławek i przyglądała się sennej codzienności miasteczka. Z rozmyślań wyrwał ją telefon wibrujący w kieszeni.

— Cześć, mamo… Przepraszam cię, wiem, miałam zadzwonić. Mój błąd, ale… — Lód topił się w dość szybkim tempie. Marcelina próbowała go jeść i rozmawiać, ale ani jedno, ani drugie jej nie wychodziło.

— Dobra, już się przyzwyczaiłam. Wszystko w porządku? — spytała pani Emilia. — Jak minęła ci podróż?

— Dzięki, że pytasz. Całkiem dobrze. Lot był krótki i przyjemny, za to jazda samochodem już mniej. Mamo, wzięłaś leki? — zaniepokoiła się Marcelina.

— Tak, biorę cały czas. Nie jestem małym dzieckiem, nie musisz mi przypominać.

— Już raz ci nie przypomniałam i…

— Dobrze, nie wracajmy do tego. — Matka szybko zmieniła temat i głos na cieplejszy i spokojniejszy: — Gdzie właściwie cię wysłali, bo nawet mi nie powiedziałaś?

Marcelina zreflektowała się, że nie wspomniała matce o celu podróży, choć dobrze wiedziała, że pani Emilia nie skojarzy nazwy miejscowości, a tym bardziej jej nie zapamięta. Nie miała głowy do takich drobiazgów.

— Tak, w tym całym pośpiechu pewnie zapomniałam. Ledwie zdążyłam się spakować. Gdzie jestem? Taka niewielka miejscowość na południu Polski, za Rzeszowem, ale to jeszcze nie Bieszczady. Wioska jakich tu wiele. Niebylec. I tak pewnie nic ci to nie mówi.

— Powtórzysz jeszcze raz? bo chyba nie dosłyszałam.Nie — co? — zainteresowała się pani Emilia.

— Nie-by-lec — sylabizowała Marcelina, próbując przekrzyczeć przejeżdżającego obok tira. Widok ciężarówek przejeżdżających tuż pod oknami domów był coraz rzadziej spotykany w Polsce. Wiele miast i miejscowości doczekało się obwodnic wyprowadzających ruch z centrum, lecz Niebylec był jednym z tych miejsc, gdzie uciążliwy ruch tirów dniem i nocą stanowił codzienność. Miała się o tym przekonać pierwszej nocy spędzonej w Leśnym Zaciszu. Nie przespała jej wcale. — Niebylec. Za Rzeszowem. Wiesz, że zaledwie godzina drogi stąd i mogę być na Słowacji?

— Wiem… — usłyszała wyraźny smutek w głosie matki.

— Powiedziałam coś nie tak? — wystarczyło jedno słowo wypowiedziane innym tonem, by Marcelina się zaniepokoiła.

— Nie, nie, tylko… Tyle że… Wróciły dawne wspomnienia…

— Mamo, mów jaśniej, bo nie wiem, o co chodzi. — zniecierpliwiła się, patrząc na zegarek. Dopiero co wyjechała z pensjonatu, posiedziała chwilę na rynku, a już zbliżało się południe.

— Dziecko, to nie jest rozmowa na telefon. Może kiedyś ci opowiem. To długa i skomplikowana historia.

— Dobrze wiesz, że nie lubię, gdy tak stopniujesz napięcie. Zamiast opowiadać całą historię, skróć ją do minimum. Zaoszczędzimy czas. Tak będzie łatwiej.

— Żeby to było takie proste… — Matka przerwała łamiącym się głosem.

— Mamo, jestem daleko od ciebie, a na odległość nie potrafię ci pomóc. Co się stało? Na pewno wzięłaś leki? Byłaś u lekarza?

— To nie o to chodzi, Marcysiu — mówiła przez łzy. — Nie o moje leki. To nie ma z tym nic wspólnego.

— A z czym?

Matka zawiesiła głos. Pomiędzy nimi zapanowała pełna napięcia cisza. Marcelina obserwowała przejeżdżające samochody i dwie staruszki, które podparte laskami próbowały pokonać ruchliwą jezdnię. Stanęły przed przejściem dla pieszych, wyczekując, aż ktoś się zatrzyma.

— Mamo, jesteś tam jeszcze? — zapytała.

— Jestem… Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

— Po prostu powiedz. Bo inaczej zwariuję.

— Wiesz, Marcyś… Nasza rodzina stamtąd pochodzi… Tam nasze korzenie.

— Co takiego? — Marcelina była zupełnie zdezorientowana. — Dopiero teraz mi mówisz, że nie jesteśmy z Warszawy? Dlaczego? Od zawsze mieszkamy w Warszawie.

— To nasza rodzinna miejscowość, dziadkowie tam mieszkali. Dawno temu. Ale oni nie chcieli wracać pamięcią do czasów, gdy tam żyli. Wymazali to. Sama dowiedziałam się o tym przypadkiem, gdy byłam mniej więcej w twoim wieku — wyjaśniła pani Emilia. — Marcyś, to naprawdę nie jest rozmowa na telefon. Dużo by opowiadać, a i tak trudno zrozumieć. Dziwny zbieg okoliczności, że stamtąd do mnie dzwonisz.

— Spędzę tu jakieś dwa tygodnie. Mam tyle czekać, aż wrócę do Warszawy i mi coś opowiesz? Nie wytrzymam. Wyjaśnij cokolwiek. — Marcelina zrobiła się nagle tak stanowcza, że matka nie miała wyjścia.

— Nie znam całej historii. — pani Emilia zawahała się. — Twoja babcia nigdy nie opowiedziała mi wszystkiego. Było coś, co ją męczyło całe życie, ale wiesz, jaka była. Nigdy się nie zwierzała, nawet gdy coś ją gryzło albo gdy chorowała. Znam strzępki historii, które składałam jak puzzle, ale nigdy nie złożyłam wszystkiego w całość. Wiesz, skoro jesteś na miejscu, może sama czegoś się dowiesz? — zasugerowała matka. — Na pewno pozostał tam po nich jakiś ślad. A może żyje jeszcze ktoś, kto pamięta twoich dziadków?

Marcelina milczała. Za dużo tych sensacji jak na kilka ostatnich dni. Najpierw została narzeczoną. Potem wysłano ją do pracy na koniec Polski. Teraz dowiedziała się, że jej rodzina skrywa jakąś tajemnicę. Zbyt dużo wrażeń. Zapatrzyła się przed siebie. Dwóm staruszkom w końcu udało się przejść przez ulicę. Ruch na drodze jakby zelżał. Na przystanku zatrzymał się autobus, a gdy odjechał, skwer opustoszał. Gdzieś zaszczekał pies. Słońce zasłoniły gęste chmury. Zaczęło kropić. Marcelina otarła twarz.

— Marcelinko? — głos matki wyrwał ją z zamyślenia.

— Taaaak. Masz rację, spróbuję się czegoś dowiedzieć. Skoro już tu jestem…

— Dobrze. — pani Emilia odetchnęła z ulgą.

— Mamo, nadal nic nie rozumiem. Dlaczego ty nigdy nie próbowałaś? Nigdy nie przyjechałaś tutaj? Nie korciło cię, żeby sprawdzić, żeby zobaczyć miejsce urodzenia rodziców?

— Chciałam, ale twoja babcia uważała, że to zły pomysł.

— I ciebie to zadowoliło? Gdybym się dowiedziała, że moi rodzice z jakiegoś powodu nie chcą znać rodzinnej miejscowości, że wymazali ją z pamięci, to nie dałabym się tak łatwo zbyć. Nie zastanawiałaś się, dlaczego nie chcieli opowiadać o Niebylcu? — drążyła Marcelina.

— Pewnie mieli swój powód. Ale, Marcelinko, ja nigdy nie rozmawiałam z rodzicami tak otwarcie, o wszystkim, jak ty ze mną. Uznałam, że skoro nie chcą o tym mówić, to ja nie mam prawa, by tego od nich żądać.

— I przez te wszystkie lata nie nurtowało cię pytanie o krewnych, o dom rodzinny babci i dziadka? A może nie chciałaś poznać prawdy?

— Możliwe — przyznała matka.

Marcelina wyczuła, że nic więcej z niej już nie wyciągnie.

— Pogadamy o tym, jak wrócę do Warszawy, okej? Muszę już kończyć, bo dziś po południu mam wywiad. Pa.

— Czekaj, Marcelinko, jak Łukasz? Pisał, jak sobie radzi? Pewnie po powrocie do Warszawy polecisz do niego do Hiszpanii i znów nie będę cię długo widzieć.

— Oświadczył mi się przed wylotem — wydusiła z siebie, zdając sobie sprawę, że ukrywanie tego przed mamą nie miało sensu. Pani Emilia bardzo ceniła Łukasza i uważała, że córka dobrze wybrała.

— Boże, jak się cieszę! Mam nadzieję, że oboje jesteście szczęśliwi. Szkoda tylko, że

teraz los was tak rozdzielił. Gratuluję ci, kochanie. Gratuluję z całego serca.

— Też się cieszę — odparła beznamiętnie Marcelina.

— Właśnie słyszę… Przepraszam, przepraszam, Marcelinko. Nie powinnam się wtrącać. — głos pani Emilii zadrżał. — Wiem, że musisz kończyć, więc powiem ci tylko, że skoro tak cię to interesuje, to może popytasz miejscowych i dowiesz się czegoś więcej o swoich dziadkach i ich krewnych. Ale jeszcze raz mówię, że babcia nie byłaby z tego zadowolona. Ja szanowałam jej decyzję. A ty… zrobisz, jak uważasz.

— Pa, mamo. — Marcelina chciała już skończyć tę rozmowę.

— Do usłyszenia, dzwoń, jak będziesz mieć czas.

— Pa.

Rozmowy z matką bywały trudne, ale tego się nie spodziewała. Jej najbliższa rodzina przez lata wiodła nadzwyczaj spokojne i poukładane życie. Rodzice byli wzorowym małżeństwem. Marcelina nigdy nie słyszała, żeby się kłócili czy nawet sprzeczali, ale też nie okazywali sobie zbyt wiele czułości. Ot, prowadzili zwykłe życie, oboje dając z siebie jak najwięcej, żeby ich związek przetrwał bez burz. Stanowili zgrany duet. Matka, wychodząc za statecznego urzędnika, lata młodości miała już za sobą. Marcelina przyszła na świat po kilku latach starań, gdy rodzice wydawali się pogodzeni z tym, że prawdopodobnie nigdy nie będą mieli dziecka. Los jednak był przewrotny, obdarzył ich śliczną dziewczynką, która zupełnie zmieniła ich życie. Chcieli mieć więcej dzieci, ale gdy Emilia przekroczyła czterdziestkę, postanowiła skupić się na tym, co ma.

Życie w małym warszawskim mieszkaniu Marcelina wspominała z sentymentem, choć zdarzało się, że w wakacje, gdy jej koledzy z podwórka wyjeżdżali za miasto, czuła żal, że nie ma dziadków na wsi. Gdy najpierw zmarli dziadkowie ze strony ojca, potem matki, a w końcu rak wykończył jej cierpliwego i łagodnego ojca, Marcelinie i jej matce zaczęła doskwierać samotność. Życie w wielkim mieście stało się dla dwóch ceniących spokój kobiet wielkim wyzwaniem. Matka pogrążyła się w rozpaczy, aż wpadła w depresję. Marcelina jeszcze podczas studiów zaczęła pracować, aby wspomóc domowy budżet.

X. Kiedyś

Kiedy zjeżdżali ze wzgórza, we wsi było już widać poruszenie. W kościele właśnie skończyło się majowe. Dzwony biły coraz ciszej, aż przestały, a z drzwi wysypało się duże grono odświętnie ubranych wiernych, głównie matek z dziećmi, starszych kobiet w kolorowych chustkach wiązanych pod brodą i mężczyzn w beretach. Starsze kobiety na widok podekscytowanych dzieci kręciły głowami i pomstowały na rozpustę, za jaką miały kino. Jedna z nich ciągnęła za rękę płaczącą kilkulatkę, która chciała pójść za grupą roześmianych dziewczynek z kokardami we włosach i podkolanówkach. Te wesoło podskakiwały i chichotały, mimo upomnień ze strony matek, że choć dopiero co wyszły z majówki, to nie potrafią zachować powagi. Kilku młodych chłopców, pewnie ministrantów, szybko wybiegło od strony zakrystii i ruszyło pod remizę, gdzie ulokowało się kino objazdowe. Pod budynek schodzili się ludzie z różnych stron wsi i okolicznych wiosek.

Drewniana remiza strażacka była ważnym miejscem dla mieszkańców. Organizowano tu zebrania wiejskie, zabawy i festyny, a także imprezy okolicznościowe. Dzięki zaradności sołtysa i kilku zapaleńców wyposażona była w solidne drewniane stoły, ławy i krzesła. W jednym z mniejszych pomieszczeń działała niewielka biblioteka, obficie wyposażona jeszcze przed wojną przez dawną dziedziczkę wsi, która wiosną 1935 roku wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Zostawiając na zawsze rodzinną wieś, przekazała cenny księgozbiór będący własnością jej babki. Podobno zaraz po wojnie korzystał z niego jakiś znany historyk literatury, pisząc pracę naukową. Na prośbę kierowniczki zostawił wpis w pamiątkowej księdze gości, czym przez lata chełpiła się biblioteka. Największą salę w remizie zajmowała świetlica, miejsce zabaw i zebrań wiejskich. To w niej miała się odbyć filmowa projekcja.

Kino zapowiedziało się niemal w ostatniej chwili. Tydzień wcześniej w remizie odbywało się wesele, więc sala była wystrojona na tę okoliczność. Weselnicy nie zdążyli jeszcze zdjąć ozdób. U sufitu nadal wisiały papierowe łańcuchy i girlandy, a ściany przyozdobione były gałęziami świerkowymi upiększonymi kolorowymi wstążkami z bibuły.

Remizę otaczał tłum ludzi. Drzwi wejściowe były zamknięte, lecz z wnętrza dobiegały odgłosy przygotowań. Ludzie próbowali zajrzeć do środka, ale odchodzili rozczarowani, bo okna były zabite deskami. Ktoś wyjaśnił, że zrobiono to na polecenie pracowników kina, którzy obawiali się, że osoby bez biletów będą zaglądać przez okna. Inni twierdzili, że zaciemnienie ma być efektem potęgującym wrażenia w kinie.

Dochodziła dziewiętnasta, ale drzwi nadal były zamknięte. Zniecierpliwieni mężczyźni palili papierosy i popijali piwo.

Blum zatrzymał się obok sklepu. Ustawiła się tu także kolejka do miejscowego fotografa, który robił zdjęcia nudzącym się ludziom. Kalman podał dłoń Esterze, by zsiadła z wozu, a potem podszedł do woźnicy. Prosił, by odwiózł ich do domu po skończonym seansie. Najpierw Blum protestował, że za długo musiałby czekać, ale gdy Kalman wsunął mu do kieszeni parę monet więcej, niż było umówione, zmienił zdanie. Ustalili, że o dwudziestej trzydzieści będzie czekał na nich w tym samym miejscu.

Salzmanowie rzadko zaglądali do wsi. Kalman od czasu do czasu, a Estera była tu ostatnio chyba jeszcze przed zajściem w ciążę. Ilekroć się pojawiała, czuła na sobie spojrzenia innych. Niby wszyscy byli dla niej uprzejmi i mili, ale miała wrażenie, że gdy tylko się odwraca, plotkują na jej temat. Dlatego unikała wsi, która budziła w niej niepokój.

I rzeczywiście, Salzmanowie od razu zwrócili uwagę miejscowych. Szczególnie Estera,

za którą wzrokiem wodzili i mężczyźni, i kobiety. Kalman miał rację. Była tu najbardziej wystrojona. Zwiewna czerwona sukienka w białe kwiaty, przewiązana w talii paskiem, mocno różniła się od brązów i szarości dominujących w tłumie. Kobiety były ubrane tak, jak żyły na co dzień, czyli skromnie, więc z zazdrością, a może i niechęcią spoglądały na elegancką sukienkę Estery.

— Chodź, zrobimy sobie zdjęcie — szepnął Kalman do zakłopotanej żony.

— Wiesz, że nie mamy pieniędzy…

— To parę groszy, a pamiątka będzie na całe życie — żachnął się Kalman. — No chodź!

Szybko przygładziła włosy i poprawiła sukienkę. Tak naprawdę pomysł męża bardzo jej się spodobał, zwłaszcza że nie mieli żadnego wspólnego zdjęcia. Nawet ślubnego. Dziś oboje byli elegancko ubrani i szczęśliwi. Taka okazja może się już nie powtórzyć, pomyślała Estera.

Alojzego Wróbla znali tutaj wszyscy. Był amatorem, samoukiem, ale w sztuce fotografii osiągnął wysoki poziom, a jego umiejętności cenili nawet miastowi. Przyjeżdżali specjalnie, by stanąć właśnie przed jego obiektywem, choć u siebie mieli do wyboru profesjonalnych fotografów. Alojzy Wróbel nie miał zakładu fotograficznego z prawdziwego zdarzenia ani sprzętu jak fotograficy z miasta, ale miał oko do zdjęć i potrafił uchwycić to „coś". Najchętniej robił zdjęcia okolicznościowe, portrety, nie stronił też od landszaftów. Cenił się wysoko, ale dla miejscowych miał specjalne ceny, bo sam dobrze wiedział, jak trudne jest życie na wsi. Kalman przetrząsnął kieszenie. Znalazł jeszcze kilka monet. Na jedno zdjęcie wystarczy.

Kiedy przyszła ich kolej stanąć przed obiektywem Wróbla, Kalman pochylił się nad Esterą tak, że poczuła jego gorący oddech na szyi.

— Kocham cię. Jesteś taka piękna. Nie mogę się doczekać dzisiejszej nocy. Tak bardzo cię pragnę — szepnął jej do ucha, aż przeszedł ją dreszcz. Uśmiechnęła się. Ten właśnie moment uchwycił Alojzy Wróbel.

— Szanownym państwu nawet wskazówek nie trzeba dawać. Pozujecie, jak na zakochanych przystało — stwierdził fotograf.

— Kiedy zdjęcie będzie gotowe? — spytał Kalman.

Wróbel wzruszył ramionami.

— Jak widzicie, mam mnóstwo roboty. Trochę mi zejdzie, ale nie martw się. Pytaj za dwa tygodnie.

Kalman pożegnał się i poszedł do Estery, która w grupie ludzi tłoczących się pod oknem remizy zauważyła kogoś znajomego. To Aniela, koleżanka ze szkoły. Uśmiechnęły się do siebie. Aniela przecisnęła się między ludźmi i podeszła do Salzmanów, kołysząc biodrami tak, że kilku mężczyzn przeciągle zagwizdało. Aniela obróciła się i wyniośle otaksowała ich wzrokiem.

— Nie dla psa kiełbasa! — zawołała w ich stronę. — Chłopy ze wsi mnie nie interesują.

Mężczyźni roześmiali się i wrócili do palenia papierosów.

— Czekaj, Aniela, jeszcze będziesz prosić, żebym odprowadził cię dziś do domu! — rzucił jeden z nich.

Dziewczyna popukała się w czoło.

— Nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę — powiedziała, serdecznie ściskając Esterę. — Boże, jak dawno cię nie widziałam! Tyle miesięcy, a może i rok będzie? Opowiadaj, co u ciebie. Jezu, nic a nic się nie zmieniłaś!

— Niewiele brakowało, a nie zobaczyłabyś mnie tutaj — przyznała Estera cicho, spoglądając na Kalmana. — Mamy małe…

— Kłopoty? — zaśmiała się Aniela. — Dziewczyno, w małżeństwie co rusz są jakieś kłopoty. Popytaj kobiet we wsi. Dlatego ja pozbyłam się kłopotu. Przepędziłam męża i uwierz mi, żałuję, że nie zrobiłam tego wcześniej.

Estera postanowiła nie tłumaczyć jej, że się nie zrozumiały, bo Aniela ciągnęła dalej swoją opowieść o nieudanym małżeństwie, opowiadając o wielu szczegółach z pożycia.

— Ale ty, moja droga, wystroiłaś się tak, że to Kalman może mieć kłopoty. Masz piękną sukienkę. Teraz takie czasy, że nic ładnego nie można kupić, więc chętnie się dowiem, gdzie ją dostałaś.

— To sukienka mojej mamy. Jej ulubiona — odparła.

Estera nie zdążyła powiedzieć nic więcej, a Aniela o nic już nie zapytała, bo otworzyły się drzwi do remizy i dobiegł donośny głos:

— Zaczynamy, wchodźcie!

Aniela zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, i wraz z tłumem próbowała dostać się do środka. Kalman złapał Esterę za rękę i pociągnął za sobą w stronę sklepu.

— Muszę jeszcze kupić papierosy — mruknął. — Potem będzie zamknięte.

Wszedł do środka, a ona siadła na ławce, by odpocząć. Pantofle, które włożyła na dzisiejszy wieczór, były ładne, ale niewygodne. Stopy miała zmęczone, więc zsunęła z nich buty i oparła się o ścianę sklepu. Myślała o Beniaminie. Wiedziała, że jest w dobrych rękach Marcjanny, ale rozstanie z dzieckiem było dziwnie bolesne. Kiedy Kalman wyszedł ze sklepu, szybko włożyła pantofle i się poderwała. Wtedy brzeg sukienki zaczepił o wystającą drzazgę i spory kawałek pięknego czerwonego materiału w białe kwiaty, którym tak zachwycała się Aniela, został pod ławką. Sukienka się rozdarła. Estera miała łzy w oczach. Z nagłą rozpaczą popatrzyła na męża.

— To nic takiego — stwierdził Kalman. — Chodź, bo remizę zamykają.

Nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Jej najlepsza sukienka, pamiątka po matce, została zniszczona w tak głupi sposób. Przetrwała wojnę, a nie oparła się drzazdze z ławki pod wiejskim sklepem.

— Kupię ci nową, zobaczysz. No chodź już — niecierpliwił się Kalman.

Schyliła się, żeby wyciągnąć kawałek materiału spod ławki. Może da się doszyć, pomyślała.

— Daj spokój, zostaw to. Idziemy — zadecydował.

Estera nie miała siły protestować. Zrezygnowana szła o krok za mężem. Przed drzwiami do remizy obejrzała się za siebie. Kawałek jej sukienki nadal tkwił pod ławką. Do remizy weszli jako ostatni. Kiedy Kalman pokazał bilety, gospodarze pokazu zamknęli za nimi drzwi i wywiesili zawieszkę z napisem „Zamknięte”. Byli już mocno podchmieleni.

W sali było ciemno i duszno. Estera i Kalman na początku nic nie widzieli, a kiedy po chwili wzrok przyzwyczaił się do półmroku, z trudem znaleźli miejsca siedzące. Jeden z pracowników kina pokierował ich na przód sali, gdzie ludzie nie tłoczyli się aż tak bardzo. Przeciskając się w tłumie, Kalman wciąż kogoś pozdrawiał. Estera rozglądała się za Anielą. W końcu ją dostrzegła. Śmiało rozmawiała z mężczyzną, który obsługiwał projektor.

Usiedli. W remizie panowała potworna duchota, ale nie było szansy na świeże powietrze. Nie dość, że wszystkie okna były szczelnie zabite deskami, to jeszcze kilka osób paliło papierosy. Estera usłyszała zalotny śmiech Anieli, który niósł się po sali. Odwróciła się i zobaczyła, jak facet od filmu szeptał Anieli coś do ucha, obejmując ją w talii, a ta śmiała się w głos. Podał jej kieliszek wódki, który chyłkiem opróżniła. Potem nalał sobie.

— Wszyscy już są? Zaraz zaczynamy! — krzyknął człowiek od kina. — Co dziesięć minut będziemy mieć krótką przerwę, bo musimy zmienić rolkę. Jak będzie przerwa, nigdzie nie wychodźcie, bo nie będziemy na nikogo czekać. Bawcie się dobrze!

Ekran rozbłysnął, a w sali zapanowała cisza. Już po kilkunastu sekundach filmu widzowie wybuchnęli głośnym śmiechem, po chwili znowu. Krótkie przerwy na zmianę rolek nie psuły

seansu, bo ludzie mieli okazję wymienić się wrażeniami.

— Podoba ci się? — spytał w jednej z przerw Kalman.

Nie musiała odpowiadać. Jej spojrzenie i zaróżowione policzki mówiły więcej niż tysiąc słów. Zapomniała nawet o podartej sukience.

— Zobaczysz, kiedyś, jak Beniamin dorośnie, pojedziemy do miasta, do prawdziwego kina — zapalił się Kalman. — Tam to dopiero będą wrażenia. Nie to co tutaj, w tej budzie.

— Ale masz plany… Przecież to będzie najwcześniej za kilka lat — roześmiała się Estera.

— Poczekamy. — Kalman wzruszył ramionami.

Do wznowienia seansu pozostało jeszcze kilka minut. Aniela przecisnęła się przez widownię i pety porozrzucane po podłodze i po chwili znalazła się obok Salzmanów. Czuć było od niej alkohol.

— Nie uwierzysz. — Przysiadła obok koleżanki. — Poznałam fajnego faceta. Tego, o, tam. — skinęła głową w jego stronę. — Mam jechać z nim w trasę z filmami. On mówi, że jesteśmy dla siebie stworzeni. I może rzeczywiście, bo znam go pół godziny, a dogadujemy się, jakbyśmy się znali od zawsze.

Estera nie rozumiała zachwytów koleżanki, bo pracownicy objazdowego kina nie budzili w niej zaufania. Gardziła towarzystwem lubiącym wódkę i bezczelnie uwodzącym obce kobiety.

— Jesteś pewna, po kilkunastu minutach? — spytała z niedowierzaniem. — Założę się, że nie wiesz, jak on ma na imię ani czy ma żonę i dzieci.

— Nie wiem, jak ma na imię. Co mnie obchodzi, czy ma żonę i dzieci, ale jak całuje… — odparła bez zażenowania rozmarzona i pijana. Ściszyła głos i szepnęła Esterze prosto do ucha: — Jego kolega bardzo chciałby cię poznać, ale chyba boi się Kalmana. Mówi, że niezła sztuka z ciebie.

Estera się obruszyła. Fragment rozmowy musiał dolecieć także do Kalmana, bo szybko spojrzał na pracowników kina. Aniela prychnęła.

— Jakbyś się namyśliła, daj znać. A przy okazji, on ma na imię Staszek. — Aniela puściła do niej oko i poszła do swojego wybranka.

Filmowcy uciszyli zebranych, a kiedy na ekranie znów pojawił się obraz, publiczność się zaśmiała. Salzmanowie siedzieli przytuleni.

— Czy można otworzyć okno? — zapytał ktoś podczas kolejnej przerwy. — Zaraz się tu udusimy, a wy jeszcze palicie papierosy.

— Otwórzcie chociaż jedno. Tu są małe dzieci — padło z drugiego końca sali.

— Tu nie ma czym oddychać!

— Drzwi otwórzcie! — wołał ktoś inny.

— Wykluczone — żachnął się amant Anieli. — Jeszcze nam brakowało, żeby kto oglądał film bez biletu. Zostało nam pół godziny, wytrzymacie. Spokój ma być.

— Otwórzcie to cholerne okno, bo pożałujecie — zagroził wysoki mężczyzna, który ruszył w stronę pracowników kina, podwijając rękawy. — Co z wami?

Aniela, widząc poruszenie na sali, próbowała przekonać filmowców, by zdjęli deski chociaż z jednego okna. Mężczyźni jednak zlekceważyli jej prośby i napełnili sobie kieliszki.

— Uwaga, zaraz zaczynamy, siadajcie na miejscach — polecił Staszek. — I dajcie w spokoju zmienić rolkę.

Mężczyzna, który przed chwilą domagał się otwarcia okna, stanął już przed stołem z projektorem i zwojami taśm.

— Mówię wam po dobroci, otwórzcie to cholerne okno albo drzwi. Nie wytrzymamy tak dłużej — wycedził.

— Wracaj na miejsce, wieśniaku — rozkazał Staszek, odpalając kolejnego papierosa. — Wynocha!

Aniela szturchnęła go w bok.

— No co ty, Staszek. Otwórz te głupie drzwi.

Ale Staszek, który przed chwilą tak czule całował i przytulał, odepchnął ją tak, że poleciała na ścianę.

Mężczyzna z sali zamachnął się na niego, ale Staszek zrobił unik. Wtedy z ust wypadł mu tlący się papieros. Wprost na zwój taśmy filmowej. Celuloidową taśmę błyskawicznie zajął ogień. Momentalnie płomienie objęły dłonie Staszka, więc rzucił rolkę na podłogę, gdzie leżały pozostałe zwoje łatwopalnej taśmy. Ogień szybko rozszalał się na dobre. Ludzie najbliżej próbowali ugasić go marynarkami, ale taśmy już paliły się niczym pochodnie. Ci, którzy stali blisko projektora, znaleźli się w samym środku pożaru.

— Pali się, uciekać! — zawołał ktoś z sali.

— Ludzie, pożar! Uciekajmy!

Widzowie rzucili się w popłochu w stronę drzwi i okien, ale języki ognia były szybsze. Obejmowały coraz łatwiej drewnianą podłogę i ściany, suche gałązki świerku i bibułę, drewniane ławy i stoły. Ludzie tratowali się, by jak najszybciej wydostać się z remizy.

Aniela oprzytomniała po upadku, ale kiedy wstawała, płonęła już jej sukienka. Poczuła piekący ból na łydkach i udach. Zaczęła zdzierać z siebie ubranie, lecz wtedy ogień zajął jej włosy. W amoku uderzała głową o ścianę, próbując go ugasić. Krzyczała przerażona.

— Estera, ratuj, palę się! — wołała ostatkiem sił. — Estera… Ratuj!

Estera wśród wrzasków i jęków rozpoznała głos koleżanki, ale nie mogła jej pomóc. Przerażona patrzyła, jak Anielę obejmują płomienie, a potem upada na podłogę. Obok młoda matka próbowała osłonić swoje dziecko. Ale i ona, i jej córka zmieniły się szybko w żywą pochodnię. Makabryczne widowisko, a może roztaczający się wokół smród spalonej celuloidowej taśmy sprawiły, że Esterze zebrało się na wymioty, ale zatkała usta dłonią. Dlaczego nie zostałam z Beniaminem? Dlaczego? — myślała w kółko. Boże, spraw, żebym go jeszcze zobaczyła, modliła się w duchu. Stała jak sparaliżowana.

— Kocham cię — wycharczała do męża, kaszląc. — Nie mogę mówić, coś mnie dusi.

— Ja ciebie też! — krzyczał Kalman. Otoczył ją ramionami, jakby chciał uchronić przed ogniem. Potem zaczął się przepychać z żoną w stronę okna, które ktoś jakimś cudem uwolnił z desek. Ludzie zaczęli tamtędy wyskakiwać, żeby wyrwać się płomieniom. Ktoś wyrzucił przez okno kilkuletnie dziecko.

Dym i przerażające okrzyki z remizy dotarły na zewnątrz. Pod budynkiem siedziało wcześniej paru ludzi, którzy teraz próbowali w ogólnej panice wyważyć drzwi i dostać się do uwięzionych. Nieludzkie krzyki usłyszał kościelny, który po nabożeństwie majowym zajął się porządkowaniem obejścia wokół kościoła. Dostrzegł dym idący z okna.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego… — Odruchowo ściągnął czapkę, przeżegnał się, po czym zawołał ile sił w piersi: — Ludzie, pali się! Pożar! Ludzie, ratujcie!

Czym prędzej zaczął biec do magazynu ochotniczej straży pożarnej, który mieścił się pomiędzy remizą i sklepem, by jak najszybciej uruchomić sprzęt gaśniczy. Po drodze dołączyło do niego jeszcze kilku mężczyzn. Wyłamali drzwi do magazynu i wyciągnęli motopompę. Uruchomili sprzęt. Strumienie wody uderzyły w płonący budynek.

— Jeszcze trochę, damy radę — wołał Kalman, popychając żonę w kierunku okna. — Damy radę. Słyszysz, słyszysz?!

Estera nie odpowiadała. Potrząsnął nią, ale jej ciało leciało mu przez ręce, więc ciągnął ją ostatkiem sił. Widział, że próbuje łapać powietrze. Kalman też czuł mocne drapanie w gardle.

Jeszcze trzy kroki. Uratuje ich. Jeszcze trochę. Wtedy Estera wysunęła mu się z rąk. Chciał się schylić, żeby ją podnieść, ale zdołał tylko usiąść obok niej. Dusił go rozrywający płuca kaszel. Widział, że ktoś podaje mu rękę, żeby wyciągnąć go z otchłani, ale już nie miał siły jej złapać.

Przez załzawione oczy spojrzał na żonę.

Wyglądała, jakby spała. To już noc?

On też zrobił się dziwnie śpiący. Z trudem łapał oddech. Powieki mu ciążyły.

Wtedy zrozumiał, że śni. To był sen o Beniaminie. Od razu poczuł się lepiej.

XI. Teraz

Po rozmowie z matką Marcelina wróciła do Leśnego Zacisza zrezygnowana. Czuła się tak, jakby wyssano z niej resztki sił. Ale musiała się skupić, bo przecież ma do napisania nieszczęsną książkę o Mateuszu Jurewiczu, z którym spotka się lada chwila. Rzuciła okiem na konspekt publikacji przygotowany przez Łukasza i redaktorów Przybyłowicza, żeby usystematyzować rozmowę i przygotować dodatkowe pytania. Pomysł był dość prosty. Rozmowa miała być dynamiczna, szczera i z dużą ilością zdjęć, aby fundować czytelnikom skrajne emocje — od zdziwienia, przez oburzenie i śmiech, aż po łzy. Marcelinie nie do końca się to podobało, ale była tylko ghostwriterem, więc nie próbowała dowodzić swoich racji. Gdyby jej nazwisko znalazło się na okładce, nie odpuściłaby. Ale teraz nie było powodu.

Popołudnie było ciepłe i słoneczne, więc wzięła laptop i dyktafon i usiadła przy stoliku w ogrodzie. Zamówiła podwójne espresso. Potrzebowała dużej dawki kofeiny, żeby przetrzymać jakoś to spotkanie. Miejmy nadzieję, że facet nie będzie opowiadał bzdur. Że w ogóle da się z nim współpracować. W głowie wciąż słyszała niepokojący ton głosu matki, a fakt, że jej dziadkowie z jakiegoś powodu odcięli się od swojej przeszłości, bardzo ją intrygował. Wypiła kawę duszkiem, oparła się o fotel i przymknęła powieki, by odepchnąć natłok myśli. Szukała w pamięci scen z dzieciństwa, próbowała przypomnieć sobie rozmowy z babcią, ale nie mogła trafić na nic, co pozwoliłoby jej przypuszczać, dlaczego babcia i dziadek odcięli się od swojej przeszłości. Wśród licznych obrazów, jakie przesuwały jej się przed oczami, ciągle powracał jeden. Jeden, który nie pasował do jej dotychczasowego wyobrażenia o dziadkach.

Miała wtedy naście lat. Babcia Marysia zachorowała dość poważnie, a mama nie mogła wziąć wolnego w pracy na dłużej, więc zdecydowała, że chorą zajmie się Marcelina. Jej zadaniem miało być podawanie leków o odpowiedniej porze, pomoc w przygotowaniu i podaniu jedzenia oraz dotrzymywanie towarzystwa. Marcelina nigdy wcześniej nie spędzała z babcią tyle czasu. Zwykle zdawkowo odpowiadała na pytania, wpadała na chwilę z wizytą, robiła trochę zamieszania swoimi fantazyjnymi stylizacjami w ulubionej czerni. Trudno było jej znaleźć z babcią wspólny język. Kobieta była dość małomówna, surowa w ocenach i wymagająca względem córki i wnuczki. Marcelina zaś przechodziła okres nastoletniego buntu. Teksty mamy lub babci „za naszych czasów było to nie do pomyślenia” albo „ja w twoim wieku” działały na nią jak płachta na byka. Czuła się niezrozumiana przez najbliższych, niesłusznie krytykowana i osądzana. Dobrze, że ucieczkę od tych problemów znalazła w książkach, które odrywały ją od przykrej — jej zdaniem — codzienności.

Początkowo nie była zadowolona, że spędzi dwa tygodnie w mieszkaniu z babcią, podczas gdy jej znajomi umawiali się na spotkania w zaśnieżonym parku, szli na sanki lub łyżwy. Marcelina mogła wyjść na miasto dopiero wtedy, gdy mama wracała po pracy, czyli gdy już było całkiem ciemno. Zamykała się więc w swoim pokoju pełnym książek i uciekała w inny, lepszy świat.

— Co będziemy robić? — zapytała babcię pierwszego dnia ferii.

— Nic. Nic nie musisz robić. Po prostu posiedź trochę przy mnie — usłyszała. — To mi wystarczy.

— Nie będziesz się nudzić?

— Dlaczego miałabym się nudzić, skoro jesteś obok?

— Nie wiem. — Marcelina wzruszyła ramionami.

Pierwsze dni ferii upłynęły im dość przyjemnie. Małomówna zwykle Marcelina

niespodziewanie otworzyła się przed babcią i opowiedziała jej o rzeczywistości szkolnej, przyjaźniach, a nawet o swojej pierwszej miłości. Kobieta potrafiła tak pokierować rozmową, że wnuczka nawet nie wiedziała, kiedy wylała z siebie całą gorycz, która trawiła ją od środka. Po pogaduchach z babcią czuła się tak, jakby pozbyła się zbędnego balastu. Z dnia na dzień przekonywała się, że ta starsza prosta kobieta — tak przez lata myślała o babci — mogłaby zostać jej najlepszą przyjaciółką.

— W życiu liczy się drugi człowiek, jego bliskość i rozmowa z nim — powiedziała któregoś dnia babcia. — Kiedy jesteśmy młodzi, pragniemy przygód, bogactwa i wielkiej miłości. Im bardziej dojrzewamy, a potem starzejemy się, zaczynamy doceniać to ostatnie. Miłość.

— A ty doświadczyłaś tej miłości?

— Tak — potwierdziła, próbując stłumić uporczywy kaszel. — Twój dziadek dał mi dużo miłości, choć jak byłam młoda, uważałam, że powinien inaczej ją okazywać. Okazywał ją na swój sposób, późno to doceniłam.

— Pamiętam, jak chodziliście na spacery pod rękę… Ludzie przyglądali się wam ze zdziwieniem, jakby to było niemożliwe, że starsi też mogą trzymać się za rękę.

Twarz kobiety posmutniała na wspomnienie dawnych dni. Jej oczy zaszkliły się, ale powstrzymała łzy, mrugając nerwowo.

— Wiele przeszliśmy razem — przyznała. — Trudne przeżycia bardziej cementują związek. Kiedy przejdziesz szczęśliwie przez sam środek burzy, przestajesz bać się byle chmurki. To, co przeżyliśmy razem, zahartowało nas na długie lata.

— Nigdy nie opowiadałaś, jak się poznaliście — zasugerowała Marcelina. — Właściwie to niewiele opowiadałaś…

— Nie lubię rozgrzebywać przeszłości. Nasze życie nie było usłane różami, szliśmy głównie przez ciernie. — Kobieta się zadumała. — Nie lubię do tego wracać.

— Tylko że ja, babciu, tak naprawdę to nic o was nie wiem, a nasza rodzina jest taka mała — mówiła Marcelina. — Dziwnie się z tym czuję, bo… nie znam żadnej historii rodzinnej. Mama też unika wspomnień, a ja chciałabym się czegoś dowiedzieć. Kim była twoja mama, czy miałaś najlepszą przyjaciółkę, czy lubiłaś chodzić do szkoły… Takie normalne rzeczy.

Kobieta znów zaczęła kaszleć, po chwili poprosiła o herbatę. Marcelina pobiegła do kuchni nastawić czajnik z wodą. Chyba nigdy nie robiła tego tak szybko jak dziś. Nie chciała stracić ani minuty z rozmowy, zwłaszcza że pierwszy raz rozmawiała z babcią na takie tematy. Zastanowiło ją, iż babcia mówiła o swoim małżeństwie w sposób, który nie wskazywał na zgrany, szczęśliwy związek, a tak właśnie myślała o swoich dziadkach Marcelina.

— Okłamałaś kiedyś dziadka? — zapytała, stawiając na stoliku parującą herbatę. — Albo on ciebie?

— Zawsze byliśmy wobec siebie szczerzy do bólu — przyznała kobieta. — Nic przed sobą nie ukrywaliśmy, ale…

Marcelina czekała, aż babcia napije się i dokończy zdanie. Przyglądała się jej twarzy pooranej zmarszczkami, bruzdom na czole i równo przyciętym, krótkim siwym włosom. Babcia nigdy nie dbała o powierzchowność, uważała, że wygląd jest nieistotny wobec innych ważniejszych spraw. W przeszłości była jednak atrakcyjną kobietą o apetycznych kształtach. Tak przynajmniej wyglądała na zdjęciu z lat sześćdziesiątych, które trzymała w portfelu.

— Marcelinko — zwróciła się do niej po chwili. — Czasem jest tak, że kogoś bardzo kochamy, ale oszukujemy go, uważając, że to dla jego dobra. Czasem wydaje nam się, że ukrywanie prawdy to najlepsze rozwiązanie, więc trzymamy w tajemnicy coś, co powinno zostać powiedziane. Fałszujemy rzeczywistość i brniemy w nią, nie widząc odwrotu. Robimy krzywdę

sobie i ranimy innych. Pamiętaj, nie idź nigdy tą drogą. Zawsze wybieraj prawdę.

— Babciu, opowiesz mi, co takiego wam się przydarzyło?

— Dziecko, to długa historia. Może kiedyś ci opowiem — odparła babcia, zanosząc się ostrym kaszlem. — Dziś nie mam siły.

Nie opowiedziała. Już nie zdążyła. Zmarła na zapalenie płuc po kilku tygodniach. W uroczystościach pogrzebowych wzięła udział tylko najbliższa rodzina i kilka sąsiadek z bloku. Marcelina długo nie mogła się pogodzić z przedwczesną śmiercią babci. Doświadczenie to sprawiło, że szybciej dojrzała. Nastoletni bunt, który wcześniej był nie do okiełznania, zaczął się ulatniać, aż zniknął na dobre. Z czasem Marcelina przestała się zadręczać niedokończoną rozmową z babcią i postanowiła nie rozgrzebywać przeszłości.

XII. Kiedyś

Beniamin był niespokojny. Przez blisko dwie godziny spał, lecz kiedy się obudził, ciągle wkładał piąstki do buzi i popłakiwał. Marcjanna nakarmiła go piersią, ale chłopiec się nie uspokoił. Kołysała go przez chwilę, nucąc ludową melodię.

Dobrze, że Basia jeszcze śpi, pomyślała kobieta. Z dwójką na rękach nie dałabym rady.

A jeszcze niedawno marzyła, żeby urodzić dwójkę od razu, jak jej kuzynka z sąsiedniej wsi. Uśmiechnęła się pod nosem, ciesząc się, że to marzenie nie ziściło się za pierwszym razem. Poród Basi tyle ją kosztował, że już sama myśl o zbliżeniu z Maćkiem napawała ją lękiem, a widmo kolejnej ciąży wydawało jej się największym koszmarem. Dopiero co wyszła z połogu i odzyskała dawne siły. Znów chciało jej się żyć. Wzdrygnęła się na myśl o byciu brzemienną po raz kolejny. Kuzynka ostrzegała ją przed szybkim współżyciem. Karmienie piersią nie ochroni przed zajściem w ciążę, uprzedzała. Wiedziała, co mówiła, bo cztery miesiące po urodzeniu bliźniaków znów spodziewała się dziecka. Dlatego Marcjanna mocno dystansowała się od Macieja, choć ten już kilkakrotnie dawał jej do zrozumienia, że potrzebuje bliskości.

Jednak najbardziej martwiła się o Bronisławę. W dniu, gdy obie z Esterą rodziły, młoda akuszerka nabawiła się ciężkiego zapalenia płuc, biegając między ich domami. Od tamtej chwili upłynął już ponad miesiąc, a Bronisława nadal nie opuszczała łóżka. Było z nią tak źle, że musiał się nią zająć lekarz z pobliskiego miasta. Blum przywiózł ze wsi nowinę, że najgorsze już minęło, ale nie jest pewne, czy Bronisława kiedykolwiek wróci do pełni sił. Obydwie kobiety czuły się współwinne, bo akuszerka uratowała życie ich i dzieci, ryzykując swoje zdrowie. Miały wobec niej dług wdzięczności i planowały wybrać się do niej z podziękowaniami, gdy już wydobrzeje.

Z rozmyślań wyrwał ją głos męża:

— Coś niedobrego dzieje się we wsi. — Maciej wparował do izby, nie bacząc na to, czy maluchy śpią, czy nie. — Dym idzie. Chyba coś się pali. Chodź, zobacz.

Marcjanna przewróciła oczami, dając mu do zrozumienia, że robiąc taki rwetes, jeszcze pobudzi dzieci, a potem delikatnie odłożyła Beniamina do kołyski i podeszła do okna. Rzeczywiście, z ich wzgórza widać było kłęby dymu i dziwną jasność.

— Może to kościół się pali — stwierdziła.

— Kościół, nie kościół, coś się pali. Ty zostań z dziećmi, ja pojadę do wsi na rowerze. Zobaczę, co się dzieję.

— Nie jedź — poprosiła Marcjanna. — Boję się.

— Nic wam się nie stanie, ogień tu nie dotrze.

— Maciej, zostań w domu… Boję się o dzieci. Nie chcę zostać tu sama.

— Zarygluj drzwi. Ja jadę do wsi. Tu nic po mnie, a tam może trza będzie pomocy — stwierdził Maciej, jakby nie słysząc próśb żony.

Marcjanna wiedziała, że nie zmieni zdania. Jak sobie coś postanowił, trudno było z tym dyskutować.

— To chociaż powiedz Esterze, jak ją zobaczysz, że z małym wszystko w porządku. Niech się nie martwi na zapas.

Maciej kiwnął głową i już go nie było. Marcjanna otworzyła okno i wtedy poczuła przykry zapach. Smród, którego z niczym nie mogła porównać. Szybko zamknęła okiennice i zaciągnęła zasłony. Uklękła przed obrazem Najświętszej Panienki i zaczęła się modlić, aby Maciej, Estera i Kalman cali i zdrowi wrócili na wzgórze.

Potem zmieniła dzieciom pieluszki, nakarmiła Basię, naszykowała kolację i posprzątała izbę. Dochodziła dwudziesta druga. Maciej dalej nie wracał. Estera i Kalman też, choć już powinni być z powrotem. Trzy godziny minęły dawno i mimo że obiecywała im, iż zostanie z Beniaminem tyle, ile będzie trzeba, niepokoiła się coraz bardziej. Pomyślała, że Kalman pewnie pomaga w gaszeniu pożaru, a Estera boi się sama wracać w ciemności.

Jeszcze raz wyjrzała przez okno. Łuna była już dobrze widoczna. Beniamin zapłakał. Wzięła chłopca na ręce i zaczęła głaskać po miękkim policzku. Wydawało jej się, że przez twarz dziecka przemknął lekki grymas przypominający delikatny uśmiech. Pogłaskała go jeszcze raz, a Beniamin znów odwdzięczył się uśmiechem. Gdy przechylił główkę, za jego prawym uchem zauważyła niewielkie brunatne znamię, identyczne jak u Kalmana, i spłoniła się na samą myśl o tym. Zawinęła chłopca w pieluszki i włożyła do kołyski. Po całym dniu nogi odmawiały już posłuszeństwa. Była zmęczona wyczekiwaniem na męża i przyjaciół, więc położyła się na łóżku obok Basi. Jeśli wrócą ze wsi, będą się tak dobijać do drzwi, że na pewno się obudzi.

Dobrze po północy usłyszała łomot i kogoś wołającego jej imię. Po chwili uznała, że to chyba Maciej wołał na nią jakimś ochrypłym głosem. Wyskoczyła z łóżka, żeby odsunąć rygiel. Gdy otworzyła drzwi, z trudem rozpoznała stojącego w nich męża.

Wyglądał okropnie. Cuchnął dymem z pożogi i jakąś śmierdzącą substancją. Twarz miał czerwoną, a ubranie mocno zniszczone. Jego ręce aż po łokcie były poranione i zakrwawione. Usiadł na progu, zdjął koszulę, spodnie i buty i oparł głowę o ścianę. Wargi miał popękane do krwi.

— Daj pić — wyszeptał.

Podała mu kubek chłodnej wody, którą po południu wyciągnął ze studni. Wypił duszkiem, a Marcjanna napełniła naczynie ponownie. Na usta cisnęło jej się mnóstwo pytań, ale bała się denerwować męża.

— Podaj mi wiadro. — skinął na żonę.

Kilkakrotnie nabierał wody i polewał się nią, a w końcu podniósł wiadro i wylał całą zawartość na siebie. W każdej innej sytuacji Marcjanna zaraz by protestowała, że musi ścierać podłogę, ale teraz kałuża przed drzwiami nie miała znaczenia. Czekała, aż mąż ochłonie i zacznie mówić.

— Maciej, co się stało? — zapytała w końcu.

Podeszła bliżej i ujęła jego głowę w dłonie. Ich oczy się spotkały. W spojrzeniu Macieja malowała się rozpacz i wściekłość.

— Co się stało? Kto się palił? Gdzie Kalman i Estera? Czemu tak wyglądasz? Maciek, no powiedz coś w końcu.

Wydawało jej się, że po policzku płyną mu łzy. A może to były krople wody, którą przed momentem wylał sobie na głowę?

— Straszny pożar — wydusił ochrypłym głosem.

— Przecież wiem, że pożar. Co się paliło? Maciek, gadaj, ale już! — Zaczęła nim potrząsać. — Gadaj, bo dzieciaki zaraz się pobudzą, jak będę się tak darła.

— Remiza — odparł. — Remiza się spaliła. W kinie… W kinie wybuchł pożar.

Marcjanna wstrzymała oddech.

— A co z Salzmanami? Nic im nie jest? Mów, gdzie oni?

— Nie żyją — odpowiedział, po czym schował głowę w kolanach i zaczął płakać.

Marcjanna uklękła i się przeżegnała. To nie może być prawda, szeptała sama do siebie, to przecież nie może być prawda. Popatrzyła na śpiącego Beniamina i się rozpłakała. Dziecko znów zaczęło płakać, więc przystawiła je do piersi. Karmiła, a łzy gęstym sznurem spływały jej po szyi i piersiach. Łkała najciszej, jak mogła, by nie niepokoić dzieci. Maciej nieruchomo siedział pod

ścianą i tępo wpatrywał się w obraz Najświętszej Panienki, do którego kilka godzin wcześniej żarliwie modliła się Marcjanna.

— Maciek, co my teraz zrobimy? — spytała męża, wskazując na zasypiającego Beniamina.

Wzruszył ramionami, po czym prawie nagi wyszedł z domu, trzaskając i tak lichymi drzwiami. Okiennice aż zadrżały. Beniamin spał, za to Basia obudziła się z płaczem. Marcjanna znów karmiła, płacząc w ciemnościach.

XIII. Teraz

Upłynęła niespełna doba od jej przyjazdu, a Marcelinie się zdawało, że ogród jeszcze bardziej się rozwinął. Słoneczny dzień na pewno pomógł. Bez pachniał niesamowicie. Zerwała drobny fioletowy kwiatek, włożyła go do ust i ku swojemu zdumieniu zauważyła, że rzeczywiście jest w nim słodki nektar. Przed laty w miejskim parku powiedziała jej o tym babcia. Zaznaczyła jednak, że najsłodszy nektar mają bzy na wsi. Te z miasta nie smakują tak samo. Teraz Marcelina przyznała jej rację. Smak tamtego kwiatka z miejskiego parku w niczym nie mógł się równać z tym rosnącym w zacisznym miejscu na wsi. Zerwała kolejny kwiat, a potem następny i następny. Nektar był pyszny.

— Smakuje? — usłyszała za sobą.

Obejrzała się zaskoczona. Na tulipanowej alejce stał mężczyzna, który wczoraj na stacji paliw bezczelnie wysłał jej całusa. Wysoki brunet z długą brodą i włosami związanymi wysoko w mały węzeł. Uśmiechał się. Kiedy się zorientował, że widzieli się wczoraj, uśmiech zniknął mu z twarzy. Zapanowała niezręczna cisza. Widziała, że zrobiło mu się głupio. Chyba nie wiedział, jak wybrnąć z potrzasku.

— Przepraszam, ale czekam na kogoś — odparła zmieszana.

— Ja też — przyznał. — Szukam pani Midowicz i domyślam się, że to właśnie pani.

Chyba gorzej trafić nie mogłam, pomyślała Marcelina, ale przybrała swój wystudiowany czarujący uśmiech, wstała i grzecznie podała dłoń. Po chwili zorientowała się, że mężczyzna stojący przed nią to Mateusz Jurewicz, choć niewiele przypominał siebie sprzed kilkunastu miesięcy. Zapuścił brodę i włosy, przytył. Nie rozpoznałaby go, mając w pamięci szczupłego, umięśnionego bruneta ubierającego się w luksusowe sportowe marki. Teraz, w zwykłych dżinsach i bluzie z kapturem, wyglądał jak jeden z wielu przeciętnych mężczyzn. Mimo to musiała wywrzeć na nim jak najlepsze wrażenie. Walicki by jej nie wybaczył, gdyby było inaczej. Choć nie powiedział tego wprost, oczekiwał od niej, że oczaruje Jurewicza, by praca nad książką przebiegała sprawnie i by nie chciał zbyt szczegółowo autoryzować wywiadu.

— Tak, Marcelina Midowicz. Bardzo mi miło. — podała mu dłoń.

— Mateusz Jurewicz. Mnie również.

Miał długie palce i mocny uścisk.

— Może zjemy obiad? Szczerze mówiąc, jestem bardzo głodna i chętnie zjadłabym coś dobrego w towarzystwie — zaproponowała, widząc jego zakłopotanie. Chciała, by uważał ją za zdecydowaną i konkretną osobę. Zależało jej, by mieć przewagę nad nim i już od pierwszego spotkania zaznaczyć, że to ona rozdaje tu karty.

Jurewicz był zaskoczony tą nagłą zmianą nastroju, bo Marcelina dopiero co zmierzyła go wzrokiem znacznie chłodniejszym niż wczoraj. Nie wiedział, czy tłumaczyć się z wczorajszej sytuacji, kiedy koledzy przekomarzali się z nim, że nie potrafi zaczepiać dziewczyn, więc postanowił udowodnić, że jednak umie, czy też udawać, że nic się nie stało, i pokierować rozmowę na inne tory. Wybrał to drugie.

— Chętnie. W takim razie proponuję kawę. Parzą tu całkiem dobrą. Nie gorszą niż w niejednej kawiarni w dużym mieście.

Obydwoje zdawali sobie sprawę ze sztucznej grzeczności, z jaką się do siebie odnosili podczas posiłku. Marcelina nakreśliła mu plan książki, rozdziały i zagadnienia obowiązkowe do poruszenia. Zasugerowała harmonogram spotkań, jakie muszą odbyć, i minimalną liczbę godzin, które muszą spędzić na rozmowie. Wychodziło na to, że będą widywać się codziennie

popołudniami, nie licząc weekendów. Rankiem planowała na bieżąco spisywać nagrania, popołudniami nagrywać rozmowy. Wytłumaczyła proces, jaki będzie przechodzić książka, zanim znajdzie się w księgarniach, oraz swój udział w tworzeniu tej publikacji. Jurewicz przystał na warunki, choć był zaskoczony informacją, że musi odpowiedzieć na każde zadane pytanie. Wytłumaczyła, że sam podpisywał warunki umowy z Przybyłowiczem. Nawet nie zorientowała się, kiedy minęły dwie godziny.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko, możemy sobie mówić po imieniu. To zwykle ułatwia rozmowę i współpracę. — znów przejęła inicjatywę. — Marcelina. — Podała mu dłoń. Walicki byłby z niej dumny. — Rozumiem, że dogadaliśmy już wszystkie szczegóły?

— Mateusz. — Uścisnął jej dłoń i przytaknął.

Zauważyła, że jego wzrok zatrzymał się na kilka sekund na jej pierścionku zaręczynowym.

— Sugeruję nie tracić czasu, a mamy go niewiele, jak na tak obszerną książkę, i zacząć od razu. Mam pytania, które mogę zadać już dziś. Teraz — powiedziała to delikatnie, ale tonem nieakceptującym odmowy.

Wydawał się zaskoczony takim tempem. Zerknął na zegarek i odparł:

— Nic innego na dziś nie planowałem. Możemy zaczynać.

Uśmiechnęła się i od razu przeszła do rzeczy. Wiedziała, że zanim wyciągnie z niego jakąś ciekawą historię, minie sporo czasu. Dzisiejsza rozmowa miała być rozgrzewką.

XIV. Kiedyś

Marcjanna nie mogła znaleźć sobie miejsca w domu. Doglądała i karmiła płaczące dzieci, raz po raz ocierając chustką łzy. Widok Beniamina budził w niej taką rozpacz, że z trudem łapała oddech. Nie wiedziała, co począć.

Wiadomość o tragicznej śmierci Salzmanów wydawała jej się nieprawdopodobna. Przecież jeszcze wczorajszego wieczoru rozmawiała z nimi. Zazdrościła Esterze zgrabnej figury, kwiecistej sukienki i pięknych pantofli. Jakie to było małostkowe…

Maciej wrócił koło południa. Nie odezwał się ani słowem. Marcjanna na próżno czekała na wyjaśnienia. Usiadł przy stole z łyżką w ręce. Nałożyła mu ciepłych ziemniaków. Zjadł je ze smakiem, popijając kwaśnym mlekiem.

— Maciek, co teraz zrobimy? — zaczęła niepewnie.

— Nie wiem — odparł po chwili milczenia.

— Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie. Dzieciak został sam na świecie. Samiutki jak palec — wyszeptała przez łzy, po czym zaniosła się płaczem na dobre. — Boże, dlaczego na to pozwoliłeś… Obiecałam jej, że zajmę się jak własnym, że nakarmię własną piersią…

Maciej wyjął papierosa z kieszeni i już miał go odpalić, gdy nagle rzucił go na podłogę i zdeptał butem. Potem zamachnął się i wyrzucił całą paczkę przez okno.

— Co robisz? Przecież wydajesz na nie tyle pieniędzy — zganiła go żona.

— Ci, którzy się uratowali, mówili, że to przez papierosy — burknął.

— Taki pożar przez papierosy? — zdziwiła się Marcjanna.

Maciej zaczął opowiadać jej relacje osób, które cudem ocalały z pożaru. Według niektórych pracownicy kina zaprószyli ogień właśnie przez papierosa, a łatwopalne taśmy filmowe szybko stanęły w płomieniach.

— Czas pokaże, czy tak było rzeczywiście — stwierdził. — Dasz wiarę, że wszystkie okna były zabarykadowane deskami, bo ci od filmu bali się, żeby ludzie nie podglądali? Dlatego tylu się spaliło. Bo nie mieli jak wyjść…

— A Estera i Kalman? — dopytywała łamiącym się głosem. — Jak z nimi było? Powiedz, że nie umierali w męczarniach…

— Strażacy wyciągnęli ich dość szybko, bo byli blisko okna. Wyglądało na to, że tak jak inni chcieli przez nie uciekać. Tyle że im się nie udało, bo się udusili. Będzie sekcja, to wszystkiego się dowiemy. Strażacy mówili, że wiele osób się udusiło. Reszta spaliła się żywcem — opisywał Maciej. — Blum też. Próbował wyciągać ludzi ze środka.

Marcjanna zamyśliła się, a po chwili zerwała z krzesła i zbliżyła do męża. Oczy jej błyszczały.

— Maciek, a może… Może moglibyśmy zostawić Beniamina u nas…

— Co?

— I tak na razie musi tutaj zostać. Kto się o niego upomni? Estera i Kalman nie mają żadnej rodziny. Przecież nie zostawimy dziecka w szczerym polu — tłumaczyła.

— Ledwo wiążemy koniec z końcem. Jak wykarmimy kolejnego dzieciaka?

— Obiecałam, że zajmę się jak swoim i nakarmię własną piersią.

— Niepotrzebnie to mówiłaś.

— A co miałam powiedzieć? Gdyby Estera zajmowała się naszą Basią, też chciałabym, żeby traktowała ją jak swoją — zdenerwowała się. — Chcę, żeby Beniamin u nas został.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł.

— Też nie wiem, a masz lepszy? — żachnęła się Marcjanna. — Możemy go odnieść do domu Salzmanów i zostawić na pewną śmierć z głodu. Albo wynieść w pole. Wyjdzie na to samo.

— Można też iść do księdza albo urzędu.

— I co im powiesz?

— Nie wiem.

— No właśnie. Maciek — popatrzyła mu w oczy — chcę dla tego dziecka jak najlepiej. Obiecałam Esterze. Nie mogę złamać danego słowa. Maciek, on nie jest ochrzczony. Nasza Basia też. Pamiętasz, jak Kalman pytał cię kilka dni temu, kiedy pojedziesz do wsi zapisać dziecko, bo przez te ulewy nie miał jak? Pamiętasz to?

— Do czego zmierzasz? Mów jaśniej.

— Ochrzcijmy go jako nasze — wyszeptała.

— Oszalałaś, kobieto? Przecież to oszustwo! Tak nie można.

— Można, bo oprócz nas nikt nie wie, że Estera urodziła.

— Jest jeszcze Bronka, która obu wam pomagała — zauważył Maciej.

— Bronka od miesiąca leży w łóżku ledwie żywa. Może nikomu nie zdążyła powiedzieć…

— Namawiasz mnie do jakiegoś szaleństwa.

— Jeszcze dziś polecę do Bronki i z nią porozmawiam. Zostaniesz chwilę z dziećmi? — zapytała. — Maciek, proszę, chociaż tyle możemy zrobić dla Salzmanów. Zawsze mogliśmy na nich liczyć. Wiem, że to szalone, ale u nas będzie mu dobrze. Prawda? — Podeszła do męża i ujęła jego dłonie. — Maciek, nigdy nie zaznamy spokoju, nie wiedząc, co dzieje się z Beniaminem. Jesteśmy za niego odpowiedzialni. Od chwili gdy przynieśli nam go do domu, jesteśmy za niego odpowiedzialni.

Maciej w końcu przyznał jej rację, choć nie był całkiem przekonany do planu, jaki naprędce uknuła żona.

— Wiesz, że to decyzja na całe życie — stwierdził.

— Przecież nie robimy nic złego. Popatrz na niego, jest taki mały i bezbronny. Potrzebuje miłości i bliskości. Tyle dzieci po wojnie nie ma ojców, a on? Stracił ojca i matkę w jednej chwili. To takie niesprawiedliwe… Oni cudem przeżyli wojnę, a zginęli w kinie objazdowym. Maciek, wiem, że robimy dobrze. Czuję to tutaj. — Położyła dłoń na sercu i przytuliła się do męża.

Objął ją ramieniem i pocałował w głowę. Włosy pachniały rumiankiem. On wciąż przesiąknięty był dymem, choć przed południem porządnie wyszorował się przy studni.

Po południu Marcjanna wyciągnęła z szuflady srebrny łańcuszek z krzyżykiem, jedyną cenną rzecz, jaką posiadała, i co tchu pobiegła do domu Marii i Stanisława Krowiaków. Mieszkali na sąsiednim wzgórzu wraz Bronką, ich jedyną córką, która poszła w ślady matki i babki i została akuszerką. Domostwo Krowiaków było ubogie. Budynek pilnie domagał się remontu, ale Staszek Krowiak, który z wojny wrócił z jedną ręką i nadszarpniętą psychiką, nie nadawał się do pracy fizycznej. Kobiety dbały o obejście na swój sposób. Obsadziły lichą chałupę kwiatami, chowając za ich pięknem niedostatek. Wokół domu było już zielono, a gęsto posadzone malwy szykowały się, by za kilka tygodni otoczyć ściany obfitym kwiatostanem. Marcjanna z podziwem przyglądała się bujnej roślinności, bo sama nie miała ręki do kwiatów.

Kiedy Maria otworzyła drzwi, od razu rozpoznała Marcjannę, zaledwie o kilka lat starszą od Bronki. Przypomniała sobie, jak niespełna ćwierć wieku temu pomagała jej przyjść na świat. Małej Marcysi nie spieszyło się wcale i Maria musiała się nieźle natrudzić, zanim dziewczynka wydała swój pierwszy krzyk. Mało kto uważał, że dziecko przeżyje choć parę dni, a teraz? Maria

patrzyła na dorodną, młodą kobietę o miękkiej sylwetce, okrągłej rumianej twarzy i gęstych blond włosach, które rozpuszczone tworzyły zjawiskowy kobierzec.

— Co się stało, Marcyś, że do nas zaszłaś? — spytała starsza kobieta zdziwiona jej obecnością.

— Chcę porozmawiać z Bronią.

— Marcyś… Ona… ona jest bardzo słaba. Dopiero co obiad zjadła. Rosołu jej nagotowałam, to dzióbała w nim jak pisklę — mówiła smutnym głosem Krowiakowa. — Jakby zjadła lepiej, toby i z choroby wyszła, ale uparte to strasznie. Same pyszności jej szykuję, a ona nawet nie popatrzy. Już nie wiem, co z nią począć.

— Pani Krowiakowa, ja naprawdę muszę z nią porozmawiać. Dobrze wiem, że zachorowała przeze mnie. — Marcjanna ściszyła głos. — Dlatego chcę się z nią widzieć.

— To nie twoja wina, dziecko. Nie twoja ani jej, ani moja. Widać Bóg tak chciał, a z wyrokami boskimi się nie dyskutuje. Trza przyjąć je z pokorą i nieść swój krzyż — odparła kobieta. — Wejdź, ale nie wiem, czy się z nią dogadasz.

Poprowadziła Marcjannę przez sień, a potem do izby, w której leżała Bronka. Intensywnie pachniało tu ziołami, dzięki którym, jak wyjaśniła Krowiakowa, Bronia mogła lepiej oddychać. Dziewczyna leżała pod pierzyną i patrzyła w okno, skąd roztaczał się wspaniały widok na pobliski las i łąki. Nawet nie zauważyła, że ktoś wszedł do izby. Jej twarz była wymizerowana, policzki zapadłe, a oczy przekrwione i podkrążone. Zupełnie nie przypominała zdrowej i uśmiechniętej dziewczyny sprzed miesiąca. Marcjanna usiadła na skraju łóżka, odszukała dłoń Bronki i ujęła ją w swoje ręce. Dziewczyna poruszyła się i skierowała na nią spojrzenie. Marcjanna próbowała z niego coś odczytać. Na próżno.

— Bronia, poznajesz mnie? — zaczęła. — Słyszysz mnie?

Odpowiedziała jej lekkim uśmiechem, dlatego postanowiła mówić dalej.

— Bronia, dziękuję za wszystko. Dzięki tobie obie z Basią żyjemy. — Marcjanna otarła łzę. — Gdyby nie ty, nie wiem, co by się z nami stało. Tak bardzo ci dziękuję…

— Dobrze cię widzieć. — Bronka wyciągnęła dłoń z objęć Marcjanny i uniosła się na poduszce. — Czasami, jak czułam się lepiej, zastanawiałam się, co u was. Miałaś ciężki poród. Jesteś dzielna.

— Tak mi przykro, Bronka. To przeze mnie zachorowałaś. Przeze mnie biegłaś przez pola w tym deszczu. Nigdy sobie nie wybaczę — płakała Woźniakowa. — Cały czas modlę się, byś wróciła do zdrowia. Wybacz mi.

Bronka znów odchyliła głowę do okna. Chciała coś powiedzieć, ale zaniosła się kaszlem. Nie mogła go opanować. Dopiero po chwili, gdy napiła się wody, wydobyła z siebie głos.

— To nie jest twoja wina. Byłam chora wcześniej. Gorączka mnie rozbierała od rana, ale myślałam, że przejdzie. Nie powinnam iść do was, mogłam zarazić dzieci — przyznała. Znów dusił ją kaszel.

Marcjannę zdziwiło wyznanie Bronki, bo wtedy wydawała jej się okazem zdrowia, ale trudy porodu mogły przyćmić jej świadomość. Może faktycznie akuszerka przyszła do nich chora, a bieganina w strugach deszczu pogorszyła jej stan?

— Głupoty gadasz — zganiła ją i zaczęła opowiadać o trudach macierzyństwa i szarej codzienności. O tym, jak przez pierwsze dni nie miała pokarmu, żeby wykarmić Basię, o trudnym połogu i bezsennych nocach, o pierwszym uśmiechu dziewczynki i uroczych loczkach, które teraz okalały jej drobną główkę. Bronka co chwila zamykała powieki, słuchając Marcjanny. Co jakiś czas się uśmiechała, jakby spodziewając się, co będzie dalej, bo wysłuchała już tylu podobnych opowieści matek rodzących po raz pierwszy, że mogłaby je recytować z pamięci.

— Jak się czuje Estera i jej syn? — zapytała, gdy Woźniakowa skończyła.

Marcjanna spuściła głowę i się rozpłakała. Poczuła, jak piersi jej twardnieją i napływa pokarm. Za chwilę będzie musiała wracać do dzieci, żeby je nakarmić. Postanowiła szczerze porozmawiać z młodą akuszerką.

— Broniu, musisz mi pomóc — zaczęła nieśmiało. — Obiecaj mi, że pomożesz.

— W czym ja ci mogę pomóc, jak nie wiem, czy dożyję jutra…

Marcjanna zwiesiła głowę i nachyliła się nad Bronką. Długo szeptała jej coś do ucha, aby nikt nie usłyszał, a potem wyciągnęła z kieszeni srebrny łańcuszek z krzyżykiem i włożyła jej pod poduszkę. Młoda akuszerka wyraźnie pobladła, a kiedy Woźniakowa odsunęła się, popatrzyła na nią z niekłamanym podziwem.

— Obiecuję — powiedziała Bronka, po czym przymknęła oczy i z powrotem zatopiła się w odrętwieniu, zanosząc się kaszlem. — Muszę odpocząć. Idź już.

— Mam u ciebie dług wdzięczności. — Marcjanna pocałowała ją w czoło, po czym cichutko wymknęła się przez sień. Szybko pożegnała się z Marią Krowiakową, dziękując za możliwość odwiedzin, i pobiegła do domu. Całą drogę modliła się o zdrowie dla Bronki, Basi i Beniamina. Pod koniec podtrzymywała już piersi, bo bolały ją okrutnie. Kiedy zobaczyła Maćka siedzącego na progu domu z Basią na lewej i Beniaminem na prawej ręce, poczuła ciepło i spokój.

— Boże, miej nas w opiece. Zachowaj nas od złego — wyszeptała.

Przysiadła się do Macieja, odsunęła poły sukienki i zaczęła karmić. Popatrzyła mężowi w oczy, zapewniając go, że Bronka dochowa tajemnicy.

Kiedy Marcjanna wyszła z izby, Bronka zaczęła z rozpaczy gryźć wargi. Słone łzy, które gęstymi paciorkami spływały jej po policzkach, podrażniały poranione usta, ale Bronka nie czuła bólu. Nie czuła już nic oprócz pustki, jaka wypełniała ją od środka. Chciała wyć niczym zranione zwierzę, ale głos uwiązł jej w gardle i zamiast krzyku wydawała jedynie głuche jęki. W końcu wyczerpana zapadła w głęboki sen, a ten przyniósł chwilową ulgę w cierpieniu. Śniła jej się bezkresna ciemność, wielka otchłań, w której grzęzła niczym w gęstym bagnie. Parująca kleista maź wciągała ją, a ona czuła się w niej bezpiecznie, więc bezwolnie dawała się wciągać w sam środek przejmującej ciemności. Gdy była już zanurzona po szyję, oślepiło ją ostre światło.

— Bronka, wstawaj, rosołu ci przyniosłam. — Matka z impetem odsłoniła kotary i otworzyła okiennice na oścież. — Dziecko, czemu płakałaś? Co ci jest? Zjedz rosołu, naciesz się świeżym powietrzem. Bronka! — Potrząsnęła nią. — Wstawaj, żyj! Ja za ciebie życia nie przeżyję. Stara jestem, a dzieci na świat się pchają. Kto je odbierze, jak nie ty? Masz, jedz. — Podsunęła jej miskę.

Bronka ku radości matki zjadła wszystko.

— Smakowało ci, dziecko?

Dziewczyna kiwnęła głową, poprawiła pierzynę i odwróciła w stronę ściany, czekając, aż matka zabierze naczynie i wróci do swoich spraw. Gdy kobieta zamknęła drzwi, Bronka sięgnęła dłonią pod poduszkę. Namacała łańcuszek od Marcjanny, więc powędrowała palcami dalej, aż znalazła to, czego szukała — mały pierścionek z niebieskim oczkiem. Założyła go sobie na serdeczny palec u lewej ręki, po czym ściągnęła i z powrotem włożyła pod poduszkę. Przez ułamek sekundy widziała siebie roześmianą u boku Franka Wolanina, ale gorzkie łzy szybko rozmyły ten widok.

Poznali się jesienią zeszłego roku na wiejskiej potańcówce w remizie. Stał pod ścianą ze zmierzwioną blond czupryną i rękami w kieszeniach. Przyglądał się zgromadzonym dziewczynom, nie zatrzymując wzroku na żadnej. Jego zawadiackie spojrzenie przykuło jej uwagę, więc przyglądała mu się z ukosa. Kiedy zorientowała się, że zaraz spojrzy na nią,

gwałtownym ruchem poprawiła chustę na ramionach. Zrobiła to tak szybko, że w jednej chwili rozpięły się guziki sukienki. Właśnie wtedy Franek popatrzył na nią. Spąsowiała. Błyskawicznie zaczęła zapinać guzki. Całe zdarzenie nie trwało dłużej niż kilkanaście sekund, więc nikt go nie zauważył. Prócz Franka oczywiście, który już przez całą potańcówkę szukał jej wzrokiem po sali. Dopiero gdy muzykanci przestali grać, a młodzi zaczęli się rozchodzić, podszedł do niej i zaproponował, że odprowadzi ją do domu. Zawstydziła się na myśl, że kilka godzin temu gapił się w jej dekolt, ale zgodziła się na wspólny spacer.

— Franek jestem. — Podał jej rękę, a ona chwyciła go za łokieć.

— Bronka — ledwie wyszeptała.

Rozmowa nawet się kleiła. Bronka co chwila poprawiała chustę, przykrywając dekolt. Nie uszło to jego uwagi. Od tamtej zabawy spotykali się często. Bronka straciła dla niego głowę, on dla Bronki. W Wielkanoc, która w tym roku przypadała w drugą niedzielę kwietnia, Franek przyszedł do Krowiaków z flaszką wódki. Sam, wbrew zwyczajom. Bez ojca, bo stracił go podczas wojny. Długo rozmawiał z ojcem Bronki, który potakiwał i chętnie pił kieliszek za kieliszkiem. Po opróżnieniu flaszki Staszek Krowiak wycałował Franka i pobłogosławił. Ustalili, że młodzi pobiorą się jak najszybciej, jeszcze w czerwcu, po sianokosach, a przed żniwami. Zięć był mu potrzebny, bo on, inwalida wojenny, nie mógł za wiele zrobić w domu, oborze czy polu, a Franek do roboty nadawał się jak żaden inny chłopak w okolicy. Żony i Bronki o zdanie nawet nie zapytał.

Młodzi odliczali dni do ślubu. Franek nie mógł doczekać się nocy poślubnej. Uszanował wolę Bronki, która jako akuszerka dobrze wiedziała, z czym muszą mierzyć się młode, niezamężne kobiety w ciąży. Nie chciała podzielić ich losu, choć bliskość Franka sprawiała, że traciła nad sobą kontrolę.

Teraz, gdy obracała pierścionek w palcach, dotarło do niej, że już nigdy więcej nie zobaczy się z Frankiem. Nie będzie ukradkowych wieczornych spotkań nad rzeką ani czułych słów, które tak gorliwie szeptał jej do ucha, gdy próbowała wyrwać się z jego objęć, choć tak naprawdę chciała tkwić w nich dzień i noc. Nie będzie pieszczot, na jakie pozwalała mu czasami, bo już gubiła się, na co może mu pozwolić, a na co nie.

Kiedy zapadła na zapalenie płuc, ukochany odwiedzał ją, gdy tylko mógł. Pomagał poić i karmić, opowiadał, co się dzieje we wsi, i snuł plany na przyszłość. Trzy dni temu wbiegł uradowany z wypiekami na twarzy, a w dłoni trzymał dwa świstki papieru. Oznajmił, że do wsi przyjeżdża kino objazdowe. Zamarzył sobie, że Bronka z nim pójdzie. Prosił długo, ale odmawiała. Wciąż nie czuła się na siłach, by wychodzić z domu.

— Blum nas zawiezie na miejsce — przekonywał. — A do sali wniosę cię na rękach. Nie zrobisz ani kroku, już ja o to zadbam — mówił podekscytowany. — Nawet lekarza pytałem, czy mogłabyś wyjść do kina, i zgodził się. Mówił, że musisz zacząć żyć, nie możesz cały czas leżeć w łóżku.

— Nie dam rady — odparła ze smutkiem w głosie. — Nie namawiaj mnie więcej.

Zasmucił się. Po chwili przyklęknął obok łóżka i wyciągnął z kieszeni pudełko z pierścionkiem.

— Nie tak to miało wyglądać — przyznał zawstydzony. — Chciałem ci go dać w kinie, przy wszystkich. Żeby nam zazdrościli. Kocham cię, Bronka, jak szalony i chcę z tobą spędzić resztę życia. Chcę…

Wziął jej dłoń i włożył pierścionek na serdeczny palec. Prezent od ukochanego okazał się za duży, bo ręce dziewczyny znacznie wyszczuplały przez chorobę.

— Nie chciałam cię urazić — szepnęła, ocierając łzy. — Jestem jeszcze słaba. Ciągle chcę leżeć w łóżku i spać. Nie mam siły. Jest piękny — powiedziała, patrząc na pierścionek. —

Będę go nosić do końca życia. Idź do kina sam.

— Jak to sam? Bez ciebie nie pójdę.

— Franek, straciłeś tyle pieniędzy na bilety, szkoda tego — przekonywała go. — Albo weź kogoś ze sobą. Może matkę albo siostrę?

— Wykluczone.

— Franek, nie bądź głupi. To tylko film. Jeszcze kiedyś przyjadą, to pójdziemy razem. A teraz masz iść na ten film sam albo z kimś — postanowiła.

Po długich namowach i jeszcze dłuższym pocałunku, jaki złożyła na jego ustach, zgodził się.

Po wizycie Marcjanny i po tym, co jej opowiedziała, Bronka pogrążyła się w rozpaczy. Nie łudziła się, że Franek znalazł się w gronie tych, którzy cudem przeżyli. Gdyby uszedł z pożaru cało, już dawno siedziałby obok niej i dziękował Bogu, że oboje żyją. Z relacji Marcjanny wynikało, że z remizy uciekło kilkanaście osób, pozostali spłonęli żywcem od razu, inni doznali śmiertelnych poparzeń, reszta się udusiła — jak Estera i Kalman. Opowieść Marcjanny i jej prośba o dochowanie tajemnicy nie miały dla niej znaczenia, choć słowa: „Obiecaj, że dopóki żyję, nie puścisz pary z ust” mocno utkwiły jej w sercu.

Zapadła się w pościeli. Nie chciała z nikim rozmawiać. Już nigdy.

XV. Teraz

Dlaczego zdecydowałeś się na przeprowadzkę w tak odległe i — powiedzmy szczerze — mało interesujące miejsce? — zapytała Mateusza, gdy spotkali się kolejnego dnia.

Było pochmurnie i chłodno. Zamiast rozmawiać w klimatycznym ogrodzie, musieli usiąść w słabo doświetlonej restauracji. Marcelina odczuwała spadek ciśnienia. Była już po mocnej kawie i orzeźwiającej lemoniadzie, ale to najwyraźniej nie działało. Zdecydowanie za późno położyła się do łóżka. Łukasz zadzwonił, gdy dochodziła dwudziesta druga. Przegadali ponad dwie godziny. Z tego, co mówił, wywnioskowała, że w Hiszpanii miał świetne towarzystwo międzynarodowej grupy dziennikarzy. Był w swoim żywiole i jak zwykle pełen entuzjazmu, którego nie podzielała. Nawet nie zapytał, jak idzie jej wywiad i pisanie książki za niego. Teraz miał tyle innych zajęć, że musiał zapomnieć o takim drobiazgu.

— Musisz tu do mnie przyjechać — zaproponował, gdy kolejny raz ziewała.

— Uhm — przytaknęła.

— Mówię serio. W przyszłym tygodniu — zaznaczył.

A teraz siedziała naprzeciwko Mateusza, który jakby nie zrozumiał jej pytania. Chwilę się zastanawiał, obracając w dłoniach filiżankę.

— W tamtym czasie potrzebowałem ciszy, spokoju, izolacji i kontaktu z przyrodą. Miałem dość miasta. Czułem, że powinienem zamieszkać na wsi. W mieście zacząłem się dusić.

— Przecież na Dolnym Śląsku jest wiele pięknych wiosek. Zaryzykuję stwierdzenie, że o wiele ładniejszych niż ta. Dlaczego przyjechałeś właśnie tutaj? — nie dawała za wygraną.

— To był zupełny przypadek — odparł Mateusz. — Kilka tygodni przed wypadkiem mieliśmy spotkanie z przyjaciółmi z liceum. Takie spotkanie po latach. Nie widzieliśmy się bardzo długo, choć większość z nas na stałe mieszkała we Wrocławiu. Lekarze, prawnicy, biznesmeni, nawet ksiądz był w tym gronie. Wspominaliśmy dawne lata szkolne, kiedy nie mieliśmy nic, a byliśmy tacy szczęśliwi. Teraz każdy z nas zrobił jakąś karierę, ale od słowa do słowa okazało się, że mieliśmy dość tych naszych sukcesów. Przerosły nas. Ktoś wtedy zaproponował: „A może by tak rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady?". Kumpel, właściciel biura nieruchomości, zupełnie poważnie przyznał, że jest dom do sprzedania. Może nie w Bieszczadach, ale całkiem blisko, i że może nam te Bieszczady załatwić.

— I dałeś się namówić?

— Nie, absolutnie — roześmiał się Mateusz. — Julek chyba kiepsko zareklamował tę ofertę. Nie byłem zupełnie zainteresowany wyjazdem z Wrocławia.

— Kiedy do niego zadzwoniłeś z tekstem: „Słuchaj, stary, potrzebuję tego domu na już"?

Mateusz przyjrzał jej się uważniej. Podobał mu się sposób, w jaki prowadziła rozmowę. Czasem nawet nie dokończył myśli, a ona już zadawała pytanie nawiązujące do tego, co chciał powiedzieć. Musiał przyznać, że była dobra w zadawaniu pytań. Udzielił mnóstwa wywiadów, ale żaden nie kleił się tak jak ta rozmowa. Przeczuwał, że Marcelina nie będzie unikać niewygodnych dla niego kwestii, zwłaszcza że podpisując umowę, zgodził się odpowiedzieć na wszystkie pytania.

— No więc… — Zmieszała się pod wpływem jego spojrzenia i odruchowo sięgnęła po filiżankę. Była pusta. Opróżniła ją kilkanaście minut temu. Odkaszlnęła. — Kiedy to się stało?

— Kilkanaście dni po wypadku — odparł Mateusz, patrząc gdzieś za okno.

— A śledztwo? Pozwolili ci wyjechać? Przecież podejrzewano cię o… — urwała, czując, że się zagalopowała.

— To media mnie podejrzewały. Śledztwo zakończyło się dość szybko. O nic nie byłem podejrzany. — wyraźnie zaznaczył ostatnie zdanie.

— Gazety i telewizja mówiły co innego. Opinia publiczna też — stwierdziła Marcelina. Wiedziała, że stąpa po grząskim gruncie, ale pewne pytania musiała zadać, czy jej się to podobało, czy nie. Walicki i Przybyłowicz mieli sprecyzowane oczekiwania.

— Czy naprawdę wierzysz w to, co piszą gazety? — zapytał, patrząc jej w oczy.

Uciekła spojrzeniem w bok. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Nie znała Mateusza aż tak dobrze, by dzielić się niektórymi spostrzeżeniami, choć z każdym dniem przyłapywała się na myśli, że lubi z nim rozmawiać.

— Nieważne. To poza nagraniem. — Nie ciągnął wątku. — Wracając do tematu, byłem świadkiem strasznego wypadku. Zginął mój najlepszy przyjaciel, Przemek, z którym spędziłem pół życia w górach albo na rowerze. Media uczepiły się historii sprzed lat. Kiedyś byłem w związku z Eweliną, żoną Przemka, ale nic z tego nie wyszło. Zerwała ze mną. Każde z nas zaczęło nowy rozdział życia, z tym że Ewelina zaczęła ten rozdział z Przemkiem. Jeśli chcesz mnie zapytać, czy się z tym pogodziłem, to od razu powiem ci, że nie była to dla mnie komfortowa sytuacja. Straciłem dziewczynę, ale nie chciałem stracić przyjaciela. Męska przyjaźń dużo więcej wybacza i jest trwalsza niż…

— Przyjaźń między kobietami? — przerwała mu.

— Tak. Potrafimy zdystansować się do wielu rzeczy i podejmować decyzje bez emocji. Potrafimy też więcej wybaczać. — miał pewny ton głosu.

— Chyba nie jest łatwo zdystansować się do tego, że dziewczyna, którą kochałeś, związała się z twoim najlepszym przyjacielem? — Marcelina nie ustawała w zadawaniu trudnych pytań.

— Piszesz książkę czy przesłuchujesz mnie w jakimś konkretnym celu?

— Przepraszam, jeśli tak to odbierasz, ale to część mojej pracy. — Marcelina nie czuła się winna. — Po wypadku spekulowano, że nigdy nie pogodziłeś się z utratą Eweliny, zwłaszcza że na jaw wyszła wasza korespondencja. Mówiono, że szukałeś zemsty…

— Ze względu na pamięć o Przemku nie będę tego komentował. Korespondencja pomiędzy mną a Eweliną nie dotyczyła życia prywatnego. Więcej na ten temat nie mogę powiedzieć — wyjaśnił, po czym zapanowała niezręczna cisza. Marcelina nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Mateusz po paru chwilach zaczął mówić dalej: — Mój związek z Eweliną to przeszłość. Rozstanie zabolało mnie, ale nigdy nie chciałem do niej wrócić i nie robiłem nic w tym kierunku. Poza tym to nie jest powód, aby zrzucać w przepaść najlepszego przyjaciela.

— A co jest dobrym powodem? — złapała go za słowo.

Popatrzył na nią z wyrzutem.

— Wiesz, jakie było jego ostatnie słowo, zanim spadł w przepaść? Zanim tak niefortunnie postawił stopę na tym głupim kamieniu, który tam tkwił od zawsze i każdy go jakoś omijał? Zanim złapał mnie za dłoń, która była tak spocona, że nie potrafiła go utrzymać? Zanim popatrzył na mnie z takim smutkiem, że miałem ochotę rzucić się za nim? — Mateusz przerwał na chwilę, żeby nabrać powietrza. — Myślę, że w tym momencie dobrze wiedział, że nie ma szans wyjść z tego cało, bo znał przepaść pod sobą. Dlatego tak na mnie patrzył…

Marcelina milczała. Podejrzewała, że pytanie go sprowokuje, ale nie spodziewała się takiego wybuchu. Teraz czuła się winna, że wywołuje poczucie winy w człowieku, którego historia przecież jej nie obchodzi, bo to tylko część jej pracy. Postanowiła mimo wszystko wrócić do rozmowy.

— O czym rozmawialiście na chwilę przed wypadkiem?

— Obaj zakwalifikowaliśmy się do Ironmana. Trenowaliśmy od tygodni. Wyjazd w Tatry

był jednym z wielu treningów. Kiedy mieliśmy już dość pływania i rowerów, wyjeżdżaliśmy w góry, żeby nie zwariować. Obaj mieliśmy wolny czerwcowy weekend, więc postanowiliśmy spędzić go w Tatrach. Pogoda była idealna. Szliśmy tą trasą wiele razy. Przemek śmiał się, że zna ją na pamięć i może iść z zamkniętymi oczami. Oczywiście, był profesjonalistą w każdym calu i nigdy nie robiłby takich głupot. To miał być nasz pierwszy Ironman. Nasi sponsorzy wiele obiecywali nam za pierwszą dziesiątkę, która jak najbardziej była w naszym zasięgu. Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy oglądać się na siebie, tylko brnąć do przodu. Przemek zaskoczył mnie wtedy, bo poprosił, żebym zaopiekował się Eweliną, gdyby jemu coś się przydarzyło podczas zawodów.

Mateusz przerwał. Przeprosił Marcelinę i wyszedł na zewnątrz. Kiedy wrócił, wyczuła od niego zapach papierosowego dymu.

XVI. Kiedyś

Na plebanii pachniało gotowanymi ziemniakami i smażoną cebulą. W połączeniu z wilgocią i wonią niewietrzonego pomieszczenia była to mieszanka trudna do wytrzymania nawet dla tak prostego człowieka jak Maciej Woźniak.

— Nie było was na pogrzebie, Macieju — powiedział proboszcz, spoglądając na swojego parafianina z wyrzutem. — Trumien nie miał kto nieść ani grobu ziemią zasypać… Cóż to cię zatrzymało, że nie mogłeś towarzyszyć w ostatniej drodze swoim? W kościele was też ostatnio coś nie widać. Od Boga żeście się odwrócili czy co?

Maciej zagryzł wargę. Musiał liczyć się ze słowami. Głupio mu było okłamywać księdza, ale nie mógł też powiedzieć prawdy. Ściskał czapkę w dłoni i patrząc przez okno na kościelnego, który niemrawo porządkował teren wokół plebani, wyrecytował krótką formułkę, jaką powtarzał sobie przed wejściem.

— Najpierw Marcysia urodziła, potem nadeszła ulewa i zamieniła drogi w błoto. Potem dzieciaki się nam pochorowały, a na koniec Marcysia zaniemogła. Nie mogłem zostawić ich samych — odparł, a po chwili dodał: — Urodziły się nam bliźnięta.

— Bliźniaki, powiadasz? — zainteresował się proboszcz, nie podnosząc wzroku znad parafialnej księgi. Wertował kolejne strony, aż znalazł ostatnią niezapisaną i złożył na niej zamaszysty podpis. — Hojnie was Bóg wynagrodził, skoro dwoje od razu na ten świat sprowadziliście. Musieliście sobie czymś u Pana Boga zasłużyć.

— Właśnie w tej sprawie przychodzę. Chcemy prosić księdza proboszcza o chrzest dla naszych dzieci. — Maciej skłonił głowę.

Proboszcz zamknął księgę i postukał palcami w dębowy stół.

— W tę niedzielę na sumie — ustalił ksiądz. — A w piątek do spowiedzi przyjdźcie. Skoro już tu jesteś, wpiszę was w księgę chrztów, żeby w niedzielę zamieszania nie robić.

Duchowny podszedł do solidnej dębowej szafy z przeszklonymi drzwiami i wyjął z niej ciężką bordową księgę ze złoconym napisem *Liber Natorum* na grzbiecie. Z powrotem usadowił się na skrzypiącym krześle i wyjął pióro z kałamarza. Ostatni wpis do księgi pochodził z osiemnastego maja.

— Imiona dzieci?

— Józef i Barbara.

— Data narodzin?

— Drugi kwietnia.

Pióro, którym pisał proboszcz, zastygło w bezruchu. Ksiądz odłożył je do kałamarza i zdjął okulary. Zmierzył Macieja surowym spojrzeniem od ubłoconych trzewików po jasnorudą czuprynę.

— I dopiero teraz przychodzisz? — krzyknął tak srogo, że Maciej niemal upuścił czapkę, którą ściskał w dłoni. — Dzieciaki półtora miesiąca na świecie i jeszcze nieochrzczone? Boga się nie boisz? Mało to brakuje, żeby takie niebożę na drugi świat się wybrało? — Twarz proboszcza robiła się coraz bardziej bordowa i zaczynała kolorem przypominać leżącą na stole księgę urodzeń. — Młody jesteś, więc nie pamiętasz, jak zaraza jednego po drugim zabierała… Choroby dziesiątkują wieś od lat, a ty tak dzieci narażasz. A gdyby umarły nieochrzczone? Umiałbyś sobie wybaczyć?

— Ulewy były, drogi z błotem poszły. Nie mogłem do wsi dotrzeć. Blum powiedział, że też nie pojedzie, bo szkoda koni i wozu — tłumaczył Maciej.

— Bluma, świeć Panie nad jego duszą, w to nie mieszaj. Na nogach trza było do wsi iść, a nie na Bluma czekać — syknął ksiądz.

— W taką pogodę? Z noworodkami na rękach, taki kawał drogi? — Maciej podniósł głos.

— Dzieci chrzci się od razu. Nie ma co czekać na lepsze czasy, bo takie mogą nie nadejść — Twarz proboszcza stopniowo bladła. Usiadł z powrotem za stołem i przetarł czoło dłonią. — Dobra, dokończmy formalności.

Wyjął pióro z kałamarza i zabrał się do wypełniania kolejnych rubryk. W polu *parentes* wpisał informacje uzyskane od Macieja dotyczącego jego i Marcjanny. W rubryce *thori*, czyli pochodzenie, zaznaczył *legitimi*, to znaczy, że dzieci pochodzą z legalnego małżeństwa.

— Chrzestni?

— Nie mamy rodziny, weźmiemy kogoś ze wsi — powiedział Maciej.

— Do spowiedzi też mają przyjść, zadbaj o to. — Proboszcz dobitnie podkreślił ostatnie słowa. — To wszystko. Resztę wpiszę w niedzielę, jak już będziesz znał chrzestnych. Czemu nie przyszedłeś, jak już było po roztopach? — zaciekawił się ksiądz.

— To przez ten pożar. Marcysia strasznie to przeżyła…

— Wszyscyśmy to przeżyli. Ale żeby zapomnieć o chrzcie świętym własnych dzieci, to się nie godzi. — Proboszcz pogroził palcem.

— Nie zapomniałem. Po prostu nie mogłem przyjść wcześniej jak teraz. Bóg zapłać za wszystko — podziękował Maciej. — Mam jeszcze jedną prośbę, księże proboszczu…

Pleban zdjął okulary i ruchem dłoni pozwolił parafianinowi mówić dalej.

Kiedy Maciej po chwili wychodził z plebanii, poczuł, że musi się napić wódki.

Rzucił na stół pomiętą gazetę sprzed kilku dni. Musiała być wiele razy czytana i wertowana, bo w kilku miejscach była naderwana i poplamiona. Marcjanna usłyszała, jak Maciej wchodzi do domu, ale nawet nie musiała się oglądać, żeby wiedzieć, że jest lekko podchmielony, na trzeźwo inaczej stawiał kroki. Teraz były miarowe i pewne. Odłożyła nakarmioną Basię do kołyski i nie odpocząwszy ani minuty, wzięła na ręce Józka i zaczęła karmić go drugą piersią.

— Byłeś u księdza? — zapytała. Cały poranek czuła niepokój związany z wizytą Macieja u proboszcza, więc widząc męża pod wpływem wódki, zaczęła wątpić, czy faktycznie dotarł do celu.

Maciej pokiwał głową i podszedł do kredensu. Otworzył go i wyciągnął blaszany kubek.

— I co? Mów wreszcie — niecierpliwiła się.

— Załatwione — odparł, nalewając do kubka zsiadłego mleka. — Chrzest ma być w niedzielę, na sumie. W piątek do spowiedzi trza iść.

— A… sprawy urzędowe?

— Pomoże — potwierdził Maciej. Marcelina odetchnęła z ulgą. — Pomoże, bo hojnie mu za to zapłaciłem. — Wskazał na puste kieszenie, wywlekając je na zewnątrz. Opowiedział żonie, jak podsunął proboszczowi pieniądze zawinięte w gazetę, a ten, jak je przeliczył, obiecał pomóc w urzędzie stanu cywilnego. — Powiedział, że coś wymyśli.

— Chwała Bogu. — Marcjanna wzniosła oczy w górę.

— Oddałem mu wszystkie pieniądze. Teraz jesteśmy biedni jak mysz kościelna — żachnął się Maciej. — Nawet na gazetę mnie nie stać. Pożyczyłem od Wawrzyńca…

— Od razu się zorientowałam, że odwiedziłeś kuźnię — stwierdziła z pretensją w głosie.

— Czytaj. — Podsunął jej pomiętą gazetę. — W środku.

Odstawiła śpiącego Józka od piersi i usiadła za stołem. Okładka gazety informowała, że województwo będzie hucznie obchodzić Międzynarodowy Dzień Dziecka. Tuż obok opublikowano depeszę urodzinową dla Ho Chi Minha, prezydenta Demokratycznej Republiki

Wietnamu. Dopiero na samym dole znalazła zapowiedź obszernego artykułu na temat pożaru. Redakcja donosiła o wstępnych ustaleniach służb, w tym prokuratury generalnej. Marcjanna, która na samo wspomnienie pożaru reagowała bólem brzucha i nudnościami, przemogła się i zaczęła głośno czytać.

— Wstępne wyniki badań i śledztwa pozwalają obecnie stwierdzić, co było powodem tragicznego wypadku. Można powiedzieć, że to karygodne nieprzestrzeganie elementarnych zasad bezpieczeństwa pożarowego było zasadniczą przyczyną dramatu — czytała, a Maciej kiwał głową.

Autor artykułu dokładnie relacjonował też okoliczności pogrzebu. Opisał niekończący się kondukt zmierzający w kierunku cmentarza, a także gwałtowną burzę, jaka przetoczyła się, zanim ludzie wyszli z kościoła. Wymieniał nazwiska zmarłych tragicznie osób, dotarł do zdjęć Alojzego Wróbla wykonanych tuż przed rozpoczęciem seansu. Jedną z fotografii zamieszczono w gazecie. Przedstawiała grupkę roześmianych chłopców i dziewcząt pozujących na tle remizy. Dalsze informacje dotyczyły tego, co działo się tuż po pożarze. Marcjannę najbardziej zszokował fakt, że podczas sprzątania zgliszczy remizy robotnicy zamierzali wywieźć popiół, by załatać nim dziury w drodze. Na szczęście oburzeni mieszkańcy przerwali im pracę i wyzbierali wszystkie ręce, palce i fragmenty kości, które zostały w obiekcie. Rozkradziono też kosztowności, w tym między innymi biżuterię ofiar, która nie uległa zniszczeniu.

— Boże drogi, zmiłuj się nad nami… O niczym nie wiedzieliśmy… — szeptała Marcjanna, a przed oczami stanęły jej drobne palce Estery. Nie wytrzymała. Rzuciła gazetę i wybiegła przed dom, by zwymiotować. Wróciła blada i wystraszona.

— A niech ich szlag jasny trafi — zaklął Maciej.

Skarciła go wzrokiem.

Z dalszej części artykułu wynikało, że operatorzy objazdowego kina, którzy uciekli z miejsca wypadku, zostaną ukarani. Wysokość kary, o jaką zamierzała wnioskować prokuratura, była wyjątkowo niska.

— Ludzie mówią, że sąd potraktuje ich łagodnie. Że nasi dygnitarze nie chcą robić rozgłosu i sensacji; że chcą ukryć rozmiar tragedii i zatuszować przyczyny pożaru. Nawet nasi strażacy wiedzą, że to przez papierosa, od którego zajęła się taśma z filmem. Podobno nijak nie można było jej ugasić, bo zawierała nitroglicerynę. Dostaną parę lat najwyżej — wyrokował Maciej. — Tyle osób zginęło, a oni? Wyjdą z więzienia po kilku latach. Ot, taka w naszym kraju sprawiedliwość. Takie teraz czasy, nie liczą się żadne wartości, o jakie walczyli nasi ojcowie…

XVII. Teraz

Po pierwszym spotkaniu z Marceliną chciał się wycofać z rozmowy. Zgadzając się na wywiad rzekę, nie podejrzewał, że powrót do przeszłości będzie tak bolesny. Nie podobało mu się, że tyle miejsca w książce zostanie poświęcone jego osobistym, a nawet intymnym sprawom. Dziennikarka była bezpośrednia, czasami wręcz natarczywa, a czarę goryczy przelała, zadając mu pytania o związek z Eweliną i osobiste rozmowy z Przemkiem. Potem było już tylko gorzej. Ciągnęły się pytania dotyczące tego momentu w jego życiu, który chciałby wymazać z pamięci. To sie wydarzyło kilka miesięcy przed tym, jak podjął decyzję o starcie w Ironmanie.

Zaczęło się od niewinnej z pozoru kontuzji kolana, jakiej nabawił się po wygranej w wyścigu kolarskim w Czechach. W ciągu kilku dni przerodziła się w poważną niedyspozycję, uniemożliwiając mu dalsze treningi i codzienny aktywny tryb życia. Z dnia na dzień musiał zapomnieć o rutynie, którą lubił, zażywać leki i poddawać się rehabilitacji, co było dla niego niczym przymusowy odwyk.

Kumpel zaproponował mu wyjście do klubu w wąskim gronie znajomych. Mateusz się zgodził, choć zawsze rezygnował z imprez ze względu na kolejne treningi i zawody. Teraz nie miał wymówki. Spotkanie w małym gronie przerodziło się w wielogodzinną imprezę z udziałem nieznanych mu osób. Ponieważ był we Wrocławiu powszechnie znany, szybko otoczył go wianuszek atrakcyjnych kobiet. Alkohol lał się strumieniami. Mateuszowi nie trzeba było dużo. W jego codzienności wypełnionej sportową aktywnością nie było miejsca na używki, więc już po jednym drinku stracił kontrolę nad zachowaniem. Gdyby nie tabloidy i portale plotkarskie, pewnie do dziś nie wiedziałby, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Ktoś dokładnie udokumentował imprezę i to, co nastąpiło po niej.

Seria zdjęć przedstawiająca Mateusza namiętnie całującego i ściskającego blondynkę podpisaną jako wschodząca gwiazda disco polo i uczestniczka randkowego reality show obiegła social media i serwisy plotkarskie następnego dnia rano. Nie to jednak było najgorsze. Najokrutniejsze okazały się fotografie ukazujące Mateusza, jak wybiera bezdomnemu mężczyźnie pieniądze z miski, a potem bezczelnie robi sobie z żebrakiem selfie. Gwoździem do trumny było zdjęcie Mateusza oddającego mocz pod pomnikiem Aleksandra Fredry na wrocławskim rynku. Nie pamiętał żadnego z tych zdarzeń ani tego, jak się znalazł w mieszkaniu blondynki ze zdjęć. Pierwszym obrazem, jaki zobaczył, budząc się z potwornym bólem głowy około południa, był widok skąpo ubranej dziewczyny z imprezy niosącej na tacy dwie filiżanki z kawą.

Ubrał się, zamówił taksówkę i nie tłumacząc się, zostawił zdziwioną kobietę samą. Telefon wibrował mu w kieszeni, więc go wyłączył. Kiedy wrócił do swojego mieszkania i uruchomił na nowo smartfon, czekało na niego kilka wiadomości, między innymi od menedżera informującego, że dwóch kluczowych sponsorów zerwało kontrakt po tym, jak w mediach ukazała się fotorelacja z Mateuszem w roli głównej. Z zapartym tchem śledziła ją cała Polska. W ciągu tygodnia ze współpracy z Mateuszem wycofało się jeszcze kilka marek, pozbawiając go dochodów.

Nie dość, że kontuzja nie chciała dać za wygraną, to jeszcze koszt nieprzynoszącej spodziewanych efektów rehabilitacji był bardzo duży. Mateusz musiał się nauczyć żyć na innym niż dotychczas poziomie. Wydatki na rehabilitację pochłonęły znaczną część jego oszczędności, a gdyby nie znajomości menedżera w jednym z brukowców, musiałby zapłacić solidne odszkodowanie i koszty procesu w sprawie pobicia fotoreportera.

Mężczyzna śledził go od pamiętnej imprezy w klubie i był autorem większości kompromitujących zdjęć, które udostępniały inne serwisy. Tego dnia czekał na niego od samego rana. Mateusz widział go przez okno apartamentowca. Siedział na ławce i czytał gazetę. Jego szyję szczelnie zakrywał szalik, a czapka opadała mu na oczy. Gdyby nie duża torba na sprzęt fotograficzny, nie domyśliłby się, że to wrocławski paparazzi. Mężczyzna cierpliwie czekał na swoją „ofiarę", Mateusz jednak musiał za chwilę wyjść na rehabilitację, a że poruszał się o kulach, nogę miał w ortezie i nie mógł na niej stawać, na zabieg miała go odwieźć sąsiadka z mieszkania obok. Pomogła mu zejść po schodach i na parking. Paparazzi tylko czekał na to. Chwycił za aparat i zaczął pstrykać fotki. Najpierw z daleka, potem zbliżył się i uchwycił moment, jak Mateusz szepcze coś do ucha młodej sąsiadce, a ta zapina mu kurtkę i zakłada na głowę kaptur. Tego było już za wiele. Mateusz gwałtownie odsunął dziewczynę od siebie i zanim fotoreporter się zorientował, odepchnął go kulą tak mocno, że ten się przewrócił. Upadając, upuścił sprzęt wart kilkanaście tysięcy. Aparat musiał jednak działać, bo mężczyzna leżąc na chodniku, zdążył jeszcze zrobić zdjęcie, jak wzburzony Mateusz gestykuluje i krzyczy, a potem wsiada do auta z towarzyszącą mu dziewczyną.

Menedżer częściowo załagodził sytuację i wydawca brukowca nie skierował sprawy do sądu. Kosztem, jaki musiał ponieść Mateusz, była publikacja zdjęć opatrzonych podpisem: „Mateusz Jurewicz opuszcza mieszkanie w towarzystwie tajemniczej nieznajomej. Zakochani nie szczędzili sobie czułości".

— Dlaczego nie próbowałeś się bronić, tylko uciekłeś na koniec Polski? — spytała Marcelina, gdy skończył opowiadać historię swojego upadku.

Mateusz wzruszył ramionami i zapatrzył się na gęsty bez i magnolie, potem przeniósł uwagę na krążący nad lasem klucz ptaków.

— Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

— Wstydziłeś się tego, co zrobiłeś?

— Jedynie tego, że dałem się namówić na to wyjście do klubu. Nigdy nie miałem na coś takiego czasu, całe dorosłe życie było podporządkowane treningom, zawodom i diecie. Życie sportowca jest pełne wyrzeczeń.

— Żadnych używek?

— To zależy, czy chcesz wygrywać, czy tylko wziąć udział w wyścigu. Sport był sensem mojego życia, więc kiedy zostałem pozbawiony możliwości startu, pogubiłem się.

— Alkohol?

— Nie piłem aż do tej imprezy w klubie, nie licząc łyku szampana, gdy stawałem na podium.

— Co właściwie wtedy się wydarzyło?

— Wypiłem tylko jednego drinka — powiedział, wyraźnie akcentując przedostatnie słowo.

— Wybacz, ale trudno w to uwierzyć, oglądając zdjęcia z imprezy i… afterparty. — uśmiechnęła się lekko.

— Drink, który wypiłem, był narkotycznym koktajlem. Pili go wszyscy, i to w dużo większych ilościach. Pamiętaj, ten fragment nie może znaleźć się w książce — zaznaczył.

— Ale na nikogo ten drink tak nie podziałał…

Mateusz przypomniał jej, że on zawsze stronił od alkoholu, a towarzyszące mu osoby miały w imprezowaniu wprawę. Poza tym brał leki i zastrzyki łagodzące kontuzję.

— Przecież mogłeś się wytłumaczyć, powiedzieć prawdę — dziwiła się Marcelina.

— Gdy zorientowałem się, że to mógł być narkotyk, było już za późno na badania.

— Twój kumpel nie mógł tego potwierdzić?

Mateusz się roześmiał, jego donośny śmiech rozniósł się po ogrodzie, wprowadzając Marcelinę w zakłopotanie.

— Nie rozumiem, co śmiesznego było w moim pytaniu — obruszyła się. — Twój kumpel mógł ci pomóc.

— Najpierw musiałby pogrążyć siebie, a takie ryzyko mu się nie opłacało. Przeprosił za wszystko, ale już nie jesteśmy kumplami.

— A jak z resztą towarzystwa, które było z tobą tamtej nocy? Sądząc po zdjęciach, nie są to osoby godne zaufania — zauważyła złośliwie Marcelina. — A… twoja koleżanka z imprezy? Ta ładna blondynka od disco polo?

— Nie miałem przyjemności widzieć się z nią więcej, choć o to zabiegała. — w jego głosie słychać było ironię. — Odwrócili się ode mnie wszyscy, współpracownicy, znajomi, część rodziny. Nikt nie chciał się dowiedzieć, co rzeczywiście się wydarzyło.

— Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

— Wtedy pojawił się Przemek i wyciągnął do mnie rękę.

Przemek nie mógł dłużej patrzeć na upadek Mateusza. Pewnego dnia wtargnął do jego mieszkania i nie pytając o zgodę, zabrał go na rehabilitację do innego specjalisty, a Ewelina pod ich nieobecność uprzątnęła dom z alkoholu, którego zaczął nadużywać. Zajęli się nim.

Gdy w końcu stanął na obie nogi i mógł powrócić do treningów, Przemek wyskoczył z propozycją nie do odrzucenia. Ironman. To było coś, o czym Mateusz marzył od dawna, ale ze względu na kalendarz wypełniony zawodami triathlonowymi i kolarskimi wciąż odsuwał ten pomysł do realizacji na bliżej nieokreśloną przyszłość.

— Stary, lepszego momentu nie będzie — przekonywał go Przemek. — Nie masz nic do stracenia. Możesz jedynie zyskać.

— Widzisz, w jakiej jestem formie? Nie przejdę nawet kwalifikacji. Nie uda się…

— Nie pierdol, tylko bierz się do roboty. Od jutra wracasz na siłownię, a potem do biegania. — Przemek rzucił mu na stół karnet do siłowni. — Ogarnij się. Nikt za ciebie życia nie przeżyje.

— Nie trenowałem od tygodni. Spadła mi forma, jak to sobie wyobrażasz?

— Tak, że od jutra trenujesz na maksymalnych obrotach. A, i nie przyjmuję żadnych wymówek — zagroził Przemek. — Rusz w końcu dupę, bo potrzebuję dobrego sparingpartnera. Zamierzam być na podium… chyba że mnie wyprzedzisz?

Mateusz jeszcze przez chwilę bił się z myślami, a potem przyznał mu rację. Nie miał nic do stracenia. Dni mijały mu bezproduktywnie i kończyły się zwykle butelką piwa. Lub dwiema.

— Zrobię wszystko, żeby tak było.

— Nie liczyłem na inną odpowiedź. — Przemek przyciągnął go do siebie i po przyjacielsku poklepał po ramionach. — Jutro o dziesiątej na siłowni. Masz być w formie — rzucił, szykując się do wyjścia. — A o tym — wskazał na pustą butelkę po piwie — nawet nie myśl.

— Dzięki za wszystko, stary.

— Podziękuj Ewelinie. To był jej pomysł — zaznaczył Przemek.

Kiedy przyjaciel opuścił jego mieszkanie, Mateusz spakował torbę na siłownię. Leżała w kącie szafy mocno zakurzona. W środku znajdował się niewyprany od ostatniego treningu dres. Spojrzał na stary karnet. Ostatni raz na siłowni był w październiku. Na kilka dni przed feralną kontuzją.

Popatrzył na zegarek. Był trzeci lutego, godzina trzynasta czterdzieści pięć.

1 *Sztejt in feld a bejmele* (Drzewo na polanie) — kołysanka żydowska.

XVIII. Kiedyś

Było już po żniwach. Rozległe połacie pól opustoszały ze snopków, eksponując równe jak dywan ścierniska. Łąki nie zieleniły się już tak intensywnie, a liście drzew gdzieniegdzie zaczęły przybierać inne kolory, zwiastując powolne nadejście jesieni. Pogoda tego lata była wyjątkowo łaskawa, więc wieś szybko uwinęła się ze zbiorami. Brak męczących upałów i wystarczająco obfite opady przyniosły dostatnie plony, dając nadzieję nie tylko na przetrwanie zimy i przednówka, ale i na zysk ze sprzedaży darów ziemi. Woźniakowie pracowali w pocie czoła, aby zapewnić całej czwórce wikt na najbliższy rok.

Sianokosy i żniwa dały im się we znaki przy dwójce małych dzieci, które gdy tylko nauczyły się chodzić, wymagały od rodziców dodatkowej czujności. Ponieważ nie miał kto z nimi zostać w domu, zabierali je do pracy w polu. Dwójka wesołych maluchów nie mogła usiedzieć na miejscu, więc Marcjanna dwoiła się i troiła, aby pomóc Maćkowi i jednocześnie nie spuszczać dzieci z oka. Tak mijały im dzień za dniem. Ledwie uporali się ze skoszonym zbożem i młocką u siebie i na odrobku, a już rozpoczynały się wykopki. Woźniakowa była u kresu sił. Nie miała pojęcia, jak radzą sobie matki czwórki czy szóstki dzieci, których we wsi przecież nie brakowało.

— Muszę odpocząć — powiedziała Marcjanna pewnego dnia przy obiedzie. — Nie daję już rady. Dzieci w nocy ciągle się budzą, a za dnia mają siły za dwoje. Jak wstaję rano, wydaje mi się, że wcale nie spałam.

Maciej nieoczekiwanie przyznał jej rację. Nie narzekał na trudy pracy na roli, był z nią bowiem oswojony od dziecka, ale czasem łapał się na myśli, że ich codzienne życie wypełnia rutyna — żmudna praca od świtu do nocy. Zamarzył o odpoczynku nad wodą i beztroskiej zabawie z dziećmi, na którą na co dzień nie miał czasu. Kazał więc żonie napiec jakichś pyszności na następny dzień i zarządził wspólne wyjście nad rzekę. Żeby nie musiała schodzić na południowe dojenie, poprosił Krowiakową o przysługę. Marcjanna nie posiadała się z radości. Po południu upiekła sporo ulubionych drożdżówek męża, przyniosła z komory kosz na piknik i wypełniła go najpotrzebniejszymi przy dzieciach rzeczami, żeby z samego rana jak najszybciej wyruszyć nad rzekę.

Mimo że dzień wcześniej narzekała na zmęczenie, nazajutrz krzątała się od rana ze zdwojoną siłą. Skoro świt wydoiła krasulę, uprzątnęła oborę, odświeżyła się i zaczęła szykować ekwipunek na piknik. Zawinęła drożdżówki w lnianą szmatkę, napełniła bańkę chłodnym zsiadłym mlekiem, a dzieciom przyszykowała kawałek białego sera, za którym przepadały. Kosz był wypełniony po brzegi. Wzięła jeszcze stary koc, by mogli położyć się w cieniu.

Słońce mocno już dogrzewało, gdy z Basią i Józkiem w wózku naprędce zbitym z desek wyruszyli nad rzekę. Maciej wesoło pogwizdywał, ciągnąc wózek, a Marcjanna szła za nimi, wciąż nie dowierzając, że spędzą ten dzień na kąpieli i zabawie.

Mimo iż był koniec sierpnia, nieznośny upał dawał im się we znaki, ale perspektywa kąpieli w chłodnym nurcie Gwoźniczanki była coraz bliższa. Brzeg Gwoźniczanki stwarzał idealne warunki do letniego odpoczynku. Rozległą łąkę otaczały rozłożyste drzewa, dając sporo cienia, a kawałek piaszczystego terenu tuż nad rzeką był namiastką prawdziwej plaży, o jakiej Marcjanna tylko słyszała z opowieści. Gwoźniczanka, choć wydawała się niepozorna, miejscami była zdradliwa. Przed wojną w jej wodach utopiło się rodzeństwo. Kilkuletnie dzieci pozostawione bez opieki, jak to na wsi było w zwyczaju, postanowiły przejść rzekę od brzegu do brzegu. Dorośli, zajęci pracą w polu, nie słyszeli ich wołania o pomoc. Ciała odnaleziono po

kilku dniach. Płynęły wraz z nurtem rzeki przez wiele kilometrów. Po tej tragedii miejscowi chłopi wybudowali wiszącą drewnianą kładkę, by w razie potrzeby ludzie mogli bez narażania zdrowia i życia przedostać się na drugi brzeg. Była licha, więc rzadko kto z niej korzystał, mając w pamięci nieszczęśliwą śmierć dzieci.

Nad rzeką nie było nikogo. Marcjanna ucieszyła się, że będzie mogła ściągnąć suknię, a może i bieliznę, i bez skrępowania zanurzyć się w rzece.

— Spróbuję nauczyć ich pływać — zaśmiał się Maciej, patrząc na umorusane serem buzie Basi i Józka. — A ty idź popływaj.

— Dobrze wiesz, że nie umiem — odparła Marcjanna, ściągając sukienkę.

— To i ciebie nauczę — odrzekł, nie odrywając od niej wzroku. Zrzuciła na piasek sukienkę i biustonosz. Została w samych majtkach. Włosy zawinęła w węzeł i szczelnie okryła chustką. Kołysząc okrągłymi biodrami, ostrożnie próbowała wejść do rzeki. Maciej był gotów pobiec do niej i wnieść ją na rękach, a potem kochać się z nią w rzece, ale szybko oprzytomniał, bo miał przy sobie dwójkę dzieci, które chciał oswoić z wodą. Sam był dobrym pływakiem i nie miał sobie równych w wyścigach pływackich, jakie przed laty urządzali z kolegami w rzece. Instruktorem jednak okazał się kiepskim, dzieci bowiem ni w ząb nie rozumiały, o co mu chodzi. Basia płakała, za to Józek był w swoim żywiole. Machał rękami, rozchlapując wokół siebie wodę i wywołując jeszcze większy płacz siostry. W końcu wyciągnął ich z wody i ułożył na kocu.

Marcjanna straciła ich z oczu. Stawiała stopy coraz pewniej. Chłodna woda obejmowała jej spragnione odpoczynku ciało i dawała ukojenie. Rozkoszowała się chwilą, którą miała tylko dla siebie. Z każdym krokiem zanurzała się coraz głębiej, aż woda zakryła jej piersi. Była już blisko kładki. Zwisał z niej gruby sznur. Złapała go jedną ręką, by nie stracić gruntu pod nogami. Zamknęła oczy i drugą dłonią schładzała pulchne ramiona, które szybko zaróżowiły się od słońca. Trzeba będzie się smarować zsiadłym mlekiem, pomyślała. Wzdrygnęła się na samą myśl o założeniu biustonosza na podrażnione ciało, więc uporczywie oblewała ramiona wodą. Z brzegu co chwila dolatywał ją wesoły szczebiot dzieci i nawoływania Macieja, który nie umiał sobie z nimi poradzić. Tak bardzo potrzebowała odpoczynku, że straciła poczucie czasu. Nie miała pojęcia, jak długo była w wodzie.

Nagle poczuła szarpnięcie, a potem piekący ból w palcach. Syknęła z bólu. Niewiele brakowało, by wypuściła sznur. Bolącą dłoń szybko zanurzyła w zimnej wodzie, drugą zaś kurczowo trzymała się liny.

— Tfu, bezwstydnico — usłyszała nad sobą.

Ostrożnie podniosła wzrok. Słońce ją oślepiało, ale rozpoznała drobną sylwetkę i twarz, którą widziała przed laty. „Ta kobieta przeszła piekło, ale strzeż się jej jak ognia. Gdzie tylko się pojawi, przynosi nieszczęście", ostrzegała ją matka.

Kubiakowa splunęła prosto w twarz Marcjanny. Ta szybko umyła się wodą, wzbudzając chrapliwy śmiech starej kobiety.

— Czego chcesz, stara wiedźmo? — zapytała odważnie, jednocześnie szukając wzrokiem ratunku. Niestety Maciej był zbyt daleko, by mógł usłyszeć jej wołanie. Kubiakowa trzymała w ręce solidną lagę. To nią musiała ją tak mocno uderzyć. Zobaczyła, że Marcjanna spogląda w stronę brzegu, i podążyła za jej spojrzeniem.

— Po co ci nie swój bachor? Myślisz, że nie wiem?

Spojrzała na nią z niedowierzaniem. Skąd Kubiakowa, prowadząca wędrowny tryb życia, mogła wiedzieć, że Józek nie jest jej biologicznym synem? Czy rzeczywiście tak dobrze znała przeszłość i przyszłość, jak mówiono? Natłok myśli sprawił, że Marcjannie brakło tchu, starała się jednak ukryć zmieszanie.

— To moje dzieci, a tobie nic do nich — odparła.

Kubiakowa znów splunęła, a potem się roześmiała.

— Ten tam — wskazała na Józka — też twój? Przecież mały to skóra zdjęta z matki. Tej Żydówki. Wołała na niego B-e-n-i-a-m-i-n — wysyczała.

Marcjanna patrzyła na starą z przerażeniem w oczach. Zorientowała się, że Kubiakowa wie o dziecku Estery i Kalmana. Zrobiło jej się tak zimno, że gęsia skórka pokryła jej ciało. Słońce było w zenicie, a ona dygotała. Kurczowo trzymała się sznura, żeby nie utonąć. Drugą ręką próbowała zasłonić piersi. Modliła się, by mąż choć na chwilę oderwał się od dzieci i popatrzył w stronę rzeki.

— Żydzi spłonęli w tym kinie, trza było i dziecku pozwolić umrzeć. Nikt by go nie żałował. Udajecie, że chłopak jest wasz, a ludzie takie głupie, że wam wierzą — zaśmiała się gorzko Kubiakowa. — Ale ja powiem im prawdę.

— I tak ci nikt nie uwierzy — wyszeptała Marcjanna. — Jesteś obłąkana, nikt nie wierzy w bzdury, które pleciesz.

— To czego trzęsiesz się jak osika, co? Ukradliście dziecko i mówicie, że to wasze. A może… a może to dziecko Macieja? — zarechotała Kubiakowa, a Marcjannie natychmiast przed oczami stanął obraz Maćka wpatrującego się w smukłą Esterę w czerwonej sukience w białe kwiaty, w dniu, kiedy przyszli zostawić im pod opieką Beniamina. Szybko odpędziła od siebie tę myśl, lecz Kubiakowa śmiała się nadal, mrucząc pod nosem obraźliwe słowa pod adresem Woźniaków i Kalmanów.

— Maaaaaciej! — zawołała Marcjanna. — Maaaaaaciej!

Stara znów uderzyła ją lagą po dłoni. A potem jeszcze raz. Tym razem w głowę. Marcjanna była lekko ogłuszona, ale postanowiła się bronić. Podciągnęła się na sznurze. Drugą dłonią chwyciła Kubiakową za kostkę i z impetem pociągnęła w swoją stronę. Kubiakowa się przewróciła. Laga wypadła jej z ręki. Wtedy Marcjanna zaczęła mocno poruszać sznurem, by rozkołysać kładkę. Przychodziło jej to z trudem, ale nie ustawała. Stara kobieta próbowała się podnieść, jednak jej ciało coraz bardziej się zsuwało z kołyszącej się kładki.

— B-e-n-i-a-m-i-n! — wychrypiała Kubiakowa. — B-e-n-i-a-m-i-n!

Ochrypły głos dotarł do uszu Macieja. Od ponad roku nikt nie wypowiadał tego imienia, więc nie zważając na nic, zostawił dzieci same na kocu i rzucił się biegiem w stronę rzeki. Widział, jak Kubiakowa już do połowy zanurzona w rzece niezdarnie trzyma się kładki, a potem wypuszcza ją z rąk i wpada do wody.

Marcjanna stała nieruchomo, ściskając w ręku sznur, i beznamiętnie patrzyła, jak stara wodzi wzrokiem za lagą dryfującą po rzece. Chciała ją złapać, ale kawałek drewna odpłynął w przeciwną stronę. Kubiakowa nie potrafiła pływać. Desperacko machała rękami, uderzając w taflę wody, co tylko pogarszało jej położenie. Niezdarne ciało w końcu przestało walczyć z żywiołem. Marcjanna patrzyła obojętnie, jak Kubiakowa z trudem łapie powietrze. Jej spojrzenie nie błagało o litość czy pomoc, a Marcjanna nie znalazła w sobie resztek empatii, by rzucić się na ratunek. Stała nieruchomo, przyglądając się całemu zajściu tak, jak gdyby działo się bez jej udziału.

— Wzięłaś bachora, będziesz mieć kłopot — wychrypiała stara, zachłystując się wodą.

Maciej, który biegł co sił, by uratować Marcjannę, nagle przystanął. Wymienili się z żoną spojrzeniami. Obserwowali w napięciu, czy Kubiakowa rzeczywiście przegra z nurtem. Gdy zniknęła pod wodą, ruszył do żony. Objął jej zimne, drżące ciało. Płakała. Maciej patrzył jeszcze przez chwilę w stronę kładki. Marcjanna powędrowała za jego wzrokiem i odetchnęła z ulgą.

— Chodź do dzieci — ponagliła męża.

W drodze powrotnej do domu nic nie mówili. Maciej ciągnął wózek z dziećmi, które śmiały się i płakały, dokuczając sobie jak zwykle. Marcjanna szła pół kroku za nimi, nie

zwracając uwagi na ich zachowanie. W końcu niepewnie odwróciła się w stronę rzeki. Niczym niezmącona tafla Gwoźniczanki pięknie się mieniła w popołudniowym słońcu, a kładka kołysała się delikatnie w rytm łagodnych podmuchów wiatru. Mogliśmy mieć takie piękne popołudnie, pomyślała z żalem. Jednocześnie w sercu czuła dziwne ciepło, jakiś wewnętrzny spokój, który podpowiadał jej, że od teraz będzie już dobrze. Przyspieszyła kroku, by pomóc mężowi w ciągnięciu wózka.

— Nikomu o tym nie powiemy — ustalił Maciej. — Zapomnij o wszystkim, co tu się stało.

Ton jego głosu był pewny i stanowczy. Nie zamierzała się sprzeciwiać.

XIX. Teraz

Musiał to zauważyć, a ona, nie wiedzieć czemu, zawstydziła się, choć nie jest żadnym przestępstwem mieć narzeczonego, Marcelina była rozbita, gdy podał jej ze stolika wibrujący telefon z mrugającym na ekranie napisem „Kochanie". Jednym ruchem rozłączyła połączenie i schowała smartfon do kieszeni, wyrzucając sobie, że nie mogła podpisać Łukasza normalnie, imieniem, tylko tak czule. Telefon od Łukasza wybił ją z rytmu toczącej się płynnie rozmowy. Każde kolejne spotkanie z Mateuszem sprawiało jej dużo radości, bo okazał się nie tylko inteligentnym i zdyscyplinowanym rozmówcą, który rozumiał cel publikacji o sobie, ale i człowiekiem o dużym poczuciu humoru. Wielokrotnie śmiali się podczas wywiadu, aż pewnego dnia przyłapała się na myśli, że bardzo lubi spędzać z nim czas. Dawno nie czuła się tak dobrze w czyimś towarzystwie.

— Chyba powinnaś odebrać, nie krępuj się.

— To nic ważnego. — zawahała się. — To znaczy… nic pilnego. Potem oddzwonię do… niego — dodała ponuro.

— Jak uważasz — powiedział całkiem naturalnie. Jej zakłopotanie trochę go rozbawiło, ale zachował powagę i kontynuował opowieść o trudach przygotowań do wyścigów kolarskich, które Marcelina chciała obrazowo opisać w jednym z rozdziałów książki.

Była zmieszana. Jej wina. Mogła odebrać telefon wczoraj, gdy Łukasz wydzwaniał całe popołudnie, jednak zapomniała oddzwonić, bo pochłonęło ją szperanie w Internecie. Po spisaniu kolejnej rozmowy z Mateuszem spędziła kilka godzin na czytaniu publikacji na temat historii Niebylca i okolic, próbując znaleźć jakieś ogniwo łączące tę miejscowość z jej rodziną. Nie trafiła wprawdzie na żaden ślad, ale przepadła w gąszczu informacji o losach tego przedwojennego polsko-żydowskiego miasteczka. Stwierdziła, że to świetny materiał na reportaż, kiedy już upora się z książką o Mateuszu i grzebaniem w przeszłości rodziny.

Niebylec miał bogatą historię. Został założony jako miasto na mocy przywileju króla Zygmunta Starego z 1509 roku. Na początku liczył piętnastu mieszkańców, a w ciągu trzystu lat ta liczba wzrosła blisko pięćdziesiąt razy. Na przestrzeni lat zmieniali się właściciele miasta, ale wśród obco brzmiących nazwisk tylko dwa przykuły jej uwagę. Łempiccy i Ankwiczowie. Marcelina była niemal pewna, że już kiedyś gdzieś o nich słyszała. Na studiach? Podczas pisania artykułu? W telewizji? Gdzie to było? — zastanawiała się uporczywie, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. W końcu dała za wygraną. Skopiowała nazwiska i wrzuciła w wyszukiwarkę. W kilka sekund znalazła odpowiedź. No jasne, uśmiechnęła się do siebie, kiedy zobaczyła pierwszy link. Prowadził do artykułu, który czytała pobieżnie kilkanaście miesięcy wcześniej. Opisywał nieszczęśliwą młodzieńczą miłość Adama Mickiewicza do hrabianki Ewy Henrietty Ankwiczówny, dziedziczki Niebylca. Była to smutna, drobiazgowo opisana opowieść ilustrowana czarno-białą fotografią nastoletniej Ewy Henrietty i zdjęciem Mickiewicza. Na końcu artykułu znajdowało się zdjęcie popadającego w ruinę dworu, który kiedyś był własnością rodziny Ankwiczów. Co za historia… Muszę to miejsce koniecznie zobaczyć, pomyślała. Zapisała nazwisko Ankwicz i nazwę dworu w notatniku i wróciła do buszowania w Internecie.

Z dostępnych informacji wynikało, że przez wiele lat Niebylec był miastem polsko-żydowskim. W drugiej połowie XVII wieku mieszkały tu cztery rodziny żydowskie, a dwieście lat później Żydzi stanowili połowę wszystkich mieszkańców. Mieli duży wpływ na społeczno-gospodarcze życie niewielkiego miasteczka. Dzięki nim w Niebylcu rozwinął się handel. Funkcjonowały tu rozmaite sklepy i zakłady prowadzone głównie przez Żydów,

rozwijało się rzemiosło. Centrum życia stanowił rynek, wokół którego ulokowane były najważniejsze sklepy.

Najbardziej zafascynowały ją archiwalne filmy, na które trafiła na stronie United States Holocaust Memorial Museum, przekazane w 2008 roku przez Rutsy Unger, prawnuczkę niebyleckiego Żyda o nazwisku Unger. Trzy czarno-białe filmy pozwoliły jej zobaczyć miasteczko przodków sprzed niemal stu lat. Nakręcił je nastoletni Robert Unger, który w 1932 roku przyjechał wraz z rodzicami Morrisem i Ethel oraz bratem Sy odwiedzić swojego dziadka. Choć jakość tych filmów była nie najlepsza, Marcelina mogła zobaczyć realia, w jakich kiedyś żyli jej pradziadkowie i dziadkowie. Maleńkie, senne miasteczko, na którego centrum składała się synagoga, kilka ubogich domów i sklepów, przez środek którego goniono krowy, a mieszkańcy nosili na plecach wiadra z wodą z miejskiej studni…

Z wypiekami na twarzy przyglądała się sfilmowanym panoramom, ale nijak nie mogła rozpoznać w nich obecnej miejscowości — poza synagogą, która zachowała się do dziś w świetnym stanie. Analizowała pojawiające się na filmach twarze, szukając w nich podobieństwa do babci i dziadka, lecz przed kamerą uwieczniona została głównie społeczność żydowska. Rozbawiła ją scena, gdy po rodzinę Ungerów odjeżdżającą do Stanów Zjednoczonych na niebylecki rynek zajechał samochód, wzbudzając wielkie zainteresowanie dzieci i dorosłych, którzy rzadko mieli okazję oglądać taki pojazd, bo po ich miejscowości jeździły bryczki konne.

Filmy zaintrygowały ją tak bardzo, że wpisała w wyszukiwarkę kolejną frazę i znów trafiła na anglojęzyczną stronę dotyczącą żydowskiej przeszłości miasteczka, zawierającą relacje dawnych mieszkańców Niebylca. Świetnie znała angielski, głównie dzięki Łukaszowi, więc szybko przeczytała zapisane tam wspomnienia.

Całe miasteczko Niebylec było takie małe, że można by zamknąć oczy i przez nie przejść. Ulice nie miały nazw. Dom, w którym mieszkaliśmy, był drewniany i miał tylko jedno piętro — i tylko kilka pokoi. Nie było bieżącej wody i prądu. Zimą, kiedy było zimno, musieliśmy wkładać papier do butów, żeby było ciepło w stopy, nawet nie pamiętam, żebym miał skarpetki. Ale nie było źle, całe miasteczko było jak jedna rodzina. Wszyscy się znali, w całym mieście było tylko kilka nazwisk. Schaffer, Salzman, Feit, Steinmetz. Była piekarnia prowadzona przez rodzinę Wallachów, rzeźnikiem był Feit, sklep z artykułami suchymi prowadził Bloom, Shmuel Zev Steinmetz miał mały sklep ze słodyczami. Sklep żelazny prowadzony był przez rodzinę Uhr. Mój ojciec, Wolf Schaffer, zajmował się handlem jajami. Rolnicy przychodzili na rynek w każdy poniedziałek, a on kupował od nich jajka (…)2.

Kolejne wspomnienie było nie mniej intrygujące.

*Pamiętam, że miasto było takie małe — po prostu duży rynek z małymi sklepikami dookoła. Wszystkie domy były drewniane i małe. Nie było bieżącej wody, „nosiciel wody" przynosił nam wodę do użytku. Nie było też prądu. To było biedne miasto. Kiedy padał deszcz, miasto zamieniło się w jedną wielką kałużę błota! Zwykle było bardzo cicho, nigdy nic ciekawego się tam nie działo — jak przejeżdżał samochód, to wszyscy biegli, bo to było prawdziwe wydarzenie!*3

Marcelina się uśmiechnęła — w filmie, który obejrzała kilka minut wcześniej, widać było to wyraźnie. Kliknęła na trzecią, ostatnią relację.

Mój ojciec, Yecheskel Feldman, zajmował się handlem skórzanym. Jego teść, Isaac Salzman, był jednym z bardziej prominentnych ludzi w mieście Niebylec, zajmował się handlem skórzanym, więc myślę, że mój ojciec nauczył się od niego fachu. Sprzedawali buty i inne wyroby skórzane. Pamiętam, że miasteczko było bardzo małe, żydowsko-polskie. Burmistrz był Polakiem, nie Żydem. Rano chodziłem do szkoły polskiej, a późnym popołudniem do szkoły religijnej, chederu. Miasto, o ile pamiętam, było całkowicie religijne. (…) *Tuż za Niebylcem był folwark,*

czynny folwark z krowami i końmi. Pamiętam, jak tam chodziłem (…)4.

Archiwalne filmy skłoniły ją do dalszych poszukiwań. Marcelina wpisała jeszcze nazwisko swoich dziadków, jednak w wynikach wyszukiwania nic się pojawiło. I wtedy przyszedł jej do głowy pomysł, gdzie powinna szukać informacji o nich. Przecież to takie proste, stwierdziła. Czemu nie pomyślałam o tym od razu?

XX. Kiedyś

Marcjanna przyłożyła dłoń do czoła. Było ciepłe, zroszone drobnymi kropelkami potu. Upalny lipcowy dzień mocno dawał się jej we znaki. Poszła do łazienki, odkręciła kurek z wodą i zanurzyła twarz w chłodnym strumieniu kranówki. Wcześniej wzięła głęboki wdech, żeby nie czuć nieprzyjemnego posmaku i zapachu. Woda z miejskiego wodociągu pachniała obco. Chlorem, chemią, czymś niezdrowym. Nadal nie mogła się do niej przyzwyczaić, mimo że mieszkali w mieście od dwóch miesięcy. Żeby napić się wody, musiała ją zagotować i ostudzić, ale nawet wtedy jej nie smakowała. Czasem dodawała szczyptę soli albo listek mięty, jednak obcy posmak nie znikał zupełnie. Wciąż porównywała kranówkę z wodą ze studni, którą przez lata najpierw jej wujek, a potem Maciej każdego ranka przynosili wiadrami do domu. Tamta woda była krystalicznie czysta, pachniała świeżością, a jak smakowała!

Marcjanna podniosła głowę znad umywalki, wytarła schłodzone czoło i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Własna twarz wydawała się obca. Ostatnio sporo schudła. Policzki się zapadły, cera poszarzała, a podkrążone oczy nadawały jej spojrzeniu wyraz zniechęcenia. Choć zwykle niewiele uwagi poświęcała urodzie, w ostatnim czasie zupełnie nie dbała o siebie. Dwa miesiące wcześniej zorientowała się, że jest w ciąży. Wprawdzie od wielu miesięcy krwawienia miała nieregularne, ale gdy stała się wrażliwa na wszelkie nieprzyjemne zapachy, a poranki zaczęły ją witać mdłościami, nie miała wątpliwości, że spodziewa się dziecka. Przez wymioty i nudności gwałtownie traciła na wadze, tak samo jak wtedy, gdy pod sercem nosiła Basię. Wiadomość o ciąży nie ucieszyła jej specjalnie. Całe dnie spędzała z dziećmi, które wymagały od niej wiele uwagi, podczas gdy Maciej chodził do pracy i zarabiał na utrzymanie rodziny.

Wiosną Maciej oznajmił jej, że przeprowadzają się do Rzeszowa, ponieważ dostał pracę w fabryce produkującej silniki turbinowe. Był potrzebny niemal od zaraz, bo fabryka rozwijała się w szybkim tempie i liczyła się tam każda para rąk do pracy. Marcjanna wiedziała, że to dla nich spora szansa. Nigdy nie marzyła o mieście, ale w swojej wsi czuli się obco. Od kiedy na wzgórzu zabrakło Estery i Kalmana, a wieś pogrążyła się w żałobie, ich codzienność stała się ledwie znośna. Nikt ich nie odwiedzał, a oni rzadko opuszczali wzgórze. Nawet nie protestowała przeciwko propozycji Maćka. Bez żalu spakowali swój niewielki dobytek, a zwierzęta za pół darmo sprzedali Krowiakom i ich krewnym. Domu pozbyli się także, bo pojawiło się dwóch kupców składających przyzwoite oferty. Maciej wynegocjował najlepszą ofertę, co pozwoliło im rozpocząć w miarę dostatnie życie w mieście.

W przedostatni piątek maja stanęli przed blokiem w centrum miasta, gdzie na trzecim piętrze czekało na nich niewielkie mieszkanie po ciotce Macieja. Popatrzyli na siebie bez słowa, stwierdzając, że tu mogą zacząć wszystko od nowa.

Na kilka dni przed wyjazdem Marcjanna udała się do zaniedbanego domostwa Salzmanów. Od czasu pożaru w remizie zaglądnęli tam tylko raz. Wtedy, tuż po tej tragedii, wybrali się pod osłoną nocy, aby zabrać rzeczy Beniamina. Kołyskę, ręcznie robione grzechotki i kilka dziecięcych ubranek, które Estera zdążyła uszyć. Maciej nalegał, żeby wziąć jeszcze cos, co mogłoby się przydać w ich domu, ale Marcjanna była nieugięta.

— Nie można okradać najlepszych przyjaciół — powiedziała. — Nie możemy dorabiać się na ich nieszczęściu. Nie spojrzałabym sobie w oczy.

— Jeśli my tego nie weźmiemy, zabiorą złodzieje — stwierdził Maciej.

Choć przyznawała mu w duchu rację, jakoś trudno było jej wyobrazić sobie, że będą jeść z talerzy Salzmanów, spać pod ich pierzyną albo chodzić w ich ubraniach. Każda rzecz

przypominałaby im o nieszczęściu i wzbudzała wyrzuty sumienia. Na to Marcjanna nie mogła się zgodzić. Sam widok kubka z mlekiem, który od tego feralnego wieczoru stał na kuchennej blasze i czekał na swoich właścicieli, a także miski z namoczonym praniem w sieni był dla niej nie do zniesienia.

Od tamtej pory gospodarstwo Salzmanów stało opuszczone. Maciej czasem spoglądał w jego stronę, gdy wracał z robót polowych, ale nie odważył się przekroczyć bramy obejścia. Dopiero przed decyzją o wyjeździe do miasta Woźniakowie uznali, że trzeba zajrzeć do domu sąsiadów. Być może po raz ostatni. Marcjanna stwierdziła, że powinni poszukać jakiejś pamiątki po rodzicach Beniamina.

Dom był w kiepskim stanie. Od pożaru minęły trzy lata, a patrząc na dach i okna budynku, wydawało się, że ćwierć wieku. Dom Salzmanów był wiekowy, ale Kalman utrzymywał go w dobrej kondycji. Teraz nie było na co patrzeć. Marcjanna bała się wejść do środka w obawie, że sufit runie jej na głowę, ale ciekawość okazała się silniejsza. Odgarnąwszy liczne pajęczyny, skierowała się w stronę komory. Poprzednio tam nie zaglądała, ale przeczucie podpowiadało jej, żeby udać się właśnie tam.

Pomieszczenie było spowite pajęczynami i cuchnęło wilgocią. Marcjanna w lot pojęła, że pełno tu myszy. Nie widziała żadnej, ale specyficzna woń unosząca się w ciemnej komorze nie mogła mylić. Znała ten zapach aż zbyt dobrze. Rozejrzała się niepewnie, zastanawiając się, czego tak naprawdę tu szuka. Małe, brudne okno dawało niewiele światła, więc nie mogła dokładnie przyjrzeć się wnętrzu. W pomieszczeniu znajdowało się kilka drewnianych skrzyń wypełnionych zbożem stanowiącym znakomity pokarm dla małych gryzoni. Jedna ze ścian zastawiona była regałami, ale Marcjanna nie mogła dostrzec, co na nich stało.

Popatrzyła na swoje stopy i odetchnęła z ulgą, że rankiem włożyła stare, ale pełne obuwie, więc śmiało może w nim pójść nawet w sam środek mysiego królestwa. Podwinęła spódnicę i zręcznie przecisnęła się między skrzyniami, znacząc ubranie pajęczynami. Na regałach nie zobaczyła nic konkretnego. Słoiki z przetworami, które Estera szykowała na zimę, dwa żelazka z duszą, kawałki materiałów, naczynia kuchenne. Ponadto stare gazety, zepsuta lampa naftowa i trzy ogarki. Nic z tych rzeczy nie mogło zostać pamiątką rodzinną. Uwagę Marcjanny zwrócił niewielki kufer. Pomyślała, że gdyby tylko taki miała, z pewnością trzymałaby w nim najcenniejsze rzeczy. Kiedy z nadzwyczajną lekkością uchyliła wieko, rozczarowała się. Wnętrze kufra wypełniały jakieś stare ubrania. Mundur wojskowy ze srebrnym wężykiem na kołnierzu, wojskowa czapka rogatywka, chałat i trzy jarmułki. Już na pierwszy rzut oka widać było, że żadne z nich nie nadawało się do noszenia. Zrezygnowana zamknęła wieko. Wtedy zauważyła stojącą za kufrem maselnicę. Pomyślała, że chętnie wzięłaby taką ze sobą do miasta, ale skąd miałaby tam wziąć śmietanę, żeby zrobić masło? Maselnica była zresztą zepsuta.

Włożyła rękę do środka. Poczuła papier. Była to stara gazeta z ledwie widoczną datą 19 czerwca 1939 roku. Odłożyła ją na bok i sięgnęła głębiej. Na dnie maselnicy leżało coś jeszcze. Odwróciła się ze znaleziskiem w stronę okna. Rozwinęła wilgotny papier, w który owinięty był mały lniany woreczek z czymś drobnym w środku. Gdy rozwiązała supeł i wysypała zawartość woreczka, na dłoni poczuła chłód metalu. Otwarła aż usta ze zdumienia. W ręku trzymała drobny złoty łańcuszek z zawieszką w kształcie serca. Po raz pierwszy widziała złoto na własne oczy, więc przyglądała mu się z niedowierzaniem. Niestety cichy pisk gryzoni przeszkodził jej w zachwycie nad znaleziskiem. Skrzętnie zawinęła go z powrotem i włożyła do kieszeni przepaski. Mając taki skarb, postanowiła już nie szukać dalej. Przesunęła maselnicę, ominęła skrzynie i wyszła z komory, nie oglądając się za siebie. Usiadła na progu, by zastanowić się, co dalej.

Zauważyła, że drzwi do izby Salzmanów były lekko uchylone. Weszła do środka. Na

łóżku małżonków leżała pierzyna, a na niej kuchenny fartuch Estery i lniana koszula Kalmana. Spod łóżka wystawały męskie codzienne buty, a obok nich leżała niemowlęca koszulka. Pewnie spadła, gdy przebierali Beniamina, pomyślała Marcjanna. Poza tym w pomieszczeniu panował porządek. Estera była świetną gospodynią. Przesadnie dbała o porządek. Te drobne elementy, świadczące o tym, że kiedyś toczyło się tu zwykłe, codzienne życie, które zostało brutalnie przerwane przez czyjąś niedbałość, wywołały w niej wzruszenie, a ciężar tajemnicy, jaką obarczyli się z Maciejem, tylko potęgował emocje. Łzy spływały jej po policzkach.

— Wybaczcie mi, przyjaciele — szepnęła kobieta, żegnając się przed krzyżem wiszącym na ścianie nad łóżkiem Salzmanów. — Wybaczcie mi, ale chcę, żeby Józek miał jakąś pamiątkę po was. Niech chociaż to mu zostanie. Wybaczcie.

Odwróciła się w stronę drzwi tak nieostrożnie, że potrąciła drewnianą komodę stojącą obok łóżka. Jedna z szuflad wysunęła się, ukazując skromną zawartość: jakieś męskie przybory do golenia, haftowaną jasną serwetę i kilka zdjęć. Przyjrzała im się uważnie. Wśród fotografii nieznanych jej osób zauważyła zdjęcia Estery i Kalmana wykonane zapewne do dokumentów potwierdzających tożsamość. Nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że powinna je stąd zabrać. Jej sąsiedzi nie mieli bliskich, bo wszyscy zginęli podczas wojny. Nikomu już nie będą potrzebne. Zawinęła fotografie w lnianą serwetę i umieściła w przepasce obok znaleziska z komory.

Przeżegnała się jeszcze raz i opuściła domostwo Salzmanów z bólem serca, ale i z poczuciem satysfakcji, że znalazła coś, co należało do tamtej rodziny. Coś, co ich syn zawsze będzie mógł mieć przy sobie i traktować jak amulet.

Marcjanna znów pochyliła się nad umywalką, by zrosić twarz i zmyć wspomnienia, które nachodziły ją coraz częściej. Była bardzo wyczerpana, ale nie liczyła na odpoczynek. Basia i Józek właśnie przebudzili się z południowej drzemki i domagali się uwagi mamy.

— Już idę — zawołała przez drzwi. — Już idę.

Tak naprawdę miała ochotę położyć się i nie wstawać aż do rozwiązania. Przeczekać ten czas w łóżku, spoglądając w sufit. Co to będzie, gdy w domu pojawi się kolejna istota? — pomyślała.

XXI. Teraz

Chodźmy, pokażę ci coś — zaproponował Mateusz.

Marcelina wyczuła, że dziś Mateusz nie miał nastroju do rozmowy. Na pytania odpowiadał zdawkowo. Zastanawiała się, co mogło być tego powodem, zwłaszcza że ostatnie dni upłynęły im na wielogodzinnych, owocnych rozmowach. Zebrała już mnóstwo materiału do książki, ale przed nią wciąż było dużo pracy. Wieczorami bywała tak wyczerpana, że nie miała siły opuszczać pensjonatu i zwiedzać okolicy. Z każdym dniem coraz częściej łapała się na tym, że czeka na spotkanie z Mateuszem, a praca nie jest już dla niej przykrą koniecznością, lecz staje się ciekawym doświadczeniem.

— W twojej branży mówi się o tym „praca w terenie" — powiedział, widząc grymas niezadowolenia, który przemknął przez jej twarz. — Pojedziemy do mnie. Jak zobaczysz to miejsce, dowiesz się więcej, niż gdybyś przepytywała mnie cały dzień. Tylko włóż coś ciepłego, bo za lasem jest dużo chłodniej niż tutaj. Czekam na parkingu.

Kiedy po chwili wróciła z grubą bluzą i pikowaną kamizelką, Mateusz stał oparty o swój samochód i rozmawiał przez telefon. Doleciały ją strzępki rozmowy.

— Dobrze, zdzwonimy się wieczorem. Teraz jestem trochę zajęty — tłumaczył swojemu rozmówcy. — Muszę już kończyć. Do zobaczenia.

Upewniła się, że ma w kieszeni dyktafon i telefon, i ruszyła w kierunku swojego SUV-a.

— Pojedziemy moim samochodem, twój będzie niepotrzebnie zwracał uwagę — stwierdził.

Marcelina uniosła brwi i roześmiała się, widząc czarne, lśniące bmw.

— Serio? Gdybyś jechał tym starym oplem, który tankowałeś wtedy, nie dziwiłabym się — poruszyła temat niezręcznych okoliczności, w jakich się poznali. — Ale ten — wskazała na sportowe bmw — to dopiero zwraca uwagę.

— Przepraszam za tamto. Zachowałem się jak dupek — powiedział, nie patrząc jej w oczy. — Nie mam nic na swoją obronę. Kompletnie nic. Dureń ze mnie.

— Nie ma tematu, wybaczam. Jedźmy już — ucięła rozmowę. — Obawiasz się plotek?

— Nie. — Mateusz popatrzył na nią zdziwiony. — Wszyscy tutaj wiedzą o mnie więcej niż ja sam.

Jak się dowiedziała podczas krótkiej podróży, Mateusz od kilkunastu miesięcy mieszkał na wzgórzu położonym na samym końcu wioski. Choć drewniany dom, którego w szybkim tempie został właścicielem, nie nadawał się do zamieszkania, wprowadził się do niego niemal od razu. Pewnego dnia po prostu rozstał się ze swoim wrocławskim życiem, spakował niewielki dobytek i ruszył w nieznane. Julek, jego kolega — handlarz nieruchomościami, załatwił niezbędne formalności, więc Mateusz z dnia na dzień z wrocławskiego obieżyświata przekształcił się w mieszkańca podkarpackiej wioski i właściciela skromnego drewnianego domu na odludziu.

Dom Mateusza dzieliło od Leśnego Zacisza kilka kilometrów. Aby do niego dojechać, trzeba było skręcić z drogi krajowej w prawo, a potem na rozwidleniu w lewo w wąską, krętą drogę asfaltową, która otoczona z obu stron lasem pięła się stromo w górę. Marcelina miała wrażenie, że znajduje się nie w wiosce na końcu świata, ale jedzie do jakiegoś górskiego kurortu w malowniczej okolicy. Owszem, pagórkowaty krajobraz tego zakątka Podkarpacia spodobał jej się od pierwszej chwili, jednak dopiero gdy miała ten pejzaż na wyciągnięcie ręki, totalnie ją zauroczył. Las mienił się soczystą zielenią, a promienie wiosennego słońca otulające rozkwitające drzewa tworzyły przyjemny dla oka obraz. Mateusz zwolnił, aby mogła dłużej

cieszyć się otaczającym widokiem. Przyglądała mu się z zachwytem. Jakże inna była jej codzienność w mieście od rzeczywistości, której teraz stała się częścią. Odsunęła szybę, żeby jeszcze mocniej poczuć panoszącą się wiosnę. Świeży zapach lasu odurzył ją od pierwszej chwili. Wciągnęła powietrze głęboko.

— Pięknie tu — stwierdziła, patrząc przez boczną szybę.

— Teraz chyba mnie rozumiesz?

— Uhm — przytaknęła.

Mateusz skręcił w prawo. Tu kończył się asfalt i zaczynała prosta szutrowa droga, utrzymana w całkiem dobrym stanie. Z obu stron otaczały ją pola uprawne albo nieużytki, nieco dalej ciągnął się las. Po przejechaniu kilkuset metrów znaleźli się na malowniczym wzgórzu, porośniętym z trzech stron lasem, z którego roztaczał się widok na leżącą w dolinie wioskę. Marcelina nawet nie patrzyła na Mateusza, tylko z nosem przyklejonym do szyby przyglądała się leśnej panoramie. W tej okolicy było coś magicznego, ale i niepokojącego zarazem. Widok sprawiał wielkie wrażenie. Do Marceliny dotarło, że w takim miejscu samotność nabiera nowego znaczenia. Wielkie miasto, w którym mieszkała od lat, nie pozwalało na odosobnienie. Wokół niej non stop byli jacyś ludzie i jakieś wydarzenia. Zawsze było coś pilnego do zrobienia na wczoraj i wiecznie urywały się telefony. A tutaj — wątpiła, że jest zasięg i że ktoś mógłby tu kogoś szukać. Piękny koniec świata — pewnie taki tytuł nosiłby reportaż o tym wzgórzu, gdyby kiedyś zdecydowała się go napisać.

Mateusz zgasił silnik. Nawet się nie zorientowała, że dotarli do celu.

— I co o tym sądzisz? — zapytał, gdy wysiedli z auta.

— Prawie zaniemówiłam.

— Nie spodziewałem się, że powiesz co innego. — Mateusz się uśmiechnął. — Kiedy kupowałem ten dom, nie wiedziałem, że w gratisie dostanę to wszystko. — Wskazał na panoramę ze wzgórza.

— Chyba nie powiesz, że kupowałeś w ciemno?

— Poniekąd. Gdyby Julek zaproponował mi taki dom na Pomorzu czy Podlasiu, pewnie dziś rozmawialibyśmy tam. Było mi wszystko jedno, gdzie wyjadę. Byle jak najdalej od miasta. Oferta była na tyle atrakcyjna, że nie zastanawiałem się w ogóle. Co najważniejsze, od razu mogłem w tym domu zamieszkać, choć warunki były trudne. A może i ekstremalne.

Rześkie powietrze postawiło Marcelinę na nogi. Ból głowy, który męczył ją od rana, ustąpił. Wciągnęła powietrze tak głęboko, aż poczuła, jak przyjemny chłód wypełnia ją od środka. Robiąc wydech, zauważyła niewielki obłoczek pary, który znikł niemal tak szybko jak bańka mydlana. Oparła się o samochód. Mateusz zrobił to samo.

— Mówiłem, że tutaj jest chłodno — powiedział. — Słońce chowa się za lasem dość wcześnie, więc klimat mamy inny niż na dole.

— Niesamowite — przyznała, puszczając kolejny obłoczek pary.

— O tej porze roku temperatura spada tu szybko, więc wiosna nie ma takiego uroku jak tam, we wsi. — Wskazał ręką na widoczne w dolinie zabudowania. — Dopiero gdy przychodzą prawdziwe upały, robi się naprawdę przyjemnie.

— Mam wrażenie, że tu o każdej roku jest pięknie — stwierdziła, patrząc na las mieniący się świeżą, wczesnowiosenną zielenią. — Żyjesz jak w bajce. — Zamknęła oczy i jeszcze raz głęboko wciągnęła powietrze. — Zazdroszczę ci.

— Życie w mieście ci nie odpowiada? — zagadnął. Wciąż miała zamknięte oczy. Przyglądał się jej twarzy usianej drobnymi złotymi piegami. Zauważył też jeden srebrny włos wśród gęstwiny pukli w odcieniu pszenicy. Spotykali się od kilku dni na nagraniach do książki, ale pierwszy raz patrzył na nią z tak bliskiej odległości. Czuł jej ciepły oddech, gdy raz po raz

zaciągała się leśnym aromatem. — Przecież miasto też ma swój urok. Wiem coś o tym.

Otworzyła oczy, lecz gdy spotkała jego wzrok, zmieszała się.

— W końcu urodziłeś się i wychowałeś we Wrocławiu. Piękne miasto, dużo ładniejsze niż Warszawa.

— Byłaś tam?

— Kilka razy. Pewnie o kilka za mało.

— Turyści zwykle chodzą utartymi szlakami i zwiedzają to, co podpowiadają przewodniki i poradniki. Żeby zobaczyć prawdziwe piękno Wrocławia, trzeba odłożyć przewodnik i iść w nieznane.

— Obawiam się, że nie zobaczyłam nawet połowy tego, o czym piszą w przewodnikach. — roześmiała się.

— Gdybyś kiedyś chciała zobaczyć Wrocław z innej strony, chętnie ci go pokażę. Znam każdy zaułek, zjeździłem całe miasto na rowerze.

Popatrzyła na niego z ukosa. Poprzedniego dnia, gdy opowiadał jej o początkach treningów i kariery sportowej, zarzekał się, że nie chciałby już tam wracać.

— O ile dobrze pamiętam, wczoraj twierdziłeś, że Wrocław to zamknięty rozdział — przypomniała.

— Jako rozdział w życiu — potwierdził. — Jako przewodnik po mieście dla jakiejś miłej turystki mógłbym tam wrócić.

— To dopiero byłaby sensacja! Już widzę te nagłówki na portalach plotkarskich: „Mateusz Jurewicz, upadła gwiazda sportu, widziany we Wrocławiu w towarzystwie nieznajomej blondynki” — zażartowała.

— Mogę zaryzykować, a poza tym trochę się zmieniłem od czasu, gdy ostatnio mnie widziano we Wrocławiu, więc nie sądzę, że byłbym aż tak rozpoznawalny. Myślę, że nikt nie skojarzyłby mnie z tamtym gościem. — uśmiechnął się.

— Zmieniłeś się nawet nie trochę, ale bardzo — potwierdziła. Przypomniała sobie, jak kilkanaście dni temu robiła research o Jurewiczu. Na zdjęciach zobaczyła wtedy wysokiego, szczupłego, dobrze umięśnionego bruneta ze starannie przyciętymi włosami. Teraz obok niej stał nadal wysoki, lecz o bardziej masywnej sylwetce mężczyzna, z modnie wystylizowaną brodą i dłuższymi włosami związanymi wysoko w węzeł. Jego obecny styl ubierania także różnił się od dawnego. Nic dziwnego, że nie rozpoznała go wtedy na stacji benzynowej.

— Tutaj zdecydowanie lepiej karmią niż we Wrocławiu. Wejdziemy dalej? — zaproponował.

Wejście do domu prowadziło przez nieco zaniedbany ogród z gęsto posadzonymi kwiatami, lecz bez pomysłu na kompozycję. Gospodarstwo było skromne i proste, ale urządzone gustownie, w stylu nowoczesnej stodoły. Ozdobę prostej drewnianej elewacji stanowiły duże przestronne okna i drzwi.

Mateusz wyjął telefon z kieszeni i w galerii zdjęć odszukał fotografie domu zrobione w dniu jego przyjazdu tutaj. Przedstawiały małą wiejską chatę z niewielkimi drzwiami i oknami, wołającym o remont dachem i rozwalającym się kominem. Do chaty dostawiona była przybudówka — zapewne jakiś składzik na opał. W pobliżu stała wygódka z charakterystycznym wycięciem w kształcie serca, a z tyłu za domem znajdował się budynek gospodarczy, prawdopodobnie stajnia lub stodoła. Cała nieruchomość prezentowała się jak wiele wiejskich opuszczonych domostw, którymi nikt się nie interesował. Gdy Marcelina porównała stan poprzedni z faktycznym, była pełna uznania dla Mateusza, który remontując chatę, nie poczynił totalnej rewolucji, lecz nadał jej nowoczesny wygląd, zachowując przy tym „starą duszę”.

— W tym domu nikt nie mieszkał? — zapytała.

— Przez pięć lat stał opuszczony, wcześniej mieszkała w nim jego właścicielka.

— Zmarła?

— Nie… — roześmiał się. — Żyje i ma się całkiem dobrze jak na ponad dziewięćdziesiąt lat. W tych warunkach, na tym pustkowiu nie poradziłaby sobie, bo wymaga opieki.

— Pewnie wnuki zabrały ją do siebie. Albo jacyś krewni.

— Nic z tych rzeczy — powiedział, oprowadzając ją po podwórku. — Ona nie ma rodziny. Przeżyła wszystkich krewnych, a swojej rodziny nie założyła. Teraz mieszka w domu spokojnej starości, gdzie ma zapewnioną stałą opiekę.

— To dość kosztowna sprawa jak na starą, samotną osobę — zauważyła.

Mateusz opowiedział jej o szczegółach umowy kupna– –sprzedaży domu z zastrzeżeniem, że ten fragment rozmowy nie może zostać upubliczniony ze względu na poufne informacje, ochronę danych i dobro drugiej strony umowy. Nie życzył sobie, aby w książce znalazły się wątki dotyczące dawnej właścicielki domu. Marcelina obiecała, że napisze tylko to, co trzeba, aby kwestia jego przeprowadzki i wyboru miejsca była klarowna dla czytelników. Resztę zachowa dla siebie, poza tym wywiad i tak przejdzie jego autoryzację.

Z opowieści Mateusza wynikało, że właścicielka domu na wzgórzu zaniemogła kilka lat temu. Po niefortunnym złamaniu nogi już nie stanęła o własnych siłach i zmuszona była przesiąść się na wózek, co dla żywiołowej i energicznej kobiety już było klęską. Sprawą samotnej seniorki zajęli się pracownicy gminnego ośrodka pomocy społecznej, pomagając jej w codziennym funkcjonowaniu — czynnościach higienicznych, zakupach czy przyrządzaniu posiłków. Niestety kobieta mieszkała z dala od wsi i pozostawianie jej samej na noc bez stałej opieki było ryzykowne. Za zgodą seniorki, w porozumieniu z odpowiednimi instytucjami, postanowiono umieścić ją w domu spokojnej starości, a dom wraz z należącymi do niego działkami wystawić na sprzedaż. Dochód ze sprzedaży domu miał pokryć koszt pobytu kobiety w placówce. Sprawami finansowymi zajął się upoważniony przez nią miejscowy notariusz, którego zadaniem było regularne opłacanie czynszu i zapewnienie finansowania jej pobytu tam w przyszłości.

— Jakoś trudno w to uwierzyć — powiedziała z przekąsem.

— W co?

— W tę całą historię… W to, że ktoś tak zadbał o jakąś samotną staruszkę i nie czyhał na jej majątek. Wybacz, ale to brzmi trochę nierealnie.

— Zależy, z jakiej perspektywy na to patrzysz — stwierdził Mateusz. — Widocznie są jeszcze uczciwi ludzie, którzy nie boją się pomagać innym.

— Wcale nie twierdzę, że ich nie ma, tylko… Wystarczy poczytać gazety i portale, posłuchać radia, obejrzeć telewizję, żeby się dowiedzieć, ile jest zaniedbań ze strony opieki społecznej. Ciągle mówi się o tragediach, wykorzystywanych dzieciach, bitych kobietach, zastraszanych seniorach, a gdzieś w tle zawsze są pracownicy socjalni, którzy nie widzieli, że dzieje się coś złego, bo wszystko mieli pod kontrolą.

Mateusz patrzył na nią, marszcząc brwi, ale nie przerywał.

— Media kochają sensacje, a złe informacje zawsze lepiej się sprzedają. Sama powinnaś wiedzieć to najlepiej — powiedział w końcu. — Wydaje mi się, że gdyby pomoc społeczna popełniła tu jakiś błąd, sama usłyszałabyś o tym w telewizji. Dobre wiadomości nie mają siły przebicia. Dlatego do ciebie nie dotarły.

Chcąc nie chcąc, musiała przyznać mu rację.

— No cóż… Jeśli znaleźli takie rozwiązanie, by pomóc tej kobiecie, to pełen szacun — zgodziła się. — Ale naprawdę trudno w to uwierzyć.

— Kto chce pomóc, zawsze znajdzie możliwość. Kto nie chce, będzie szukał powodu, by nie pomagać — skwitował.

Marcelinę zastanawiała jeszcze jedna rzecz. Szybko policzyła, na jak długo mogłoby wystarczyć pieniędzy na pobyt w placówce, i zorientowała się, że suma ze sprzedaży domu topniała z miesiąca na miesiąc, a seniorka przebywała w domu spokojnej starości już ponad trzy lata.

— Nie wiem, za ile kupiłeś ten dom i ziemię, ale biorąc pod uwagę miejsce i stan domu, nie wydałeś majątku — zauważyła,

— Przyznaję, cena była kusząca.

— Na ile jeszcze wystarczy tych pieniędzy, aby opłacić jej pobyt? — spytała rzeczowo.

— Może na kilkanaście miesięcy…

— A co, jeśli będzie żyła dłużej? Jeśli ta kwota wyczerpie się szybciej?

Mateusz się zawahał, ale uznał, że może być z nią szczery.

— Jednym z warunków umowy kupna–sprzedaży było złożenie przez mnie zobowiązania, że w chwili gdy kwota ze sprzedaży domu się wyczerpie, pomogę w zdobyciu środków na finansowanie jej pobytu.

— Naprawdę? — Marcelina aż się zatrzymała na środku podwórka i popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Kolejny raz ją zaskoczył. — Przecież to na twoją niekorzyść. Wybacz, że jestem taka rzeczowa, ale kupiłeś dom i zapłaciłeś za niego. Nie musiałeś się do niczego zobowiązywać.

— Uwierz mi, że wtedy niewiele mnie to obchodziło. Kupiłem dom bez zastanawiania się, co będzie dalej. Potrzebowałem uciec z miasta. Gdziekolwiek. Usiądźmy. — Wskazał na drewnianą huśtawkę za domem. — Na razie nie muszę się martwić.

— A potem?

— Myślę, że mi pomożesz. — uśmiechnął się do niej, a później zalotnie puścił oko.

— Co ja takiego mogę zrobić? — spytała trochę speszona, starając się ukryć zakłopotanie.

— Sama mówiłaś, że musisz napisać o mnie książkę, która ma zostać bestsellerem.

— Teraz już chyba rozumiem, dlaczego zgodziłeś się na wywiad rzekę do książki, choć nie udzieliłeś żadnego wywiadu od dłuższego czasu i wydawało się, że wytoczyłeś wojnę wszystkim mediom. — Marcelina zapięła kamizelkę pod szyją, bo zrobiło się chłodno. — Wszyscy w redakcji zachodziliśmy w głowę, po co ci to.

— Mówiłem, że dowiesz się więcej, gdy pojedziemy do mnie, niż gdybyśmy siedzieli przy kawie w Leśnym Zaciszu.

— I miałeś rację. Jak na razie praca w terenie bardzo mi się podoba

— Wejdziemy do środka? — zaproponował Mateusz. — Robi się trochę zimno.

— Zanim zobaczę, jak jest teraz, chciałabym zobaczyć, jak było tu kiedyś. Masz jakieś zdjęcia?

Mateusz znów wyjął telefon i kliknął w folder ze zdjęciami zrobionymi w dniu jego przyjazdu na wieś. Wnętrze chaty było skromne, zajmowały je tylko potrzebne meble i przedmioty. Kaflowy piec z kuchnią, stół, łóżko, dwa krzesła, szafa. Na stole stało radio, a obok pieca koszyk z drewnem na opał. Na ścianie wisiały obrazy z ostatnią wieczerzą, Jezusem Miłosiernym i Matką Boską Fatimską, wszystkie przyblaknięte przez padające na nie promyki słońca. W kredensie za szybą w równym rzędzie stały szklanki, kubki i talerze.

Mateusz przesuwał zdjęcia w szybkim tempie, a kiedy skończył się folder ze zdjęciami wnętrza chaty, wyświetliła się fotografia przedstawiająca Mateusza w towarzystwie ładnej brunetki całującej go w policzek. Selfie zostało zrobione w jakimś lokalu. Oboje byli ubrani wizytowo, za ich plecami było widać elegancko nakryte stoliki. Mateusz zorientował się, że galeria przesuwa się dalej, więc szybko zablokował telefon i włożył do kieszeni.

— Chodźmy już, bo zaraz przemarzniesz i twój plan jak najszybszego uwinięcia się z wywiadem legnie w gruzach — zasugerował.

Przez chwilę zastanawiała się, czy kobieta ze zdjęcia jest tą samą osobą, z którą rozmawiał, zanim wsiedli do samochodu. Przeanalizowała w myślach wszystkie artykuły, jakie czytała o nim, robiąc research w Internecie i czasopismach zostawionych w mieszkaniu przez Łukasza. Uchodził za singla, ale ciągle widywano go w towarzystwie atrakcyjnych kobiet. Portale plotkarskie publikowały zdjęcia z jego nocnych eskapad po knajpach, które zawsze opuszczał w damskim towarzystwie. Kim więc mogła być ta brunetka? Złapała się na myśli, że niepotrzebnie ją to interesuje, i przywołała się do porządku. Podniosła się z huśtawki i otrzepała spodnie.

— Jestem bardzo ciekawa, jak urządziłeś się w środku.

— Wybacz bałagan, ale rano nie przypuszczałem, że będę miał gości, i nie zdążyłem posprzątać — uprzedził Mateusz.

— Nie? — zdziwiła się.

— Nie. Myślałem, że porozmawiamy jak zwykle, ale jadąc do Leśnego Zacisza, stwierdziłem, że powinnaś tu przyjechać.

Wnętrze było niewielkie — hol, salon z kuchnią, sypialnia, pokój, łazienka i mały strych — ale urządzone funkcjonalnie. Nowocześnie. Mateusz odwrócił się, aby zaparzyć kawę, więc Marcelina mogła rozejrzeć się po mieszkaniu. Na biurku stał laptop, a przy nim kubek z niedopitą kawą, obok leżały katalogi rowerowe, foldery reklamowe, odręczne notatki dotyczące jakichś danych.

— Masz zdjęcie tej kobiety, od której kupiłeś dom? — zaciekawiła się Marcelina. Już wcześniej zorientowała się, że ponaddziewięćdziesięcioletnia seniorka powinna kojarzyć jej babcię, a może nawet znała ją osobiście.

— Nie. Kiedy tu przyjechałem, już jej nie było. Mieszkała w domu spokojnej starości. Wszystkie formalności załatwiałem z notariuszem.

— A poznałeś ją?

Kiedy usiedli na kanapie z kubkami gorącej kawy, opowiedział jej o okolicznościach poznania właścicielki nieruchomości na wzgórzu. Gdy przed remontem porządkował dom, w jednej z izb, w szafie znalazł fotografię z 1949 roku przedstawiającą trzyosobową rodzinę. Uznał, że może ona być ważną pamiątką rodzinną, więc skontaktował się z domem seniora. Zaoferował się, że dostarczy zdjęcie osobiście. Udało mu się pomimo rygoru odwiedzin i faktu, iż nie był z pensjonariuszką spokrewniony. Gdyby nie to, że kobieta nie miała nikogo bliskiego, a z wyjątkiem najstarszych mieszkańców wioski nikt jej nie odwiedzał, pewnie nie zostałby wpuszczony. Zdjęcie przekazał do rąk własnych starszej pani. Ucieszyła się na jego widok, gdy powiedział, kim jest, a kiedy podał jej fotografię, wyraźnie się wzruszyła. Uścisnęła jego dłoń, uśmiechnęła się serdecznie, ale nie udało mu się z nią porozmawiać. Ani wtedy, ani następnym i kolejnym razem.

— Starsi ludzie mają swoje dziwactwa. — Marcelina przypomniała sobie swój reportaż o jednym z warszawskich domów seniora, gdzie spotkała się z barwną galerią osobowości i zachowań. Od wtedy bała się starości i jej konsekwencji.

— To chyba nie jest dziwactwo.

— Jeśli nie dziwactwo, to co? Choroba?

— Na to wygląda, ale ponieważ nie jestem krewnym, nie udzielają mi żadnych informacji.

— Myślisz, że mogłabym ją odwiedzić? — zapytała.

— Nie sądzę, żeby ci cokolwiek o mnie powiedziała.

Zmieszała się. Nie chciała wciągać Mateusza w opowieść o swojej rodzinie.

— To osobista sprawa. Bardzo mi zależy.

— Zobaczę, co da się zrobić. Znam jedną z pracujących tam pielęgniarek.

— Odwdzięczę się przy najbliższej okazji.

— A może… masz ochotę na wino? — Mateusz już podnosił się z kanapy gotów otworzyć szafkę z alkoholami.

— Nie, dziękuję — odparła tak nerwowo, aż poczuł, że mur, który wyrósł między nimi od spotkania na stacji benzynowej, znacznie się rozrósł. Ponieważ patrzył na nią pytająco, postanowiła się wytłumaczyć. — Ostatnim razem, gdy piłam alkohol, zrobiłam wielkie głupstwo. — westchnęła, przypominając sobie romantyczną kolację w Orchidei i noc przed odlotem Łukasza. Noc, po której nie spała wiele następnych nocy, obawiając się, czy nie zaszła w ciążę. — Wstyd mi do dziś.

— Nie wyglądasz na taką — wymknęło mu się.

— To znaczy na jaką? — spytała lekko poirytowana.

— Na taką, co robi jakieś głupstwa.

— A jednak… Poza tym gdybyśmy oboje pili wino, nie miałabym jak wrócić do pensjonatu, nocowanie tu byłoby nieeleganckie, a tutaj raczej trudno o taksówkę — zauważyła.

— To może innym razem. — uśmiechnął się. — Jeśli to głupstwo da się naprawić, cofnąć albo o nim zapomnieć, nie ma co zawracać sobie nim głowy.

— Pewnie masz rację — powiedziała bardziej do siebie niż do niego. — Ale to cholernie trudne. Zrobisz mi herbaty?

XXII. Kiedyś

Przestańcie się wygłupiać, jesteśmy na cmentarzu. — Marcjanna strofowała dzieci, które były w swoim żywiole. Józek ciągnął Basię za warkocze, a ta rewanżowała się kuksańcami. Biegali wokół mogił i krzyży i popiskiwali, Mila stała z boku i śmiała się na całe gardło. — Maciej, powiedz im coś, proszę. Zupełnie mnie nie słuchają. — Bezradnie rozłożyła ręce. — Uspokój ich. Taki wstyd, żeby tak zachowywać się na cmentarzu. Jeszcze ktoś nas zobaczy i pomyśli, że dzieci nie potrafimy wychować.

— Jesteś dla nich za łagodna, za dobra — mruknął pod nosem, kończąc znak krzyża. — Jakby czasem dostały klapsa, nic złego by im się nie stało. Józek, Baśka, Mila, wracać mi tu, ale już! Raz, dwa! — jego głos zrobił się donośny i nie zapowiadał nic dobrego. — Wstydu nie macie. Pacierz zmówcie nad grobem, ale już!

Cała trójka zdyszana, ale uśmiechnięta przystanęła grzecznie obok rodziców, tłumiąc resztki beztroskiego śmiechu. Jak na komendę przeżegnali się i zaczęli recytować *Ojcze nasz* i *Wieczny odpoczynek*, a na ich twarzach zagościła niestosowna do wieku powaga. Dzieci wiedziały, że na czas modlitwy należy się wyciszyć i odgonić od siebie chęć do psot i żartów.

Marcjanna już od pierwszych dni życia uczyła ich modlitwy i nie pozwalała kłaść się spać czy wstawać rankiem z łóżka bez znaku krzyża czynionego z czcią i oddaniem. Nauczyła ich szacunku do modlitwy i miejsc świętych, jednak na cmentarzu były po raz pierwszy i mimo wcześniejszych napomnień w domu nie potrafiły się tu stosownie zachować. Cmentarz znajdował się na otwartej przestrzeni. Otoczony był drzewami i krzewami owocowymi, a między mogiłami i wokół cmentarnej dróżki bujnie rosły polne kwiatki niczym w ogródku. Nie było tu obrazów świętych ani modlących się osób, więc uznały, że mogą zachowywać się swobodnie.

Kiedy ich modlitwa dobiegła końca, Mila przyjrzała się grobowi, nad którym stali.

— Mamuś, a za kogo się modlimy?

— Za naszych przyjaciół. Moich i taty — odparła Marcjanna, a jej twarz jakby zszarzała od smutku. Oczy znów zapełniły się łzami. — Kiedyś, dawno temu, byli naszymi sąsiadami i najlepszymi przyjaciółmi. Dzieliliśmy się wszystkim, co mieliśmy.

— Dlaczego umarli? — wtrąciła się do rozmowy Basia. — Na tych zdjęciach wyglądają tak młodo i ładnie. Co im się stało?

— Zginęli w pożarze dziesięć lat temu — wyjaśniła Marcjanna, kładąc na mogile wiązankę z polnych kwiatów.

— Straszna śmierć. — Józek porzucił zabawę patykiem i bezskutecznie próbował odczytać inskrypcję wyrytą w kamieniu. — Brrr… — Wzdrygnął się. — Boję się ognia. Co to za dziwne imiona? Nie da się ich odczytać.

— Estera Salzman, Kalman Salzman — przeczytała Marcjanna, ale Józek wraz z dziewczynkami już gonił za cytrynowym motylem, który krążył nad nimi, gdy zaczęli się modlić. Wiedziała, że nie dosłyszał tych nazwisk. Odruchowo chciała zawołać syna i przymusić go do przeczytania albo i zapamiętania napisu, ale po głębszym zastanowieniu stwierdziła, że da temu spokój.

Grób Estery i Kalmana wyróżniał się spośród innych mogił na cmentarzu. Woźniakowie zadbali o to, aby ich przyjaciele spoczywali godnie. Hojnie zapłacili miejscowemu kamieniarzowi z sąsiedniej wioski, by postawił solidny obelisk z elegancką inskrypcją „Estera Salzman, Kalman Salzman. Zmarli w 1950 r. Żyli za krótko”. Wyzwaniem dla kamieniarza było umieszczenie zdjęć zmarłych małżonków, jednak Marcjanna tak się uparła, by ich fotografie

zostały na trwałe umieszczone na mogile, że fachowiec nie miał wyjścia i nie pomogły jego tłumaczenia, że się nie da. Po wielu próbach jednak się udało i wizerunki Salzmanów zawisły w miejscu ich wiecznego spoczynku. Marcjanna była zadowolona z siebie, że nie odpuściła tak łatwo. Groby na cmentarzu w Rzeszowie wyglądały zupełnie inaczej niż wiejskie mogiły. To tam podpatrzyła fotografie zmarłych na nagrobkach i postanowiła uczcić pamięć przyjaciół w ten sposób. Teraz spoglądała na poważną twarz Kalmana o wyraźnie zarysowanej szczęce i wnikliwym spojrzeniu oraz na łagodne oblicze Estery. Miała długie, falujące, ciemne włosy i ciemne oczy otoczone wachlarzem długich rzęs. Usta miała wąskie. Uśmiechała się delikatnie. Była pięknością.

Marcjanna jeszcze raz otarła łzy. Przeżegnała się. Jej modlitwa dobiegła końca. Dzieciaki biegały po cmentarzu niezrażone wcześniejszymi upomnieniami. Maciej chwilę wcześniej poszedł pomodlić się na grób rodziców.

— Marcyś, to ty? — głos za jej plecami należał do kobiety, której nie widziała od blisko dziesięciu lat. Rozpoznałaby go na drugim końcu świata. Gruby i niski, podobnie jak jego właścicielka. Odwróciła się. Na ścieżce stała pani Józka, ekspedientka ze sklepu koło remizy. Była większa niż wtedy, gdy widziała ją ostatni raz. Upływ czasu też odcisnął swe piętno na jej nalanej twarzy. Ubrana była jak zwykle, w obszerny granatowy fartuch i szeroką opaskę, która niegdyś podtrzymywała jej czarne, a teraz już siwe włosy.

— Marcyś, moja kochana, tyle lat! Tyle lat! Tyle lat was nie widziałam. — Józefa zasapała się, zanim dotarła do Woźniakowej. Wyściskała ją z każdej strony. — Marcyś, wy to teraz miastowe jesteście. Mów, jak wam się tam powodzi?

— Bogu dziękować, całkiem dobrze. — Marcjanna pokrótce opowiedziała o życiu w mieście. Nie była zbyt wylewna. Dozowała informacje w obawie przed rozpowszechnieniem ich przez Józefę. Sklepowa lubiła dużo mówić, a jeszcze więcej powtarzać. Marcjanna bała się plotek.

— To dobrze, Marcyś, to dobrze — przytaknęła Józefa. — A u nas bida i nieszczęście na każdym kroku. Idę do mojego Stasia, o tam leży. — Wskazała dłonią róg cmentarza. — Zmarło mu się rok temu, a jeszcze młody był. Co to pięćdziesiąt lat? Mógł żyć drugie tyle, gdyby tylko Bóg dał. Zostałam sama jak palec. Ani męża, ani dzieci, bo mieć nie mogliśmy. Smutne to życie i tyle…

Pani Józefa rozgadała się na dobre. Maciej z oddali chyba przeczuwał, że zanosi się na dłuższą pogawędkę, więc zawołał dzieci do siebie i pokazywał im stare nagrobki. Tymczasem Marcjanna cierpliwie przysłuchiwała się opowieściom sklepowej, przytakując jej utyskiwaniom. Opowiadała o mężczyznach z wioski zapijających smutki alkoholem, o dzieciach, które zamiast uczyć się, pomagały rodzicom na gospodarce, i o samotności, która trapiła ją od śmierci męża.

— W życiu liczy się drugi człowiek, nic więcej. Jak zabrakło Stasia, poczułam, że straciłam wszystko i nic mi już nie zostało — rozwodziła się kobieta. — Dobrze, że odwiedzasz swoich sąsiadów, Marcysiu, i modlisz się za nich. Taka ładna para z nich była. Wtedy, no wiesz, w dniu pożaru — zawahała się — nie wiedziałam, że widzę ich po raz ostatni. Przyszli do sklepu, zanim rozpoczął się film. Ona taka śliczna, drobniusieńka i w takiej kwiecistej sukience. Usiadła na ławeczce, a on wszedł po papierosy. Patrzył na nią jak w obrazek. Dziesięć lat temu to było, a wydaje mi się, jakby dziś.

— Czy… czy coś mówili? — dopytywała Marcjanna.

— Nie, kochaniutka, nic. — Józefa się roześmiała. — Ale jego oczy mówiły wszystko. Wyczytałam z nich wszystko. Był zakochany po uszy. Czy z wzajemnością, nie wiem…

— Byli szczęśliwym małżeństwem — podkreśliła dobitnie Marcjanna.

— Bóg nie oszczędził im życia ani domu — ciągnęła Józefa. Ponieważ Marcjanna

spoglądała na nią pytająco, wyjaśniła: — Był pożar na wzgórzu. Dom się spalił. Nic o tym nie wiecie?

Zaprzeczyła. W duchu się ucieszyła, że tego dnia, kiedy znalazła złoty łańcuszek, zabrała także fotografie Salzmanów. Józefa opowiadała o ogniu, który latem ubiegłego roku objął gospodarstwo Kalmana i Estery w takim tempie, że nic nie dało się uratować. Woźniakowie nie mieli o tym pojęcia, bo od kiedy kilka lat temu zrobili sąsiadom obelisk i sprzedali swój dom, nie utrzymywali żadnych kontaktów z wsią. Marcjanna uzmysłowiła sobie, że po ich dawnym życiu nie został żaden ślad.

— Dzieci rosną wam jak na drożdżach — skomentowała pani Józefa, gdy cała trójka strofowana przez ojca wróciła do matki i w równym rzędzie ustawiła się obok mogiły. — A jakie ładne! Co jedno, to ładniejsze!

Przenikliwe spojrzenie Józefy najpierw spoczęło na Emilce, drobnej blondynce o typowo słowiańskiej urodzie. Kobieta wysoko oceniła urodę siedmiolatki, ostrzegając Marcjannę, że na dziewczynę z taką urodą chłopcy nie będą patrzeć obojętnie, więc ta ani się nie obejrzy, jak córka sprowadzi do domu zięcia. Mila nie rozumiała, o czym mówi starsza pulchna kobieta, ale grzecznie uśmiechnęła się, ukazując brak dwóch mlecznych jedynek. Tata nakazał dzieciom, by się nie odzywały, tylko odpowiadały uśmiechem, więc najmłodsza latorośl zastosowała się do jego poleceń.

— Mila to skóra zdjęta z matki — oznajmiła Józefa. — A ty dziecko — zwróciła się do rudowłosej Basi — to cały ojciec.

Basia zatrzepotała rzęsami i szturchnęła Milę łokciem, a ta zachichotała. Józefa nie skomentowała tego, lecz odwróciła się do Marcjanny:

— Jak to możliwe, że co jedno, to inne?

Marcjanna zamarła. Józek stał najbliżej obelisku z fotografiami Estery i Kalmana. Kiedy spojrzała na zdjęcie Kalmana i chłopięcą buzię Józka, z trudem przełknęła ślinę na myśl o tym, co za chwilę może powiedzieć kobieta. By nie dać po sobie poznać zdenerwowania, zaczęła energicznie wyrywać chwasty rosnące wokół grobu i narzekać, że o ten cmentarz to nikt nie dba.

— A to ci zagadka — powiedziała Józefa, patrząc w oczy chłopcu. — Bliźniaki, a do siebie niepodobne… Ale udał się wam ten chłopiec, Marcysiu. Będziesz mieć pociechę z niego. Zapowiada się, że wyrośnie z niego duże chłopisko. Ale do ciebie to zupełnie niepodobny.

Marcjanna miała wrażenie, że wzrok Józefy błądzi między buzią Józka a zdjęciem Kalmana, więc postanowiła odwrócić uwagę kobiety.

— Jeden lekarz w Rzeszowie, taki profesor, specjalista, powiedział, że nie ma w tym nic dziwnego, że bliźniaki, a niepodobne — wyjaśniła. — Mówił, że dzieci dziedziczą wygląd i charakter po dziadkach, a nie rodzicach. Basia jest podobna do matki Macieja, a Józek do mojego ojca. Skoro profesor tak mówi, to co my, proste kobiety, mamy dyskutować z nauką?

— Może i tak — uznała Józka. — Ale ludzie będą gadać i tak, Marcysiu.

— Nie obchodzi mnie ludzkie gadanie. Nigdy nie obchodziło — powiedziała Marcjanna. — Życzę pani wszystkiego dobrego, a teraz musimy się zbierać, bo do miasta trzeba się jakoś dostać. Do widzenia.

— Zaglądnij, Marcyś, do sklepu, jak jeszcze kiedyś przyjedziesz — zaproponowała pani Józefa.

— Zaglądnę — obiecała Marcjanna, choć wiedziała, że jej noga nigdy już nie przestąpi progu sklepu.

To była ostatnia wizyta Woźniaków i ich dzieci na mogile Salzmanów. Marcjanna pojawiła się tam jeszcze kilka razy, ale sama. Obawiała się podejrzliwych ludzkich spojrzeń. Z każdą kolejną wizytą obserwowała, jak bardzo Józek staje się podobny do Kalmana, i za

wszelką cenę chciała uniknąć niepotrzebnych pytań. Ponieważ dzieci nie dopytywały o odwiedzoną wtedy mogiłę, nie musiała im nic więcej tłumaczyć.

XXIII. Teraz

Parafialne archiwum mieściło się w dwóch drewnianych, niemiłosiernie skrzypiących regałach z opadniętymi drzwiczkami w większości szafek. Spomiędzy luk w zbiorach wystawały rozliczne księgi parafialne poukładane nierówno, byle jak, jak gdyby ktoś robił tajemne poszukiwania i przyłapany na gorącym uczynku natychmiast musiał je odłożyć. Gdzieniegdzie widać było pojedyncze kartki, rozerwane listy z oryginalnymi pieczęciami kościelnymi, a na otwartych półkach walały się rozmaite dokumenty niezbędne do uzyskania zapisu w aktach parafialnych. W pomieszczeniu panował chaos odpowiadający aurze tego miejsca. Inspektor danych osobowych miałby tu co robić, stwierdziła.

Na ścianach gęsto rozwieszono obrazy o tematyce religijnej oraz portrety świętych. Większość z nich była lekko przykurzona, niektóre misternie oplecione pajęczyną. Na środku kancelarii stało solidne dębowe biurko, zawalone ze wszystkich stron obrazkami świętych, modlitewnikami i różnymi akcesoriami religijnymi, wśród których zauważyła różańce, medaliki, krzyżyki i drewniane pamiątki z różnych sanktuariów na świecie. Rzeczy te były upchane głównie na skrajach blatu, gdyż centralne miejsce na biurku zajmowała elegancka papeteria, służąca zapewne do sporządzania oficjalnych notatek.

W kancelarii panował zaduch, na który składał się zapach starych ksiąg trzymanych od lat w wilgoci, drewnianych mebli oraz długo niewietrzonego pomieszczenia.

— Proboszcz zgodził się w drodze wyjątku. Nie wiem, jak pani go przekonała, bo ze względu na RODO nie można ot tak sobie udzielać takich informacji. Z reguły proboszcz odmawia, ale skoro dał pani przyzwolenie, to nie mogę dyskutować, tylko pomogę — wyjaśniła protekcjonalnym tonem korpulentna pani Andzia, wycierając dłoń w znoszony kuchenny fartuch. — Nie może tu pani zostać sama i grzebać w księgach, to niedopuszczalne. Za dużo tu poufnych i delikatnych spraw, które nie mogą ujrzeć światła dziennego. Będziemy szukać razem, bo proboszcz do kurii pojechał i nie mógł pani sam pomóc.

— O to może być pani spokojna. Jestem tu zupełnie obca i interesują mnie tylko sprawy dotyczące najbliższej rodziny. Cała reszta jest dla mnie bez znaczenia — zapewniła Marcelina. — Nikogo tu nie znam. Miejscowe sensacje mnie nie obchodzą.

— A wie pani, że książkę by napisał z tego, co się wie? — przewróciła oczami kobieta. — Lżej by mi było, gdybym mogła się z kim jakimś sekretem podzielić, a tak muszę trzymać dla siebie aż po grób, bo albo tajemnica spowiedzi, albo…

— Przecież pani nie jest spowiednikiem — przerwała jej Marcelina.

— Spowiednikiem nie, ale czasem się słyszy różne rzeczy, jak grzesznik przyjdzie się na plebanię spowiadać. — Pani Andzia zmierzyła Marcelinę nieprzyjaznym wzrokiem i zaraz zmieniła temat. — Kiedy to ci dziadkowie się urodzili, mów pani, będzie mi łatwiej szukać. Ksiąg tu co niemiara. Jak kto nie wie, jak szukać, utknie na tydzień.

— Dokładnie nie wiem. Coś między 1927 a 1930 rokiem — powiedziała, mierząc się z kolejnym nieprzychylnym spojrzeniem gospodyni.

— Nie rozumiem, jak można nie wiedzieć, kiedy się dziadek czy babcia urodzili… — Pani Andzia załamała ręce. — Przecież to nie było w średniowieczu, tylko nie tak dawno temu. Co to się nie dzieje na świecie… Żeby takich rzeczy nie wiedzieć!

Marcelina zorientowała się, że w dyskusji z gospodynią proboszcza nie ma szans. Postanowiła uchylić rąbka tajemnicy tak, aby pani Andzia bardziej zaangażowała się w poszukiwania.

— Babcia była sierotą, to znaczy… jej mama wcześnie zmarła. O ojcu nigdy nie wspominała — tłumaczyła, widząc, że kobietę to zainteresowało. — Sama dokładnie nie wiedziała, kiedy przyszła na świat. Podawała kilka dat, bo nie miała pewności, która jest prawdziwa. Dlatego muszę się upewnić, aby na nagrobku wyryć właściwą. — W tym miejscu Marcelina skłamała, ale musiała uzasadnić swoje poszukiwania.

— Szczęście w nieszczęściu, że urodziła się przed wojną, a nie w trakcie — stwierdziła pani Andzia, wyjmując z szafki dwie księgi.

— Dlaczego?

— Ksiąg urodzeń z lat wojny nie ma — wyjaśniła gospodyni. — Zaginęły. Podobno partyzanci tak je skutecznie schowali przed szkopami, że już nigdy się nie odnalazły.

— Hmm… ciekawe. Wie pani coś więcej na ten temat?

— Nietutejsza jestem i nie wiem wszystkiego, tylko tyle, co ludzie gadają — mówiła pani Andzia, wertując kartki. — Mieszkam tu od dwunastu lat, jak księdzu Jerzemu probostwo tutaj zaproponowali.

— Czemu akurat te księgi ukryli?

— Bo za dużo zapisków o dzieciach żydowskich tam było. Gdyby wpadło to w szwabskie ręce, wiadomo, co by się stało.

— Przecież Żydzi mieli swoje księgi metrykalne — przytomnie zauważyła Marcelina.

— Co oni zrobili ze swoimi księgami, to nie wiem. Wiem tyle, co ludzie gadają. Dzieci polsko-żydowskich odnotowanych w naszych księgach podobno było tu trochę, więc ludziska się bali. Który to rok, pani mówi?

— Między 1927 a 1930.

— Widzi pani, ile dzieci się kiedyś rodziło? — Pani Andzia podniosła księgę, wskazała na gęsto zapisane rubryki i przejechała dłonią z góry na dół strony. — Tylko od stycznia do marca osiemnaścioro! A do końca roku, niech no popatrzę, pięćdziesiąt pięć! Widzi pani? — podsunęła Marcelinie księgę pod oczy. — Tyle ich się rodziło. A dziś? Jak piętnaście przyjdzie na świat, to sukces. Imię dziadka?

Marcelina podała dane dziadka, a kobieta z powrotem zanurzyła się w księdze. Powoli przesuwała palcem po imionach, aż zatrzymała się na jednym. Marcelina śledziła każdy jej ruch.

— Jest. Tutaj. — Wskazała na datę 27 czerwca 1927 roku. Była bardzo zadowolona z odkrycia.

Marcelina pochyliła się nad pożółkłą stroną i bez problemu odczytała dane skreślone niezwykle starannym pismem.

— Matthias?

— Dawniej zapisywali wszystko po łacinie. Wiem, bo proboszcz wszystkiego mnie nauczył, żebym go odciążyła, jak naraz wszyscy sobie przypomnieli, że chcą drzewo genealogiczne robić — wyjaśniła gospodyni.

— Matthias, syn Johannesa i Gertrudy, córki Adalbertus Jacek — odczytała z przejęciem Marcelina. — To moi pradziadkowie?

— Na to wygląda.

— Co to znaczy? — Wskazała na niezrozumiały dla niej zapis.

— Adalbertus albo Adalbert to po łacinie Wojciech. Jacek to nazwisko. Wojciech Jacek — doprecyzowała kobieta. — Czyli od początku: Johannes i Gerturda to pradziadkowie, a Wojciech Jacek to prapradziadek

— Boże, nawet nie miałam pojęcia, jak nazywali się moi pradziadkowie… — Marcelina zawiesiła głos. — Czuję się prawie tak, jakbym ich spotkała.

— Wy, młodzi, niewiele interesujecie się przeszłością — stwierdziła gorzko pani Andzia.

— Tylko sława i pieniądze się liczą. Ten jakiś Internet! Każdy chce być znany i bogaty, ale żeby się nie narobić. A jak już zaczniecie się interesować przodkami, to zwykle jest za późno. Dziadki nie żyją, rodzice też, nie ma kogo zapytać, więc dzwonicie na parafię, żeby do ksiąg zaglądnąć i dowiedzieć się czegokolwiek.

Marcelina po cichu przyznała jej rację. Zamyśliła się nad tym, co mogłaby usłyszeć od swojej babci, gdyby ta jeszcze żyła.

— Rozgadałam się jak zwykle — zorientowała się gospodyni. — Czegoś jeszcze szukamy?

— Mogłaby pani sprawdzić datę urodzin mojej babci?

Pani Andzia ponownie zanurkowała w księdze. Pod rokiem 1927 nie znalazła nikogo o podanym przez Marcelinę imieniu. Zatrzymała się na czwartym kwartale 1928 roku i z triumfem w głosie oznajmiła:

— Mam!

— Piętnasty października 1928… Tak, babcia podawała tę datę, ona figurowała w dowodzie osobistym, ale podawała jeszcze dwie inne, zupełnie nie wiem dlaczego — przypomniała sobie Marcelina, spoglądając na nieco rozmazany zapis. — To są nazwiska chrzestnych? — spytała, wskazując na łacińsko brzmiące imiona zanotowane w ostatniej rubryce. — Babcia wcześnie została sierotą, może to oni ją wychowali — powiedziała sama do siebie.

— To wszystko? bo obiad proboszczowi muszę ugotować. Czy jeszcze mogę w czymś pomóc? — zapytała nagle pani Andzia, widząc wzruszenie dziewczyny. — Może wpisu mamy poszukać?

— Tu jej nie znajdziemy. — uśmiechnęła się Marcelina. — Ale miała starszą siostrę, która chyba urodziła się tutaj. Może pani sprawdzić?

Marcelina nie miała pewności co do daty urodzin ciotki, jednak wierzyła w zaradność gospodyni, która była najwyraźniej dumna z umiejętności poruszania się w księgach parafialnych. Wertowała księgę do momentu, aż trafiła na nazwiska dziadków dziewczyny zanotowane w rubryce z danymi rodziców. Przyglądała się chwilę, mrużąc oczy. W końcu sięgnęła do kieszeni fartucha po okulary i przyjrzała się ponownie. Coś jej nie pasowało. Zmarszczyła brwi i jeszcze raz popatrzyła, po czym głosem pełnym powagi rzekła:

— Niech pani popatrzy tutaj. — wskazała palcem.

Marcelina przysunęła się bliżej i dokładnie przestudiowała wpis z metryki urodzin ciotki. Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

— Coś nie tak? — nie uszło uwagi pani Andzi.

— To niemożliwe — odpowiedziała z wahaniem w głosie bardziej do siebie niż gospodyni, nie tłumacząc powodu zaskoczenia.

— Zaraz niemożliwe. Skoro tak ksiądz zapisał, to tak jest i koniec.

— Niemożliwe, wiedziałabym. Powiedzieliby mi przecież… — W oczach miała łzy.

Pani Andzi zrobiło się jej żal.

— Niejedno już tu w życiu widziałam — mówiła ze spokojem. — Ludzie wyczytują z tych ksiąg rzeczy, których woleliby nie wiedzieć. Czasami lepiej nie szperać w przeszłości. Takie życie, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Mogę jeszcze w czymś pomóc?

— Dziękuję, to wszystko. I tak zajęłam pani masę czasu, a wiem, że obiad trzeba szykować. — uśmiechnęła się smutno. — Bardzo pani dziękuję — dodała, po czym wyszła z plebanii, próbując poskładać w całość wszystko, co rozsypało się na kawałki po lekturze ksiąg parafialnych.

Wyjęła telefon i odruchowo chciała wcisnąć numer matki, ale szybko porzuciła ten pomysł.

XXIV. Kiedyś

Zapach świeżo pieczonego mazurka wypełniał każdy metr niewielkiego mieszkania w kamienicy na drugim piętrze. Woń aromatycznych gorzkich migdałów, świeżego wiejskiego masła i jajek prosto od kury, które Marcjanna kupiła wczoraj na targu od handlarek, przyprawiała o zawrót głowy. Marcjanna otworzyła okno i słodki aromat ciasta buchnął na ulicę, zwracając uwagę grupki kobiet, które w to nadzwyczaj ciepłe kwietniowe popołudnie zamiast uwijać się z przygotowaniami do świąt, wyszły zażyć wiosennego słońca.

To był popisowy mazurek Marcjanny. Pochodził z niezawodnego przepisu słynnej Lucyny Ćwierczakiewiczowej z książki *Jedyne praktyczne przepisy konfitur, różnych marynat, wędlin, wódek, likierów, win owocowych, miodów oraz ciast*, którą znalazła w mieszkaniu tuż po przeprowadzce do Rzeszowa. Był pierwszym wypiekiem, jaki przygotowała w nowym miejscu zamieszkania. Józek uwielbiał to ciasto, więc piekła je co roku na urodziny Basi i Józka, które zbiegały się ze Świętami Wielkanocnymi. Basia i Mila trochę grymasiły, bo za nim nie przepadały, ale matka nie dała się przekonać. Klasyczny mazurek musiał być i już.

— Znowu mazurek? — doleciał ją znudzony głos Basi z pokoju obok. — Nie mogłabyś choć raz upiec sernika?

Marcjanna wychyliła się z kuchni i spojrzała na nią z wyrzutem.

— Dziecko, masz już szesnaście lat. Sama powinnaś próbować. Masz zdrowe ręce i nogi, podwiń rękawy i do roboty!

— Mamo! Jakoś Józek nie musi sobie robić mazurka — wyrwało się Basi. Marcjanna wyczuła złośliwość w jej tonie. Wzięła głęboki wdech, bo mogłaby powiedzieć o jedno słowo za dużo, po czym przerwała mycie naczyń, wytarła ręce w fartuch i podeszła do czytającej książkę córki.

— Józek robi, co może, żeby nas trochę odciążyć, żeby nam było łatwiej. Niesprawiedliwie by było proponować mu jeszcze pieczenie ciast, skoro w domu są trzy kobiety. Trzy zdrowe i silne kobiety — podkreśliła. — Teraz, gdy ty czytasz książkę, Józek pracuje na targu, a Mila mu pomaga.

— Mila ma pstro w głowie. — Basia podniosła głowę znad książki. — Trzpiotka i tyle.

— Sobie nie masz nic do zarzucenia? — spytała, siadając na brzegu łóżka. Pogłaskała ją po głowie. — Całe dnie, gdy nie jesteś w szkole, spędzasz na czytaniu książek i nie można cię od tego odciągnąć.

— Mamo, Mila włóczy się za Józkiem cały czas. Co on zrobi, ona to samo. Czy trzeba, czy nie. Jaki z tego pożytek?

— To starszy brat. To normalne, że imponuje jej — starała się wytłumaczyć matka. — Dlatego taka w niego wpatrzona. Ja ją rozumiem. Sama chciałam mieć starszego brata, jak byłam w jej wieku. Starszy brat to skarb.

— Dlaczego nie miałaś rodzeństwa? — Basia szybko zmieniła temat.

Marcjanna schyliła głowę i zaczęła wydłubywać resztki ciasta zza paznokci. Wspomnienia z dzieciństwa ją raniły, dlatego unikała rozmów na ten temat.

— Moja mama zmarła, jak miałam pięć lat, wspominałam o tym kiedyś. Ojca nigdy nie poznałam… — powiedziała, patrząc córce prosto w oczy. — Może gdybym była starsza, mama powiedziałaby mi, kto nim był? Może odnalazłabym go i miałabym choć jednego rodzica zamiast ciotek, których prawie nie obchodziłam? Teraz już powinnaś zrozumieć, dlaczego zawsze powtarzam wam, żebyście się zgadzali i szanowali. Ja byłam sama jak palec, a wy macie siebie,

a skoro macie siebie, to macie wszystko. Nic więcej wam nie trzeba.

— Mamo, Józek jest z innej planety. — dobitnie podkreśliła każde słowo. — Niby brat bliźniak, a nie mogę się z nim dogadać. Różnimy się nie tylko wyglądem. On jest jakiś inny.

— Czasem w rodzeństwie tak jest — odparła matka.

— Tak? A skąd możesz to wiedzieć? — spytała Basia i zaraz pożałowała swoich słów.

— Nie wiem — przyznała cicho Marcjanna. — Ale ci, którzy mają rodzeństwo, mówią, że tak właśnie jest. Jak dorośniecie, wszystko się między wami poukłada. Zobaczysz.

— Aż za bardzo — powiedziała Basia bardziej do siebie niż do matki.

— Nie bocz się, wracaj do czytania, po południu idziemy do Pioniera5 kupić jakiś ładny materiał na sukienki. — Marcjanna pocałowała córkę w czoło, poprawiła poplamiony masłem i mąką fartuch i wróciła do pracy przy świątecznych wypiekach.

Basia chciała jej powiedzieć, że nie potrzebuje żadnej nowej sukienki, a już na pewno nie kolorowej, bo wystarczą jej te dwie szarobure, które nosiła drugi rok, ale matka zniknęła w kuchni. Dziewczyna odłożyła książkę na stolik. I tak nie mogła skupić się na czytaniu, bo próbując porozmawiać z mamą na temat Józka i zasygnalizować rodzący się w rodzinie problem, przypomniała sobie niezręczną sytuację, której była świadkiem. A potem drugą. I kolejną. Kiedy złożyła je w całość, przeraziła się.

Mila miała wtedy dziesięć lat, a oni po trzynaście. W andrzejkowy wieczór rodzinę Woźniaków odwiedzili znajomi z pracy Macieja z dziećmi, by w towarzystwie miło spędzić ten specjalny czas. Dzieci przeniosły się do drugiego pokoju, by nie przeszkadzać rodzicom, zwłaszcza że na stole pojawił się alkohol. Koledzy Macieja przyszli w gości z nie byle jakim bimbrem, Marcjanna zaś wyciągnęła z barku wino truskawkowe i smakołyki przygotowane według przepisów swojego kuchennego guru, Lucyny Ćwierczakiewiczowej. Kiedy dorośli bawili się w najlepsze, panie zachwalały zimne dania i słodycze, a panowie raz po raz kosztowali bimbru, dzieci urządziły sobie wieczór wróżb.

Prym wiodły Wanda i Zośka, dwie rezolutne czternastolatki, ich młodsza siostra Stasia oraz Franek i Piotrek, rówieśnicy Józka i Basi. Mila była najmłodsza w tym gronie i najbardziej przeżywała wróżenie, bo uczestniczyła w takiej zabawie po raz pierwszy.

Wanda miała ze sobą cały arsenał rzeczy niezbędnych do wróżenia: różaniec, pierścionek z odpustu, monetę i karteczki z imionami. Różaniec, monetę i pierścionek ukryła pod filiżankami, które ukradkiem wyniosła z pokoju gościnnego Basia, i kazała rodzeństwu wylosować przyszłość. Wcześniej przemieściła parę razy filiżanki, aby losujący nie oszukiwali.

— Losuję pierwsza, bo jestem najstarsza — oznajmiła Basia i wyciągnęła spod środkowej filiżanki różaniec, na co całe towarzystwo wybuchnęło głośnym śmiechem, a ona sama prychnęła niezadowolona. Marzyła o pierścionku.

— Baśka zakonnicą? Prędzej ja biskupem zostanę, niż ty się dasz zamknąć w zakonie — zarechotał Franek. — Józek, teraz twoja kolej.

— Dziewczyny mają pierwszeństwo, niech Mila losuje — odparł chłopak.

Mila nie mogła się zdecydować i aż trzy razy robiła wyliczankę, ale wciąż nie wiedziała, którą filiżankę wybrać.

— Dawaj, smarkulo — niecierpliwiła się Zośka. — Wszyscy chcą sobie powróżyć. Cokolwiek wybierzesz, i tak będziesz mieć szczęście.

Mila jeszcze raz zrobiła wyliczankę i podniosła filiżankę z prawej strony. Leżał tam odpustowy pierścionek z czerwonym oczkiem. Klasnęła w dłonie.

Józkowi nie pozostał żaden wybór. Na niego czekała moneta.

— Nie wiem, jak wy, ale ja w żadne wróżby nie wierzę.

— Gdybym była na twoim miejscu, Józiu, cieszyłabym się z takiej wróżby. Oj, będą się

teraz kręcić koło ciebie dziewczyny, będą. — zaśmiała się Wanda, puszczając do niego oko. — A może i ja się zakręcę?

Józek nawet na nią nie popatrzył, za to Mila wyraźnie posmutniała. W tym czasie Piotrek wyciągnął pudełko karteczek z imionami, aby mogli wylosować imię przyszłego męża lub żony. Wanda zadbała o to, aby na kartkach znalazły się również ich imiona.

— Teraz ja losuję pierwsza, bo jestem najstarsza. — zamieszała dłonią papierki i wyciągnęła jeden, po czym z triumfem odczytała na głos: — Józek. I co teraz powiesz, to chyba przeznaczenie?

Basia odmówiła losowania, Mila wyciągnęła kartkę z imieniem Jerzy, Zośka — Edwarda, Piotrek — Halinę, Franek — ku uciesze reszty Barbarę, a Józek — Anielę. Potem przyszła kolej na stawianie butów. Tym razem but Basi jako pierwszy stanął przy progu. pochód podniszczonych trzewików zamykał but Józka, a za nim Mili. Józka przestały śmieszyć te wróżby. Usiadł zły na wersalce i zaczął czytać *Pana Wołodyjowskiego*. Reszta towarzystwa siedziała na podłodze i zajmowała się laniem wosku. Wanda, widząc, że inni się zniechęcają, zaproponowała nową zabawę.

— Ale z ciebie nudziarz, Józek — skrytykowała kolegę, który nie poświęcał jej tyle czasu, ile oczekiwała. — Ludzie, to andrzejki, a nie stypa. Gramy w butelkę!

Wszyscy z powrotem usiedli w kółku na podłodze. Wanda pierwsza zakręciła butelką i wylosowała siebie, wzbudzając rozbawienie wśród chłopaków. Basia musiała pocałować się z Piotrkiem, ale nie pocałowała go w usta, jak w regułach gry, bo wydawało jej się to ohydne, tylko w policzek.

— Kręć, dziecko. — Wanda rozkazała Mili. — Choć nie wiem, kto by chciał całować się z bachorem.

— Zostaw ją. — Józek szturchnął Wandę.

Mila miała łzy w oczach, ale wzięła butelkę do ręki i puściła ją w ruch z całej siły. Butelka zatrzymała się na wprost Józka, a twarz dziewczynki wyraźnie się rozpromieniła.

— Macie szczęście, chłopaki — skomentowała Wanda, puszczając oko do Franka i Piotrka.

Józek nachylił się w stronę młodszej siostry. Postanowił zrobić wszystko, by Wanda raz na zawsze odczepiła się od niego i Mili. Chciał pocałować siostrę w czoło, ale Mila podniosła głowę, zamknęła oczy i złożyła na jego ustach pocałunek, wywołując zdumienie wśród reszty towarzystwa.

— Obrzydliwe — żachnęła się Zośka.

— Zboczeńcy — skomentowała zupełnie zbita z tropu Wanda.

— To wy jesteście obrzydliwi. Tylko Józek jest normalny, tylko jego lubię. Żadnego z was bym nie pocałowała. — Mila rozpłakała się i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami, aż zadrżała w nich szyba.

Do niezręcznej sytuacji na andrzejkach nie wrócili już nigdy. Mila zapowiedziała rodzicom, żeby nie zapraszali więcej Wandy, Zośki, Piotrka, Franka i ich rodziców. Basia zaczęła od tej pory coraz baczniej obserwować brata i siostrę. Kiedy już wydawało jej się, że wyolbrzymia sprawę, w jej ręce przypadkiem wpadł zeszyt koleżanki, do którego wpisywała się Mila. Pomiędzy dwiema sklejonymi ze sobą kartkami Mila, podobnie jak inni, ukryła odpowiedzi na zadane przez właścicielkę pytania. Basia postanowiła do nich zajrzeć. Z trudem rozkleiła kartki, pozostawiając ślad, że ktoś w nich grzebał, i z wypiekami na twarzy zaczęła czytać. Pobieżnie rzuciła okiem na pierwsze odpowiedzi, by jak najszybciej dotrzeć do pytania numer osiem: „Chłopak, którego kochasz”. Mila napisała tylko pierwszą literę imienia, ozdabiając ją kolorowymi serduszkami i kwiatkami. Tuż po inicjale zamieściła dopisek: „On nigdy nie będzie

mój”.

Basia zamarła. Oczywiście, spodziewała się takiej odpowiedzi, ale gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że to wytwór jej wyobraźni. Szybko skleiła brzegi kartek, próbując nieudolnie zatrzeć ślady włamania.

Nie wiedziała, jak powiedzieć o tym mamie i czy w ogóle powinna to mówić, ale ciężar sekretu, który odkryła, mocno ją przytłaczał. Modliła się gorąco, aby to była nieprawda, jednak dochodziła do wniosku, że albo nie ma w sobie tyle wiary, albo że takimi rzeczami nie powinno się zawracać głowy Najświętszej Panience.

A może to wszystko jej się zdawało?

XXV. Teraz

Od co najmniej pół godziny siedziała w tajemniczym ogrodzie, jak nazwała oazę zieleni przy pensjonacie Leśne Zacisze, i nawijała kosmyk włosów na palec, by po chwili rozpleść powstałą sprężynkę, po czym powtarzała całą czynność od nowa. Nawet gdy zadzwonił telefon i przystawiła go do ucha, nie przerwała zabawy włosami.

Głos był przyjemny i brzmiał ciepło mimo swej naturalnej chropowatości. Dobrze znała Łukasza, albo tak jej się zdawało, i miała podstawy sądzić, iż poprzedniego wieczoru prawdopodobnie położył się późno, a już na pewno pił. Ilość poruszanych przez niego tematów i pośpiech świadczyły, że o czymś wyraźnie nie chce jej powiedzieć. Dlatego wcale nie słuchała go uważnie, bo z niespotykanym zaangażowaniem obserwowała spiralę, jaka tworzyła się z zawijanych kosmyków. Kiedy już się znudziła, wróciła myślami do rozmowy, ale nie wiedziała, w którym momencie się znajduje.

Monolog Łukasza trwał w najlepsze. Akurat kończył mówić o Walickim, jednak nie miała pojęcia, w jakim kontekście.

— Kochanie, czy ty w ogóle mnie słuchasz? — usłyszała.

— Uhm — skłamała. — Dlaczego pytasz?

— Wydaje mi się, że myślami jesteś gdzie indziej. Już dwa razy mówiłem ci o awansie i nawet nie zareagowałaś… — powiedział Łukasz.

— Chyba rzeczywiście przegapiłam, co mówiłeś. Przepraszam. Która drużyna awansowała? — udała zainteresowanie piłką nożną. Po drugiej stronie panowała cisza. — Łukasz, która drużyna przeszła dalej? Wiesz, że nazwy klubów niewiele mi mówią.

— To nie drużyna awansowała.

— To kto? — Marcelina się roześmiała. — Arbiter?

— Ja.

Ocknęła się.

— Przepraszam. Nie mam pojęcia, o czym mówiłeś — przyznała. — Zamyśliłam się.

— Marcelina! Przez ostatni tydzień nawet jednej wiadomości mi nie wysłałaś. O zadzwonieniu już nie wspomnę — wyrzucił z siebie. — Chyba jesteś bardzo zajęta. A teraz, gdy dzwonię, nawet nie słuchasz, o czym mówię. Zapomniałaś o mnie, od kiedy wyjechałaś do tej wioski?

— Nie, to nie tak. — zawahała się. — Po prostu mam tu dużo pracy, którą zresztą wykonuję za ciebie.

— Jestem ci za to bardzo wdzięczny, ale ogrom pracy nie świadczy o tym, że nie możesz do mnie zadzwonić. Jesteśmy przecież zaręczeni!

— Dobrze wiesz, jak to jest zatracić się w tej robocie. Powinieneś mnie zrozumieć, bo sam spędzałeś noce w pracy. Muszę wyjaśnić parę spraw rodzinnych, dlatego jestem taka rozkojarzona.

— Marcelina, do cholery! — Łukasza poniosły nerwy. — Wysyłanie wiadomości nie zajmuje pół dnia, a w tej dziurze, przepraszam, wiosce, raczej nie ma co robić.

— Wieś jak wieś. Nigdy tu nie byłeś, więc nie wiesz, o czym mówisz.

— Anita mi opowiadała, że…

— Zabawne. — roześmiała się, przerywając mu. — Podejrzewam, że Anitka i jej szpilki nigdy nie były na wsi. Co więcej, Anitka chyba nie ma dużego pojęcia, jak wygląda wieś.

— Źle ją oceniasz.

— A ty mnie dobrze? — spytała z wyrzutem. Wzięła dwa głębokie wdechy, żeby spowolnić tempo zbliżającej się kłótni. — Nie rozmawiajmy w ten sposób.

— Ty to zaczęłaś.

— Moim zdaniem ty.

— …

— Dobrze, wróćmy do początku. Mówiłeś, że awansowałeś. Co to dokładnie znaczy? — Próbowała zmienić tor rozmowy na rzeczowy, choć w tej chwili awans narzeczonego zupełnie jej nie obchodził.

— Anita próbowała się z tobą skontaktować, ale nie odbierałaś telefonu. Obydwa koncerny, nasz i hiszpański, podpisały kontrakt w sprawie nowego projektu — tłumaczył dość spokojnie i rzeczowo. — To ważny projekt dla obu stron.

— I twój awans się z nim wiąże?

— Będę go koordynował, co znaczy, że najbliższe pół roku spędzę w Hiszpanii — oznajmił zadowolony.

— Gratuluję — odparła sucho.

— Jak to dobrze, że się ucieszyłaś…

— Naprawdę ci gratuluję — powtórzyła Marcelina. — Wybacz, że się nie cieszę, bo to oznacza pół roku rozłąki — powiedziała i uświadomiła sobie, że i do awansu narzeczonego, i do rozłąki ma stosunek bardziej niż obojętny.

— Nie przesadzaj, samoloty latają tu regularnie — mówił Łukasz. — Anita wydzwaniała do ciebie cały dzień, bo Walicki chciał cię zabrać do Hiszpanii na podpisanie kontraktu … Wczoraj był bankiet.

— Nie wiem, po co miałabym być mu tam potrzebna — zauważyła Marcelina.

— Może pomyślał, że będziesz potrzebna narzeczonemu — powiedział gorzko, a po chwili dodał: — Nie mogli się z tobą skontaktować, a że sprawa była pilna, to poleciała z nim…

— Anitka — domyśliła się.

— Skąd wiesz? — spytał zmieszany.

— Anitka wszystko wie, na wszystkim się zna i świetnie wygląda. Któż inny mógłby reprezentować firmę na podpisaniu kontraktu?

— Dlaczego jesteś taka złośliwa w stosunku do niej? Jesteś zazdrosna?

— A mam powód?

— Marcelina. Ja cię pytam o twoje uprzedzenia do Anity, a ty doszukujesz się drugiego dna… Powiedz lepiej, jak ci idzie z książką?

— Nieźle. Lepiej niż się spodziewałam. Myślę, że wyjdzie z tego całkiem ciekawa rzecz.

— Wiesz, że Walicki zmienił trochę koncepcję?

— Na jaką? — Marcelina była trochę zdziwiona, bo dwa tygodnie temu pokazał jej konspekt książki z kluczowymi zagadnieniami, którego ściśle się trzymała, nadając całości nieco subtelniejszy charakter.

— Książka ma się sprzedać lepiej, niż na początku szacowali. Przybyłowicz chce na niej zarobić i liczą, że nieco podkolorujesz treść.

— Co takiego? Nie rozumiem…

— Masz wyciągnąć z niego to wszystko, czego nie chce powiedzieć. Wywiad ma być i sensacyjny, i ckliwy. Taki tabloidowy.

— Chyba żartujesz.

— Ja nie. To oni. Ale zgadzam się z nimi, bo jeśli książka ma się sprzedać, to musisz być bezwzględna w zadawaniu pytań i wyciąganiu odpowiedzi.

— Nie wiem, czy dobrze słyszę! — Marcelina była wściekła. — A może wrócisz do

Polski i sam przeprowadzisz ten wywiad, zamiast instruować mnie, co mam robić! Nie będę robić z siebie idiotki tylko po to, żeby książka się sprzedała. Nie ma mowy!

— Obawiam się, że nie masz wyjścia — stwierdził. — Poza tym nie będziesz podpisana jako autorka, więc nie masz się czym przejmować.

— Nie musisz mi tego przypominać! Jeszcze nigdy nie dałam się wkręcić w tak chory układ. Zdecydowałam się to zrobić tylko ze względu na ciebie, a teraz bardzo tego żałuję.

— Dlaczego aż tak się tym przejmujesz? Ten Jurewicz to nieciekawy typ. Napiszesz, wyjedziesz, zapomnisz.

— Żeby to było takie proste…

— Zrób tylko to, co musisz. Resztą zajmę się ja albo Walicki.

— Lepiej być nie może — prychnęła. — Ty nie masz czasu i na wszystko w tej książce się zgodzisz, a Walicki… Nie chciałabym, żeby ułożył choć jedno zdanie o mnie, a co dopiero powierzać mu całą publikację! Nie mogłabym spojrzeć w oczy ani sobie, ani Mateuszowi.

— Zbyt serio do tego podchodzisz. Wiesz, nigdy za tym Jurewiczem nie przepadałem. Co wyjdzie, to wyjdzie. Nie angażuj się tak. Zgódź się na wskazówki Walickiego, kończ sprawę i przyleć do Hiszpanii.

— Zastanowię się… — Marcelina ponownie zakręciła włosy na palec.

— Zastanawiasz się nad przylotem? — Łukasz był zaskoczony.

— Tak. Mam tu jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Być może będę musiała tu wrócić, gdy już będzie po wszystkim.

XXVI. Kiedyś

Pamiętam, jak twoja babcia powtarzała: małe dzieci — mały kłopot, duże dzieci — duży kłopot. Teraz jestem skłonna przyznać jej rację — mówiła Marcelina do Macieja, starannie tuszując rzęsy.

Szykowała się na bankiet w zakładzie męża, który prosperował coraz lepiej, zapewniając całej rodzinie życie na przyzwoitym poziomie. Maciej trafił tu w dobrym momencie. Rzeszowska fabryka produkująca silniki lotnicze zaczęła się dynamicznie rozwijać i uruchamiać nowe linie produkcyjne. Woźniak najpierw pracował przy produkcji silników turbinowych, a potem przy silnikach i motocyklach żużlowych, popularnie zwanych FIS-ami. Choć jego rola ograniczała się wtedy do pracy na odlewni, był szalenie dumny z tego, że miał swój udział w produkcji motocykli, na których pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku jeździła reprezentacja Polski w żużlu. Praca nie była ani ciężka fizycznie, ani wyczerpująca psychicznie, za to bardzo odpowiedzialna. Ponieważ Maciej był sumiennym i obowiązkowym pracownikiem, szybko zaskarbił sobie sympatię podwładnych i przełożonych. Gdy powstała prototypownia silników lotniczych, został jednym z pierwszych monterów, a kiedy firma nastawiła się na produkcję turbosprężarek do silników trakcji samochodowej i okrętowej, został przeniesiony na nowy wydział jako zaufany pracownik. Maciej nieraz żałował, że skończył tylko zawodówkę — do czego zresztą zmobilizowali go przełożeni — bo gdyby miał chociaż maturę, awansowałby wyżej. Marcjanna domyślała się, że ze względu na męża dzisiejszy wieczór spędzi w centrum zainteresowania, więc starannie przygotowywała się do bankietu. Choć była dobrą krawcową, specjalnie na tę okazję kupiła modną sukienkę w Telimenie i kilka kolorowych kosmetyków. — Oni w ogóle się ze sobą nie dogadują. Zauważyłeś, że Józek mało co gada z Basią, a Mili unika jak ognia?

— Chyba to wyolbrzymiasz, moja droga — stwierdził Maciej. Wpatrywał się w nią z zachwytem, bo rzadko wyglądała tak jak dziś. Swoje gęste blond włosy utapirowała i upięła w stylu Brigitte Bardot, a oczy podkreśliła mocno czarną kredką, tworząc efekt kociego oka. Jeszcze siedziała przed lustrem w szlafroku, a już wyglądała obłędnie. Domyślał się, że Marcjanna będzie przyciągać uwagę na tej imprezie. Czuł się dumny. Mimo upływu lat jego żona wyglądała jak gwiazda filmowa. Zganił się w myślach za to, że kilka lat temu zawróciła mu w głowie młoda żona kierownika i gdyby w porę się nie opamiętał, jego małżeństwo i kariera w zakładzie mogłyby zawisnąć na włosku. — Pięknie wyglądasz. Boję się, że będę cię musiał pilnować, bo moi koledzy nie dadzą ci spokoju.

— Nie zmieniaj tematu. I nie gap się na mnie, tylko lepiej przyjrzyj się dzieciom. — Marcjanna poprawiła szlafrok rozchodzący się na piersiach. — Są prawie dorośli, wkrótce skończą osiemnaście lat i mogliby już zacząć żyć trochę samodzielnie, ale widzę, że wcale nie są na to gotowi. Baśka zachowuje się jak mniszka…

— Sama ją tego nauczyłaś — przerwał jej Maciej.

— Ja? Ja tylko uczyłam ich dziękować Bogu za życie i za każdy wspólnie przeżyty dzień — powiedziała z wyrzutem. — Stąpaliśmy po cienkim lodzie, tylko modlitwa nam wtedy pozostała. Zresztą przydałaby się i teraz. — Odłożyła tusz do rzęs do szkatułki z kosmetykami. — Jeśli miałeś lepszy pomysł na to, jak mamy żyć, mogłeś się nim podzielić. Ale rzuciłeś się w wir pracy, a mi zostawiłeś na głowie dom i dzieci.

Maciej milczał.

— Co zrobimy, jeśli znowu nie wróci na noc?

— On jest prawie dorosłym mężczyzną — zauważył.

— Który jak większość chłopców w jego wieku zachowuje się jak dzieciak. Jeszcze chwila i zrobi jakieś głupstwo — wyrokowała Marcjanna.

— Uczymy się na błędach — stwierdził Maciej i ruchem głowy wskazał żonie zegarek. Dochodziła osiemnasta.

Za godzinę mieli być na bankiecie.

Z Józkiem od dłuższego czasu działo się coś dziwnego. Tak przynajmniej uważała Marcjanna. Maciej twierdził, że to zwykły bunt nastolatka, który i on przechodził w młodości. Ona jednak widziała w zachowaniu syna głębszy problem, tylko nie potrafiła wskazać jego źródła. Początkowo podejrzewała, że niewłaściwie ulokował w kimś uczucia albo zauroczył się jedną z otaczających go koleżanek, ale wkrótce rozwiała te przypuszczenia.

Zaczęło się od tego, że coraz później wracał do domu. Włóczył się gdzieś po szkole i z mniejszą gorliwością niż do tej pory odrabiał lekcje. A zapowiadał się tak dobrze! Uczył się dobrze ze wszystkich przedmiotów, był uprzejmy i pracowity, nie stwarzał żadnych problemów wychowawczych. Tymczasem od kilku tygodni otrzymywała ze szkoły sygnały o nieusprawiedliwionych nieobecnościach i nieodrobionych lekcjach, co nigdy wcześniej się nie zdarzało. W domu coraz bardziej zaznaczał swoje zdanie, znacznie różniące się od przekonań reszty rodziny. Kilka razy odpowiedział jej opryskliwie, używając słów, które głęboko ją raniły. Zdania typu „Co ty możesz o mnie wiedzieć?” czy „Nigdy mnie nie zrozumiesz” powtarzały się coraz częściej. A przecież to jemu od zawsze poświęcała najwięcej matczynej atencji, co nie uszło uwagi dwóch córek.

Kiedy po raz pierwszy nie wrócił na noc, nie spała aż do rana. Owszem, zapowiadał, że jeśli pogoda będzie paskudna, to nie wróci do domu, tylko zostanie na noc u Adama, kolegi, który świętował osiemnaste urodziny, ale podejrzewała, że będzie wolał wrócić. Wyczuła od niego alkohol i dym tytoniowy.

— Adam palił, ja nie — odburknął. — A nawet gdyby, to mi wolno. Mam prawie osiemnaście lat i mogę robić, co chcę.

— Za dwa miesiące będziesz pełnoletni — spokojnie zauważyła Marcjanna. — Poza tym nie na tym polega dorosłość.

— Wiedziałem, że mnie nie zrozumiesz. Nigdy nie rozumiałaś! — krzyczał ze łzami w oczach. — Oni — wskazał dłonią na drzwi do sypialni reszty domowników — też.

— Nie krzycz tak, dziewczyny śpią jeszcze, pobudzisz je. — Próbowała uspokoić Józefa. Podeszła bliżej, by go przytulić, ale wyrwał się z jej objęć jak oparzony.

— Zostaw mnie, nie dotykaj!

Marcjanna z bólem serca obserwowała jego nagłe napady złości. Józek przy tym płakał jak małe dziecko i wyrzucał z siebie pretensje do całego świata.

— Nie pasuję do was, nigdy nie pasowałem. Czemu jestem inny niż wy?

— Józiu, o tym już rozmawialiśmy. Bliźniaki nie zawsze są podobne do siebie. Lekarz już to tłumaczył. Cechy i wygląd dziedziczymy po dziadkach, nie po rodzicach — tłumaczyła łagodnie. — Nie obwiniaj nas o coś, na co nie mamy wpływu.

— Gówno prawda! — krzyknął i natychmiast pożałował tych słów. Trzasnął drzwiami od kuchni i położył się spać.

Następnego dnia przeprosił matkę za zachowanie i picie alkoholu. Od tego dnia Marcjanna z coraz większym niepokojem obserwowała, jak Józek dystansuje się od reszty rodziny. Czuł się między nimi obco.

— Przejdzie mu, zobaczysz — pocieszał ją Maciej.

Bankiet był wspaniały. Na suto zastawionych stołach królowały przekąski, ciasta, spośród

których najszybciej znikał sernik z rodzynkami, oraz wiejskie wędliny i umiejętnie przyrządzone mięso. Dobrej jakości alkohol lał się strumieniami, a do tańca przygrywała najlepsza orkiestra w mieście. Zakład miał co świętować. Od kiedy w 1966 roku rozpoczęto tu produkcję silnika turbinowego do śmigłowca Mi-2, pracownicy mieli pełne ręce roboty. Bankiet miał być dla nich nagrodą.

Panie urządziły prawdziwą rewię mody, prezentując ultrakrótkie szykowne sukienki. Co odważniejsze postawiły na przyciągające spojrzenia kolorowe geometryczne wzory, ale tego wieczoru na parkiecie zdecydowanie królowała klasyczna czerń i czółenka na słupku. Marcjanna również postawiła na ten kolor, wybrała jednak najdłuższą z dostępnych w Telimenie minisukienek. Sprzedawczyni coś mruczała pod nosem o prowincji, ale Marcjanna rzeczywiście nie czuła się pewnie w swojej skórze, mimo że po urodzeniu Mili znacząco schudła i już nigdy nie wróciła do obfitych kształtów sprzed ciąż. Miała jeszcze inne kompleksy, które nie pozwalały jej czuć się swobodnie w towarzystwie. Była niewykształcona. Nie miała rodziców, którzy zadbaliby o jej edukację, więc ukończyła tylko szkołę podstawową. Teraz się tego wstydziła. Na bankiecie unikała dłuższych rozmów ze strachu przed ewentualnymi drwinami ze strony innych kobiet, ale wbrew wcześniejszym obawom bawiła się całkiem dobrze. Nie spuszczała oka z Macieja, który wlewał w siebie kieliszek za kieliszkiem, bo nie wypadało mu odmawiać przełożonym. Sama nie wypiła ani kropli.

Bankiet skończył się o trzeciej nad ranem. Wracali do domu pieszo. Kiedy byli już blisko kamienicy, zauważyła, że w ich mieszkaniu jeszcze pali się światło. Ścisnęło ją serce, ale postanowiła nie dzielić się obawą z mężem. Może faktycznie wyolbrzymiała?

XXVII. Teraz

Kiedy pielęgniarka zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi, wcześniej uprzedzając swój zamiar mocnym pukaniem, Marcelina zobaczyła wózek inwalidzki, na którym siedziała starsza kobieta twarzą i ciałem zwrócona do okna. Była zajęta czytaniem gazety i nawet nie zareagowała na ich wejście. Rzadkie siwe włosy, gdzieniegdzie poprzetykane żółtawym odcieniem, zebrane były w cienki kucyk. Jej ramiona okrywała lekka chusta w kratę.

Pokój był mały, ale jasny i przytulny. Pod ścianą stało nowoczesne elektryczne łóżko rehabilitacyjne z wysięgnikiem, sterowane pilotem. Nakrywała je misternie zdobiona narzuta. Na łóżku leżały dwa jaśki i zagłówek o tym samym wzorze. Ten sam deseń zdobił serwetę na stoliku nocnym. W połączeniu ze śnieżną bielą ścian i drewnianymi elementami dekoracyjnymi hafty tworzyły ciekawy kontrast, nadając pomieszczeniu swojskości. Mimo że okno było uchylone, w pokoju unosił się ciężki zapach leków, maści i środków czystości, charakterystyczny dla szpitali, zakładów opieki leczniczej czy domów spokojnej starości. Marcelina znała ten zapach bardzo dobrze z licznych wizyt w takich obiektach podczas pisania reportażu na ten temat.

— Dzień dobry! — Pielęgniarka zwróciła się do starszej kobiety o dwa tony głośniej. — Ma pani gości!

Kobieta ani drgnęła. Nadal pochylała się nad gazetą.

— Pani kochana — pielęgniarka podeszła bliżej okna — goście do pani przyszli. Koniec czytania! — zawołała, po czym odwróciła się w stronę Marceliny i Mateusza, by wytłumaczyć starszą panią. — Nasza droga pensjonariuszka przeczytała chyba wszystkie gazety i czasopisma, jakie tylko można u nas kupić. Od prawicowych po lewicowe. Od poradników dla przyszłych mam po poradniki dla wędkarzy. Telewizji nie lubi oglądać, za to na czytaniu spędza całe dnie. Dobrze, że Bóg obdarzył ją takim wzrokiem, to może czytać. A kiedy nie czyta, to haftuje, co zresztą państwo widzicie. — wskazała ręką na narzutę, poduszki i serwetę. — W hafcie rzeszowskim jest mistrzynią. Nie ma sobie równych, prawda?

Marcelina przytaknęła, choć po raz pierwszy widziała haft rzeszowski, i dalej z rozbawieniem przysłuchiwała się rozgadanej pielęgniarce, która opowiedziałaby im zapewne więcej, gdyby tylko miała czas. Zastanawiała się, czy seniorka słyszy trajkot pielęgniarki, ale ta szybko wytłumaczyła jej, że starsza pani wprawdzie wzrok ma dobry, ale słuch znacznie się pogorszył w ciągu ostatnich miesięcy.

— Czy będę mogła z nią porozmawiać na osobności? — zapytała. Zgodę na odwiedziny uzyskali już wcześniej, teraz pozostało się upewnić, że można zostać z pensjonariuszką przez chwilę sam na sam.

— Jeśli tylko wam się uda. — Pielęgniarka popatrzyła na nich podejrzliwie. Domyśliła się, że nikt ich nie uprzedził. — Ona… — Skinęła w stronę wózka i znacznie ściszyła głos. — Ona z nikim nie rozmawia. Nigdy.

— To jak się dogadujecie? — zapytała Marcelina.

— Są inne sposoby: pisanie na kartce, gesty, mimika. Mamy do dyspozycji cały arsenał. Też wam radzę tego spróbować — wyjaśniła pielęgniarka. — A teraz, jeśli chcecie, zostawię was samych. Gdyby coś się działo, proszę nacisnąć ten przycisk — wskazała na guzik znajdujący się przy wózku inwalidzkim — lub ten przy łóżku.

Pielęgniarka podeszła do czytającej kobiety, odblokowała wózek inwalidzki, wyjęła jej z ręki gazetę i odwróciła wózek w stronę gości.

— Pani kochana, ma pani gości. Robimy przerwę.

Seniorka ostrożnie zdjęła okulary i rozmasowała oczy. Powoli podniosła głowę. Widać było, że ruch ten sprawia jej dyskomfort. Twarz miała pomarszczoną, pokrytą brązowymi plamkami, usta ledwie widoczne. Dłoń, w której trzymała okulary, drżała.

Mateusza rozpoznała od razu. Miły, uśmiechnięty mężczyzna, który kupił jej rozwalającą się chałupę. Tak bardzo chciała mu powiedzieć, gdyby tylko mogła, że ten dom nie nadaje się do mieszkania. Że nie warto go kupować, bo dach cieknie, w komorze wilgoć, okna nieszczelne, a wokół żywej duszy, nie licząc dzikiej leśnej zwierzyny i zbłąkanych psów. Zastanawiało ją, czego taki przystojny, wysportowany człowiek szuka na tym odludziu, z którego ona nie odważyła się uciec i dopiero gdy zdrowie już nie pozwoliło, dała się przekonać do przenosin w miejsce, w którym miała spędzić ostatnie dni swojego długiego życia. Ilekroć go widywała, pachniał młodością i przygodą i przywodził na myśl dawne czasy, a raczej momenty, gdy nie dłużej niż przez chwilę była naprawdę szczęśliwa. Dopiero gdy kilka tygodni temu przeczytała w kolorowym magazynie długi artykuł o znanym sportowcu, który będąc u szczytu kariery, po śmierci przyjaciela rzucił wszystko i wyjechał w Bieszczady, opatrzony zdjęciem Mateusza, zrozumiała jego decyzję. Żeby znaleźć go tam, gdzie teraz mieszkał, trzeba się było natrudzić.

— Dzień dobry — przywitał się.

Uśmiechnęła się niewyraźnie i podała mu rękę, po czym przeniosła spojrzenie na towarzyszącą mu osobę. Szczupłą młodą kobietę o włosach w odcieniu pszenicy i jasnych, niebieskich oczach. Miała na sobie luźne postrzępione dżinsy i obszerną karmelową bluzę. Twarz tej filigranowej dziewczyny wydała jej się dziwnie znajoma. Próbowała grzebać w zakamarkach pamięci i szukać twarzy, która by pasowała do oblicza stojącej przed nią kobiety, ale sięgając wstecz, widziała tylko migawki z okrutnych czasów drugiej wojny światowej i drobne ciałka nowo narodzonych dzieci. Pomiędzy nimi nie było nic, z czym mogłaby skojarzyć twarz, która teraz przyglądała jej się z serdecznością i uśmiechała. Seniorka próbowała uchwycić jej spojrzenie, ale zdrętwiały kark i zwiotczałe mięśnie nie podtrzymywały dobrze głowy. Ponowne jej podniesienie kosztowało sporo wysiłku, lecz ciekawość zwyciężyła. Przyjrzała się dziewczynie uważniej. Twarz blondynki, a zwłaszcza nos, pokrywały drobne piegi. Gdy się uśmiechała, w prawym policzku tworzyło się niewielkie zagłębienie. Tak, teraz już wiedziała to na pewno. Widziała już tę twarz w przeszłości. Wiele razy.

— Dzień dobry — przywitała się ciepło dziewczyna. Jej głos był miękki i dźwięczny. — Nazywam się Marcelina Midowicz. Jestem dziennikarką. — znowu się uśmiechnęła, eksponując zagłębienie w policzku. — Jestem tutaj od tygodnia. Piszę książkę o Mateuszu i… i chciałam panią poznać. Czy mogłabym z panią porozmawiać?

Pensjonariuszka skinęła głową, dając dłonią znak, żeby usiedli. Mateusz szepnął coś dziewczynie na ucho, po czym pożegnał się i wyszedł z pokoju.

Marcelina usiadła przy stoliku z haftowaną serwetą. Choć zadała w życiu setki pytań, teraz nie wiedziała, jak zacząć. Żałowała, że nie miała czasu, by lepiej się przygotować do tej rozmowy. Mateusz dał jej znać z samego rana, że dziś będzie możliwa wizyta w domu spokojnej starości. Nie zdążyła zadzwonić do matki, by dowiedzieć się czegoś więcej o dziadkach, bo po wczorajszym wieczorze spędzonym w domu Mateusza była totalnie rozkojarzona. Wciąż czuła na szyi jego ciepły oddech i bliskość, która ją krępowała. Wieczorem siedzieli na sofie i popijali herbatę, oglądając zdjęcia z jego wypraw i zawodów, gdy przez jeden nieuważny gest omal nie wylała zawartości kubka na lśniący nowością laptop Mateusza. Zareagował szybko, zapobiegając rozlaniu się herbaty, a że oboje pochylili się niemal w tym samym czasie, usta Mateusza i jego ciepły oddech znalazły się tuż nad karkiem Marceliny. Roześmiała się, żeby ukryć zawstydzenie, a on dopowiedział coś, co rozładowało napięcie, jakie między nimi powstało.

Staruszce drżały dłonie. Zaplotła je ciasno na drewnianym różańcu leżącym na kolanach

i bezskutecznie próbowała opanować drżenie. Potem poprawiła chustę na wątłych ramionach i odsunęła pojedyncze pasma siwych włosów, które przykleiły się do czoła. W ustach poczuła nieznośną suchość, jaka towarzyszyła jej zawsze, gdy chciała uruchomić więzadła głosowe, a te odmawiały posłuszeństwa. Sięgnęła po kubek. Złapała za ucho, ale nie była w stanie podnieść go ze stolika i przystawić do ust. Marcelina zorientowała się w niedyspozycji starszej pani i szybko podała jej herbatę.

— Przecież pomogę pani, nie trzeba się tak męczyć. — uśmiechnęła się tak znajomo, że kobieta się wzdrygnęła. Owszem, miewała zaniki pamięci. W chwili większej słabości myliła dni, miesiące, lata, imiona, pojęcia, ale i tak miała o niebo lepszą pamięć niż osoby w jej wieku. Głos dziewczyny, jego barwa, ton, uśmiech, a nawet gesty coś jej przypominały.

Piła herbatę małymi łykami, obawiając się zakrztuszenia. Od lat miała z tym problemy. Coraz częściej połykaniu towarzyszyło zadławienie, miewała odruchy wymiotne, suchy kaszel, co, jak usłyszała od lekarki, mogło doprowadzić do zachłystowego zapalenia płuc. Sama nazwa tej choroby przerażała ją, bo już raz doprowadziła ją niemal pod same bramy świętego Piotra. Piła mało, jadła jeszcze mniej, aż pewnego dnia w wózku inwalidzkim zrobiło się więcej miejsca. Z każdym rokiem kurczyła się coraz bardziej.

Dziś piła wolniej niż zwykle, młoda kobieta bowiem wpatrywała się w nią dość natarczywie, co było krępujące. Kiedy zamoczyła język, a miętowa herbata delikatnie zwilżyła struny głosowe, oddała blondynce kubek.

— Czy ja pani kogoś przypominam? — zaczęła nieśmiało. To pytanie chodziło jej po głowie od chwili, gdy zobaczyła głębokie, świdrujące spojrzenie pensjonariuszki.

XXVIII. Kiedyś

Pomogła chwiejącemu się Maciejowi wejść po schodach, a kiedy znaleźli się pod mieszkaniem, ostrożnie przekręciła klucz. Odprowadziła męża do sypialni i ułożyła na łóżku, po czym weszła do kuchni, gdzie Józek siedział przy stole z głową ukrytą w dłoniach. Znów wyczuła od niego alkohol.

— Dobrze się bawiliście? — zapytał chłodno, nie podnosząc głowy.

— Całkiem dobrze. — Marcjanna się uśmiechnęła, choć czuła, że lada moment zacznie się zbierać na burzę. — Miło, że pytasz.

— On aż za dobrze. — Skinął głową w stronę pokoju, gdzie spał ojciec.

— Widzę, że i ty nie zmarnowałeś okazji — zauważyła. — To jest twój ojciec, a nie jakiś on.

— Ojciec? — Józek nagle się rozpłakał. — To nie jest mój ojciec!

— Józiu, gadasz od rzeczy. Idź spać. — Marcjanna starała się opanować. — I nie mów tak więcej o swoim ojcu.

— To nie jest mój ojciec, rozumiesz? — Józek uderzył dłonią w stół. Uderzenie było bolesne, więc wywołało w nim jeszcze większe rozżalenie. — Nie jestem do niego podobny. Koledzy się ze mnie śmieją, że z wujkiem mieszkam…

Marcjanna znieruchomiała. Więc o to chodziło. Zaczęła na szybko porządkować ostatnie wydarzenia i zachowanie syna w tym czasie i zrozumiała, co boli Józka.

— To jest twój ojciec — podkreśliła każde słowo. — Ten sam, który uratował wam życie, gdy mieliście z Basią półtora roku. Gdyby nie on… — zawahała się. — Gdyby nie on, nie wiem, co by się stało.

— Nie kłam! — krzyczał Józek, ocierając łzy. — Powiedz mi, kto jest moim ojcem. Chcę go znaleźć!

— Ja jestem twoją matką, a tam śpi twój ojciec. A tam — wskazała dłonią pokój dziewczyn — śpią twoje siostry. Bądź tak uprzejmy i nie krzycz w środku nocy, bo sąsiedzi zadzwonią po milicję. Józek, daj się im wyspać… Piłeś… — powiedziała z wyrzutem.

— I co z tego?!

Marcjanna usiadła bliżej niego i delikatnym ruchem odgarnęła niesforny kosmyk włosów, który opadał mu na czoło. Włosy miał gęste i lśniące. Ponieważ się nie opierał, pogłaskała go tak, jak robiła to lata temu, gdy jako małe dziecko nie mógł zasnąć.

— Józiu, nie pleć głupstw. Oboje z ojcem kochamy cię najbardziej na świecie i oddalibyśmy za ciebie życie, gdyby było trzeba, więc nie wymyślaj więcej takich rzeczy. — Starała się mówić racjonalnie, ale jej serce rozpadało się na milion kawałków. — Jesteśmy ci najbliżsi na świecie.

— Może ty, on na pewno nie! — Józek łkał dalej. — Nigdy się mną nie interesował.

— Ojciec od lat ciężko pracuje na nasze utrzymanie. Nie można go za to krytykować. On kiedyś uratował ci życie!

— Niepotrzebnie! Może lepiej by było dla wszystkich, gdyby tego nie zrobił!

Marcjannie puściły nerwy. Czarny tusz, którym kilka godzin temu starannie tuszowała rzęsy, spływał po policzkach. Nie mogła powstrzymać łez, same napływały jej do oczu pod wpływem niesprawiedliwych słów syna.

— Każdego dnia dziękuję Bogu za to, że wtedy nie doszło do tragedii. To cud, że wszyscy żyjemy. i zawdzięczamy to twojemu ojcu.

— To nie jest mój ojciec. On rudy, ty blondynka, a ja ciemny. I będziesz mi wmawiać, że jest inaczej? Komu innemu to powiedz, ale nie mnie, bo i tak ci nie uwierzę! — Józek otarł mokre policzki. Marcjannie zdawało się, że burza, która się rozszalała w jego głowie i uczuciach, powoli się wycisza.

— Wygląd o niczym nie świadczy. Liczą się więzi i to, co mamy tutaj. — Położyła dłoń na sercu.

— W takim razie przysięgnij mi, że to na pewno mój ojciec — zażądał Józek lodowatym tonem. Patrzył na matkę wściekłym wzrokiem. — Przysięgnij! Teraz! Powiedz prawdę.

— Przysięgać mogę tylko Bogu. Tobie musi wystarczyć moje słowo — powiedziała zimno, a w oczach syna zobaczyła pogardę.

Józek wstał i podszedł do zlewu. Odkręcił kurek i zmoczył twarz w lodowatej wodzie. Potem nie mniej lodowatym tonem oświadczył, nie patrząc na matkę:

— Po maturze będę zdawał na anglistykę do Krakowa. Na Uniwersytet Jagielloński. A potem chcę wyjechać z Polski.

Marcjanna pobladła. Próbowała się uśmiechnąć i przybrać serdeczny wyraz twarzy, choć serce kruszyło się w drobny mak niczym rozbita szyba.

— Cieszę się, że jesteś taki ambitny — powiedziała, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały. — Zawsze będę cię wspierać, kimkolwiek zechcesz zostać. Nawet jeśli nas zostawisz i wyjedziesz albo znienawidzisz do końca życia, my zawsze będziemy po twojej stronie. Zawsze będziemy cię kochać. Nic i nikt tego nie zmieni. Poczekaj chwilę.

Zostawiła go zdezorientowanego przy zlewie i wyszła do przedpokoju. Przystawiła krzesło do szafy. Następnie stanęła na nim i sięgnęła po tekturowe pudełko po butach leżące na najwyższej półce. Wyjęła z niego mały pakunek zawinięty w gazetę. Rozwinęła ją. W dłoni trzymała lniany woreczek. Ten sam, który przed laty wyjęła z maselnicy w komorze Estery i Kalmana Salzmanów. Podeszła do syna i położyła mu woreczek na dłoni.

— Nigdy się z tym nie rozstawaj. Zawsze miej go przy sobie. To twój amulet — mówiła łamiącym się głosem. — Wiem, że przyniesie ci w życiu szczęście.

Józek zaglądnął do środka, ale nie wyjął zawartości. Widział jednak, że w woreczku znajduje się kosztowna rzecz. Zbyt kosztowna jak na prezent bez żadnej okazji. Taka, na którą jego rodziny nie byłoby stać. Choć był wściekły na matkę, to zrobiło mu się głupio.

— Co to jest? — spytał, udając niezainteresowanego.

— Chciałabym, żebyś to zawsze miał przy sobie.

— Skąd to masz? Wiem, że nie stać nas na takie rzeczy, nie z pensji ojca. — ostatnie słowa wyraźnie podkreślił, nawiązując do wcześniejszej rozmowy.

— To należało kiedyś do twoich przodków — odpowiedziała zgodnie z prawdą. — Obiecałam sobie, że podaruję to najstarszemu dziecku w dniu jego osiemnastych urodzin.

— Do osiemnastki jeszcze dwa miesiące — zauważył. — A Baśka?

— Jesteś starszy od Basi. — uśmiechnęła się. — Niewiele, ale starszy.

— Dlaczego mi to dajesz teraz?

— Uważam, że teraz jest najlepszy moment.

— Jeśli chcesz mnie przekupić, to ci się nie uda. Naprawdę chcę studiować w Krakowie i nic tego nie zmieni.

— Wiem — przyznała gorzko. — Jesteś tak samo uparty jak… Jak twój ojciec.

— Poznam go kiedyś? — zapytał spokojnie. — Powiesz mi, kto naprawdę jest moim ojcem? Czy chcesz, żebym zadręczał się całe życie?

Marcjanna ukryła twarz w dłoniach. Brakowało jej sił na dalsze tłumaczenie, a zmęczenie po bankiecie dawało o sobie znać. Pijany Maciej chrapał w pokoju obok, a ona musiała stawiać

czoło buntującemu się nastolatkowi. Brakowało jej argumentów.

— Dobrze wiem, co to znaczy: nie mieć ojca ani matki — tłumaczyła. — Nigdy nie miałam prawdziwej rodziny, dlatego nie rozumiem, dlaczego starasz się zniszczyć to, co już masz, Józiu. — Złapała go za dłoń. — Wybacz nam, jeśli nie zdaliśmy dobrze egzaminu z rodzicielstwa, ale nie zadawaj nam tyle bólu. To niesprawiedliwe. Chodźmy spać.

Józek położył się na wersalce. Marcjanna usiadła na skraju łóżka i zaczęła go głaskać. Zasnął w parę chwil. Patrząc na niego — pięknego, wysokiego młodego mężczyznę, który samodzielnie chciał decydować o swoim losie — uświadomiła sobie, jak szybko upłynęło te kilkanaście lat od czasu, gdy w pamiętny majowy wieczór, który na zawsze zmienił jej życie, pierwszy raz przystawiła syna do piersi. Osiemnaście lat, a zdawałoby się jakby wczoraj.

XXIX. Teraz

Starsza pani nieznacznie skinęła głową, co Marcelina odczytała jako odpowiedź twierdzącą. Ten drobny gest zachęcił ją do podjęcia rozmowy.

— Ja wiem, że pani nie mówi. Mateusz i pielęgniarki uprzedzili mnie, że trudno nam będzie się komunikować, ale chciałam spróbować. — Postanowiła być bezpośrednia i szczera od samego początku. — Chciałam się z panią spotkać w osobistej sprawie. Mieszkam w Warszawie. Tydzień temu przyjechałam tu służbowo, żeby napisać książkę, a przez zbieg okoliczności dowiedziałam się, że moi dziadkowie stąd pochodzili, jednak wyjechali w niejasnych okolicznościach i nie chcieli tu wracać… Dziadkowie nigdy mi o tym nie powiedzieli. Rodzice też… — zawiesiła głos. Po twarzy starszej pani przebiegł lekki grymas. — Szukam śladów po mojej rodzinie i pomyślałam, że skoro jest pani najstarszą mieszkanką tej wsi, to może znała moich dziadków? Może mogłaby pani mi pomóc?

Pensjonariuszka głośno przełknęła ślinę. Ponownie kiwnęła głową. Marcelina pożałowała, że nie miała przy sobie zdjęć dziadków. Leżały w albumie w jej warszawskim mieszkaniu.

— Moja babcia Marysia zmarła kilkanaście lat temu — kontynuowała, patrząc w lśniące czystością szyby w oknie. — Przed śmiercią wspominała mi o jakiejś rodzinnej tajemnicy, o cierpieniu, ale nie rozumiałam, o co jej chodzi. Zawsze wyglądała na zmartwioną, jakby ją coś trapiło. Chyba nigdy nie była szczęśliwa. Miała mi wszystko wyjaśnić, ale nie zdążyła. Zmarła na zapalenie płuc, kiedy miałam zdawać maturę. Babcia tak naprawdę nie miała na imię Marysia, tylko Marcjanna, ale jako dziecko nie potrafiłam wymówić tego imienia, więc w rodzinie utarło się, że to babcia Marysia. W rzeczywistości nazywała się Marcjanna Woźniak. Szkoda, że nie mam przy sobie jej zdjęcia z młodości, może przypomniałaby sobie pani. Może… — urwała w pół zdania, gdy dostrzegła gwałtowną zmianę na twarzy staruszki.

Z lewego oka wypłynęła łza, za nią następna i kolejne. W kilka sekund twarz kobiety okryła chorobliwa bladość, a łzy spływały sznurkiem po zapadniętych policzkach.

Zdezorientowana Marcelina na próżno szukała w swojej torebce chusteczek. Zerwała się, by podać staruszce papierowy ręcznik leżący na łóżku, ale zrobiła to tak niefortunnie, że strąciła tabliczkę z nazwiskiem pensjonariuszki, pomiarami ciśnienia i innymi wynikami. Biała kartka z napisem „Bronisława Krowiak” wypadła z obwoluty wprost pod jej nogi. Powiesiła ją z powrotem na łóżku, przepraszając za niezdarność.

Kiedy odwróciła się w stronę seniorki, dostrzegła jej bladość i nagłe drżenie całego ciała. Zrobiło jej się cholernie głupio. Zganiła się w myślach za niepotrzebne wywołanie tylu emocji u starszej kobiety. Czego oczekiwała? Że milcząca od wielu lat kobieta nagle jak gdyby nigdy nic zacznie z nią rozmawiać? Z zupełnie obcą osobą? Że będzie cokolwiek pamiętać?

— Przepraszam, jeśli panią czymś uraziłam — powiedziała, patrząc ze współczuciem na płaczącą kobietę, która skuliła się w sobie. — Bardzo mi przykro. Niech mi pani wybaczy, nie powinnam pani nachodzić. Zawołam pielęgniarkę.

Wstała i skierowała się w stronę drzwi. Zrezygnowana nacisnęła klamkę, gdy usłyszała cichy pomruk, a potem chrząknięcie i dławiący kaszel.

— Po… poczekaj… — doleciał ją słaby, ledwie słyszalny, nienaturalnie chropowaty głos, podobny do głosu czarownic z kreskówek. Pensjonariuszka rozkaszlała się, zanim powiedziała kolejne słowa. — Znałam ją… Znałam.

Marcelina puściła klamkę i wstrzymała oddech. Odwróciła się, żeby się upewnić, czy ten głos rzeczywiście dobiega od seniorki, czy też wszystko jej się zdawało. Pani Bronisława ruchem

dłoni przywołała ją do siebie i wskazała na krzesło.

— Powiem ci prawdę — wyszeptała. — Teraz, kiedy wiem, że Marcjanna już na tamtym świecie, mogę mówić prawdę.

Kiedy po blisko trzech godzinach Marcelina opuszczała dom seniora, była w totalnej rozsypce. Opowieść starszej pani, zaczynająca się od nocy, w której Marcjanna powiła córkę, a jej sąsiadka Estera syna, snuła z wielkim trudem i precyzją, spowodowała, że spojrzała na historię swojej rodziny z innej perspektywy. W jej uszach wciąż brzmiało ostatnie zdanie seniorki:

— On żyje — powiedziała, po czym Marcelina, widząc skrajne wyczerpanie pani Bronisławy, wezwała na pomoc pielęgniarkę, a ta zaraz pobiegła po dyżurującego lekarza. Kiedy w sali zaczęło się robić nerwowo, Marcelina przykucnęła przy wózku, złapała staruszkę za dłoń i ucałowała ją.

— Dziękuję pani za wszystko — wyszeptała, trzymając chłodną, wiotką niczym papier rękę seniorki. Pragnęła, by pani Bronisława dokończyła tę opowieść, ale nie śmiała prosić, widząc, w jakim jest stanie.

— Przyjdź jutro — poprosiła.

— Przyjdę.

Kiedy następnego dnia stawiła się przy recepcji, by uzyskać zgodę na spotkanie z Bronisławą Krowiak, już mina pielęgniarki, która wczoraj wprowadziła ją do pokoju seniorki, oznaczała, że coś się stało.

— Pani Bronia odeszła wczoraj w nocy. Jej serce zatrzymało się we śnie — powiedziała pielęgniarka. — Przykro mi.

— Co się stało? Dlaczego? Jeszcze wczoraj czuła się całkiem dobrze… — Marcelina nie mogła się pogodzić z tą wiadomością. Oczy zwilgotniały jej w kilka sekund. — Czy… czy coś mówiła?

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

— Kiedy przed snem podałam jej leki, po raz pierwszy odezwała się do mnie. Po raz pierwszy, od kiedy tu zamieszkała. Nie mogłam w to uwierzyć. Byłam w takim szoku, że nie wiedziałam, jak zareagować.

— Co mówiła?

— Powiedziała mi, że po ponad siedemdziesięciu latach znów jest szczęśliwa. Że ostatnio była taka szczęśliwa, jak miała dwadzieścia lat — relacjonowała pielęgniarka. — Nigdy jej takiej nie widziałam. Mówiła jeszcze, że uwolniła się od jakiejś obietnicy, którą złożyła, będąc młodą dziewczyną, i pozbyła się sekretu, który ciążył jej od lat.

— Jak wyglądały jej ostatnie chwile? — Marcelina chciała się dowiedzieć jak najwięcej, by móc poskładać niepasujące do siebie puzzle w całość.

— Jak zwykle czytała. Ona zawsze lubiła czytać, ale ostatnimi czasy najbardziej interesowały ją informacje ze świata filmu. Ba, i to nie filmu polskiego, tylko światowego. Prenumerowała mnóstwo czasopism. Śmiałyśmy się z koleżankami, że ma bzika na tym punkcie — tłumaczyła. — Zresztą ludzie w tym wieku mają różne dziwactwa, a to jej było takie nieszkodliwe. Ciągle czytała o amerykańskich filmach i wszystko o nich wiedziała, o aktorach, o reżyserach, o romansach, o nagrodach… O wszystkim. W jej szafce pełno tych gazet. Czasem, jak była w lepszej formie, to coś tam kreśliła, coś zaznaczała. Chyba miała swoich ulubionych reżyserów i aktorów.

— Mogłabym na nie rzucić okiem? — zapytała nieśmiało Marcelina.

Pielęgniarka zastanawiała się chwilę.

— W sumie i tak oddalibyśmy je na makulaturę. Pani Bronia nie miała nikogo bliskiego,

abyśmy mogli je przekazać, więc… Więc chyba może pani je zobaczyć — stwierdziła w końcu. — A swoją drogą, to czego będzie pani w nich szukać?

— Sama nie wiem — odpowiedziała zgodnie z prawdą.

— Przyniosę je tutaj, bo do pokoju pani Broni nie wolno wchodzić postronnym — zaznaczyła. — Pogrzeb będzie pojutrze.

XXX. Kiedyś

Marcjanna wracała z kościoła ze spuszczoną głową. Każdego ranka, począwszy od następnego dnia po bankiecie firmowym u Macieja w pracy, udawała się do klasztoru Bernardynów na poranną mszę i modlitwę do Matki Bożej Rzeszowskiej z prośbą o scalenie jej rozpadającej się rodziny. Czy jej modlitwy przyniosły pożądany skutek, nie potrafiła jednoznacznie odpowiedzieć. Z wyrokami boskimi się nie dyskutuje — mawiała jej babcia, ale czy miała być z nich zadowolona, skoro wyroki boskie niekoniecznie były zgodne z jej oczekiwaniami?

Józek, tak jak zapowiedział tamtej pamiętnej nocy, dostał się na anglistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ponieważ kierunek był oblegany, zdał sobie sprawę, że nie może dalej opuszczać się w nauce, i robił wszystko, by mieć jak najlepsze wyniki. Świetnie zdał maturę, a potem rzucił się w wir życia uczelnianego. Do Rzeszowa przyjeżdżał rzadko. Tyle, co musiał. Rodziców traktował z dużym dystansem. Każda jego wizyta w domu była dla Marcjanny wielkim wydarzeniem, więc szykowała to, co syn lubił, aby móc ugościć go jak najlepiej. Z chęcią wsłuchiwała się w opowieści Józka o życiu studenckim i kibicowała mu w jego działalności w Teatrze Anglistów The English Department Theatre, który wystawiał cieszące się dużą popularnością sztuki, na przykład Szekspira.

Maciej nie zachwycał się tym aż tak bardzo, widział bowiem swojego syna nie na uczelni, tylko u siebie w fabryce, jednak Józek nie poszedł na kompromis. Odliczał dni do ukończenia studiów, by móc wyjechać za granicę. Wykłady na uczelni i spotkania z anglojęzycznymi pisarzami i naukowcami tylko zaostrzyły apetyt na podróż.

— Nie podcinaj mu skrzydeł, tylko pozwól latać wysoko. dałaś mu wszystko, co mogłaś dać, teraz pozwól mu wyfrunąć — powtarzała sobie Marcjanna, lecz mimo to targały nią wątpliwości. Czy Estera postąpiłaby tak samo? Czy kiedyś, tam, na drugim świecie, nie będzie mieć do niej o to żalu? Czy wybaczy Marcjannie, że wypuściła jej syna z ciepłego gniazda i pozwoliła mu udać się w nieznane? Może chciałaby, żeby Józek został na ich ojcowiźnie i dbał o pamięć o przodkach.

A Baśka? Wylała przez nią morze łez, gdy pewnego dnia oświadczyła, że wybiera życie w habicie. Zamiast pójść w ślady brata i wybrać jakiś przyszłościowy kierunek, postanowiła zamknąć się w klasztorze. Ba, żeby to jeszcze był zwykły klasztor! Wybór Basi zatrząsnął fundamentami rodziny nie mniej niż podejrzenia Józka co do ojcostwa Macieja. Podczas śniadania wielkanocnego oznajmiła rodzicom i rodzeństwu, że wstępuje do zakonu klarysek w Starym Sączu. Maciej nie wytrzymał i ze słowami „po moim trupie” tak uderzył pięścią w stół, że wielkanocny żurek zalał krochmalony śnieżnobiały obrus i nową sukienkę Marcjanny. Józek nie zareagował, Mila zaś błagała siostrę, żeby jej nie opuszczała.

Marcjanna znów traciła grunt pod nogami. Kiedy zapytała córkę, dlaczego to robi, usłyszała, że to powołanie i nie mogą z tym walczyć. Nawet trup ojca nie powstrzyma jej od świadomie podjętej decyzji.

Gdy z bólem serca pomagała Basi się pakować, poprosiła córkę o szczerą rozmowę. W najgorszym scenariuszu nie zakładała, iż Basia wybierze zakon z dala od domu, do tego zakon klauzurowy, który zabrania mniszkom opuszczania klasztoru. Rozpaczała, że najpewniej nigdy już jej nie zobaczy. Na samą myśl, że jej córka będzie mogła wyjść poza klasztorne mury tylko w jednym jedynym przypadku — w przypadku własnej ciężkiej choroby — robiło się jej niedobrze. Nie mogła przecież życzyć tego córce. Śmierć rodziców i rodzeństwa też nie była

powodem do otrzymania przepustki.

Okrutny jesteś, Panie Boże — mówiła w wieczornych modlitwach — dając mi taki wybór: widzieć córkę chorą albo już nigdy jej nie zobaczyć.

— Będę w dobrych rękach — zapewniła Basia. — Będę się za was modlić, za ciebie, ojca, Milę i Józka. Za nich to podwójnie. Mamo, uważaj na nich, proszę. Między nimi nie jest tak, jak powinno być.

Woźniakowa dobrze to wiedziała, bo Józek i Mila unikali się, jednak nie miała pojęcia, że Basi chodzi o coś zupełnie innego.

Marcjanna wracała do domu tą samą drogą, co zwykle. Było już południe. Tego ranka nie mogła pójść na poranną mszę świętą ze względu na wizytę u lekarza, więc wybrała się później. Był piękny wiosenny dzień, ale zdawała się nie zauważać budzącego się z zimowej szarzyzny miasta. Głowę miała zaprzątniętą myślami. Jak co dzień, od wielu tygodni czekała na jakiś znak od Józka, który tak jak zapowiadał, po studiach wyjechał w podróż za granicę. Przed podjęciem pracy chciał trochę zwiedzić Europę, a może i inny kontynent. Zamartwiała się o niego dniami i nocami, a kiedy akurat nie była pochłonięta myślami o nim, przed oczami stawała jej pogodzona z życiem, uśmiechnięta i zbyt dojrzała jak na swój młody wiek Basia, która skryła się przed całym światem za klasztornym murem.

Przed wyjazdem Józek zapowiedział jej, że nie powinna się martwić na zapas, bo jeśli coś mu się przydarzy, znajdzie sposób, by ją poinformować. To samo usłyszała od siostry przełożonej w Starym Sączu. W całej tej sytuacji te słowa były marnym pocieszeniem. Marcjanna nie mogła pogodzić się z myślą, że straciła dwoje dzieci naraz, zostając z lękliwą, z byle powodu drżącą jak listek na wietrze Milą.

— Dzień dobry, pani Woźniakowa! — donośny głos listonosza wyrwał ją z zadumy. — Dzień dobry! Co pani taka zamyślona idzie, że nikogo nie widzi? List do pani mam! Oby z dobrymi wieściami.

— Dzień dobry, panie Mietku — odparła zaskoczona. Tyle razy wypytywała go o pocztę, a on przecząco kręcił głową, że w końcu przestała zwracać na niego uwagę, gdy kręcił się po osiedlu.

— Wiosna idzie, widzi pani? A jak wiosna, to tylko lepiej będzie. — Pan Mieczysław miał dobry humor i dużo do powiedzenia na każdy temat, więc zaczął się dzielić z Marcjanną swoimi spostrzeżeniami o zmieniającej się pogodzie. Grzebał jednocześnie w torbie z listami. Marcjanna niecierpliwiła się, co zresztą szybko zauważył. — Ale się rozgadałem, a pani, widzę, dziś coś nie w humorze… O, mam! — Wyciągnął kopertę z adresem Woźniaków i podał ją kobiecie. — Nie przeszkadzam już pani, do widzenia!

Pan Mieczysław ukłonił się i poszedł do sąsiedniej kamienicy, zostawiając zdumioną Marcjannę na środku ulicy. Popatrzyła na kopertę i serce zaczęło jej bić mocniej. Te drobne, staranne, pochylone lekko w prawo literki rozpoznałaby na końcu świata. Przycisnęła list do piersi i co tchu pobiegła do mieszkania. Rozrywała kopertę w pośpiechu, byleby jak najszybciej dostać się do zawartości. Wiedziała, że jej syn Józek nie mógłby przepaść tak bez śladu, nie dając znaku życia. Mimo tego wszystkiego, co przeszli z nim przez ostatnie lata, była przekonana o jego dobrym, czułym sercu, które nie pozwoliłoby mu zostawić rodziców, a zwłaszcza matki bez słowa.

Otworzyła list zapełniony drobnym pismem i zaczęła pochłaniać kreślone naprędce słowa.

Kochana Mamo!

Wiem, że zamartwiasz się o mnie, choć zapewniałem Cię, że odezwę się, kiedy tylko będę mógł. U mnie wszystko dobrze, radzę sobie świetnie, w końcu dobrze mnie wychowałaś, prawda?

Przepraszam, że tak długo milczałem, podczas gdy Ty pewnie codziennie dręczyłaś pana Mietka pytaniami o list. Jestem w ciągłej podróży. Zwiedziłem już wiele miejsc, które znałem tylko z podręczników do geografii i historii. Przemieszczam się z miejsca na miejsce i nie wiem, gdzie będę za tydzień, a gdzie za dwa, więc nie podaję Ci adresu, na który mogłabyś wysłać odpowiedź.

Piszę ten list, żeby wyjaśnić coś Wam i sobie, bo dłużej nie mogę żyć z tym ciężarem. Nie mogę go wozić po całym świecie. Wiele razy próbowałem Ci powiedzieć o tym, ale zawsze brakowało mi odwagi. Teraz, gdy nie patrzymy sobie w oczy, mam więcej śmiałości.

Wiem, że Maciej nie jest moim ojcem. Czuję to i choćbyś nie wiem jak wmawiała mi, że jest inaczej, nie uwierzę. Nie wiem, dlaczego nie chciałaś powiedzieć mi prawdy, i nigdy tego nie zrozumiem. Mam nadzieję, że kiedyś zmienisz zdanie, choć to i tak pewnie nie zmieni mojego położenia, które jest beznadziejne.

Teraz wyjawię Ci mój sekret. Zakochałem się w Mili. Ona we mnie też. Nie wiem, kiedy, jak i dlaczego to się stało, ale gdy zdałem sobie z tego sprawę, postanowiłem trzymać się jak najdalej od domu. Dlatego wyjechałem na studia do Krakowa i tak rzadko przyjeżdżałem do Rzeszowa. Dlatego marzyłem, by zwiedzać świat. Teraz chyba rozumiesz, że moja obecna podróż nie była fanaberią na złość ojcu, tylko ucieczką. Musiałem Was opuścić, bo nie mogłem dalej żyć z Wami pod jednym dachem. Nie mogłem codziennie patrzeć w oczy Mili i widzieć jej cierpienia. Nie mogłem patrzeć w oczy ani sobie, ani Tobie.

Próbowałem odrzucić to uczucie i przestać myśleć o Mili. Ale nie potrafiłem. Teraz, gdy jestem z dala od domu, jest mi o wiele łatwiej. Mam nadzieję, że jej również. Proszę, nie obwiniaj Mili o nic. To nie jest jej wina. Wiem, że cierpi nie mniej niż ja. Mam nadzieję, że kiedyś spotka właściwą osobę, którą pokocha bardziej niż mnie. Wierzę, że i ja spotkam kogoś, z kim będę mógł spędzić resztę życia.

Mamo, nie wrócę do domu. Osiądę za granicą i zacznę wszystko od nowa. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś odważę się napisać list. Cóż mógłbym więcej napisać? Mogę Ci jedynie obiecać, że będę żył tak, aby nie przynieść Wam wstydu. Będę się za Was modlił.

Teraz, gdy znasz już mój sekret, zrozumiesz moją decyzję i moje wcześniejsze zachowanie. Proszę, nie szukaj mnie. Nie dam się znaleźć. Powiedz, że zaginąłem podczas podróży. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Zapomnijcie o mnie i bądźcie szczęśliwi.

Zawsze będę Was kochał.

Józek

List od Józka w szybkim tempie pokrył się drobnymi łzami. Marcjanna usiadła przy kuchennym stole i ukryła twarz w dłoniach. Kiedy otarła oczy, podeszła do starannie zaścielonego łóżka Józka ze świeżą, pachnącą pościelą, która czekała na jego powrót. Wysunęła szufladę ze stojącej obok szafki nocnej i obiegła spojrzeniem jej zawartość. W głębi leżała książeczka od pierwszej komunii świętej Józka, różaniec oraz bawełniana chusteczka z jego inicjałami. Przesunęła je i wtedy zobaczyła lniany woreczek, który podarowała mu przed osiemnastymi urodzinami. Był pusty. Odetchnęła z ulgą. Jak dobrze, że wziął swój amulet ze sobą. Będzie go chronić.

W drzwiach zazgrzytał klucz.

— Dzień dobry, kochanie! — usłyszała głos Macieja, który wrócił z pracy.

Szybko złożyła list i schowała go do koperty, a potem do kieszeni w spódnicy.

— Dzień dobry. — uśmiechnęła się, gdy weszła do przedpokoju.

— Płakałaś? Coś się stało? — spytał zaniepokojony, widząc jej zaczerwienioną twarz i zapuchnięte oczy.

— Nie, to znowu orzechy, — roześmiała się nerwowo. — Zaniosłam Halinie sukienkę,

którą wczoraj skończyłam szyć. Poczęstowała mnie ciastem. Musiały być w nim orzechy, bo męczę się tak od południa. Sam widzisz. Ciągle zapominam o tej alergii.

— Źle wyglądasz, połóż się na chwilę — zaproponował. — Była dziś może poczta? Czekam na ważny służbowy list. Zapewniali, że dojdzie w tym tygodniu.

— Nie… — skłamała. — Chodź, nałożę ci obiad.

XXXI. Teraz

Marcelina nie mogła zasnąć. Ruch na drodze był wyjątkowo uciążliwy. Nie pomagały ani rolety zewnętrzne, ani kotary w oknach. Przeciągły odgłos hamujących lub rozpędzających się ciężarówek wytrącał ją z równowagi, którą usilnie starała się zachować. Nie było to łatwe, gdyż głowę zaprzątały jej myśli o matce. Wciąż miała przed oczami zapis w księdze parafialnej dotyczący jej najbliższych. Zapis, który wydawał się puzzlem niepasującym do układanki o jej rodzinie.

Dziś po wyczerpującej rozmowie z Mateuszem znów miała ochotę zadzwonić do matki i zapytać ją wprost, ale nie zdobyła się na odwagę. Miała świadomość, że taka rozmowa mogłaby jej zafundować silne emocje, na które nie była przygotowana.

Z Łukaszem nie rozmawiała od kilku dni. Wieczorem wysłał jej kolejnego esemesa, że pracuje na pełnych obrotach i nie ma kiedy oddzwonić, ale bardzo kocha i tęskni. Nie odpisała.

Zerknęła na zegarek. Wskazywał dwudziestą drugą czterdzieści pięć. Wstała z łóżka, ubrała się i zeszła do recepcji, by napić się herbaty. Oczy ją piekły, bo do późnego wieczora spisywała nagrania z rozmowy z Mateuszem, a skronie pulsowały.

— Bezsenna noc? — spytała recepcjonistka schodzącą po schodach Marcelinę.

— Jeszcze gorzej. Okropny ból głowy.

— Na to znam tylko jeden skuteczny sposób. Tabletka, masaż i herbata. Zaraz przygotuję — zaoferowała pomoc dziewczyna, po czym udała się na zaplecze, by zaparzyć herbatę.

Marcelina usiadła na skórzanej sofie tuż obok lady recepcji i za namową Joli zaczęła rozmasowywać skronie. W pensjonacie panowała błoga cisza. Poza nią nikt tu nie nocował, nie było też nikogo z przejezdnych. Telewizor wprawdzie był włączony, ale recepcjonistka wyciszyła go. Na monitorze laptopa dostrzegła nagrania z monitoringu — na zewnątrz także było cicho i spokojnie. Niewielki ruch panował jedynie na stacji benzynowej.

Na ladzie stała biała porcelanowa filiżanka w chabry z niedopitą kawą.

— Na nocnej zmianie muszę pić litry kawy, bo zasnęłabym, gdy się tylko ściemni. Mam dwoje dzieci. — Jola podchwyciła spojrzenie Marceliny nad filiżanką. Postawiła na stoliku dwa kubki naparu. — Dla ciebie melisa, dla mnie kolejna kawa. Mogę się dosiąść?

— Jasne.

— Jak idzie ci pisanie książki?

— Całkiem dobrze. Lepiej niż zakładałam. Nie spodziewałam się, że Mateusz będzie tak otwarcie opowiadał o wielu tematach. Jestem pozytywnie zaskoczona.

— Mogę liczyć na autograf, jak już się ukaże?

— To… skomplikowane. Ale myślę, że tak. — Marcelina się uśmiechnęła. Masaż podziałał kojąco. Ból głowy nieco zelżał, więc postanowiła zapytać Jolę o coś, co nie dawało jej spokoju.

— Kiedyś wspominałaś mi, że musiało upłynąć trochę czasu, zanim zaakceptowaliście i polubiliście Mateusza. Co takiego się wydarzyło?

Jola popatrzyła na nią zdziwiona.

— Naprawdę nie wiesz?

— Nie.

— Nie powiedział ci?

— Nie.

— I nikt inny też ci nie powiedział?

— Nikogo nie pytałam. Nie mówiłam nikomu, że przyjechałam napisać o nim książkę.

— I tak pewnie wszyscy wiedzą. — Jola machnęła dłonią. — To wioska, a nie miasto.

— Co takiego się wydarzyło?

— Poczekaj chwilę. — Jola wstała z sofy, spojrzała na monitoring i pocztę i mając pewność, że dopilnowała swoich obowiązków, usiadła z powrotem obok Marceliny. — To długa historia — ostrzegła, siorbiąc kawę.

— Takie lubię najbardziej.

— Jeśli Mateusz ci o tym nie powiedział, widocznie nie chciał, by znalazło się to w książce. Zachowaj to dla siebie.

— Masz moje słowo.

— Kiedy Mateusz osiedlił się tutaj, ludzie obawiali się, że będzie siał zgorszenie. Dobrze wiedzieli, kim jest i co zrobił. — Recepcjonistka wygodnie umościła się na rozłożystej sofie. — Traktowaliśmy go podejrzliwie i trudno nam było przełamać lody. Myślę, że było mu bardzo ciężko. Wiesz, na początku samo jego pojawienie się w sklepie czy urzędzie było sensacją. Myślę, że nieraz czuł się tutaj jak intruz.

— Też byłaś taka nieufna?

— Uhm — przytaknęła. — Ale jako jedna z pierwszych zmieniłam o nim zdanie — zaznaczyła. — Pewnego wieczoru wyszłam z dziećmi na stadion, bo uczyłam starszą córkę jeździć na rowerze. Miała siedem lat i jako jedyna z klasy nie potrafiła jeździć. Boże — westchnęła. — Ile ja się namęczyłam, żeby ją nakłonić, by wsiadła na rower bez podpórek! Bała się strasznie. Nie potrafiła utrzymać równowagi. Ciągle się wywracała. Wtedy Zosia była cała roztrzęsiona, a ja już u kresu cierpliwości. Nakrzyczałam na nią, a ona powiedziała, że nienawidzi roweru. Mateusz biegał wokół stadionu. Robił tak kilka razy w tygodniu, a ja zawsze kombinowałam, żeby wyjść z dziećmi wtedy, gdy go nie będzie. I akurat pech chciał, że przyszedł pobiegać właśnie tego wieczoru. Widząc, co się dzieje, podszedł do nas i zapytał Zosię, czy może jej pokazać sztuczkę. Zaczął jej tłumaczyć, jak działa rower i jak się na nim jeździ. Ani się obejrzałam, jak Zosia wsiadła na rower i samodzielnie przejechała kilka metrów, a potem więcej i więcej, aż objechała dookoła cały stadion.

— Nie mogła trafić na lepszego nauczyciela. Mateusz jest specjalistą w tej dziedzinie — zauważyła Marcelina.

— Zosia była taka szczęśliwa. Śmiała się w głos. Kiedy mój mąż wrócił z delegacji, pojechaliśmy Mateuszowi podziękować. Jego dom był wtedy w kiepskim stanie. Nie to, co teraz — mówiła Jola. — Mateusz okazał się normalnym człowiekiem. Mój mąż bardzo go polubił.

Marcelina słuchała tej opowieści z uznaniem, a portret Mateusza, jaki nakreśliła sobie jeszcze w Warszawie na podstawie tabloidowych doniesień, zaczął zyskiwać nowe, subtelniejsze rysy.

— A potem stało się coś, co każdemu z nas dało do myślenia i kazało uderzyć się w piersi.

— Zamieniam się w słuch — oznajmiła Marcelina.

Było już grubo po dwudziestej trzeciej. Jola wypiła spory łyk kawy i zaczęła mówić.

Od kiedy Mateusz zamieszkał w Niebylcu, wrócił do regularnej aktywności fizycznej. Ostatnie kryzysy spowodowały znaczny spadek wypracowanej latami formy i przyrost wagi. Malownicza okolica sprzyjała uprawianiu sportu, więc gdy tylko mógł, wkładał strój sportowy i zwiedzał kolejne zakamarki tego regionu. Przemierzał kolejne kilometry, nie bacząc na porę roku ani pogodę.

Tamtego dnia przyjechał rowerem, żeby pobiegać po polnych ścieżkach wijących się wokół rzeki i słynnej na całą okolicę wiszącej kładki. Zawiesili ją w latach siedemdziesiątych

ubiegłego wieku w miejscu starego prowizorycznego mostku — żeby ułatwić komunikację między sąsiadującymi wioskami. Można było przejść nią pieszo, a co odważniejsi przejeżdżali rowerami. Kładka była solidna i bezpieczna, z obu stron wiodły do niej metalowe schody, jednak dla osób z lękiem wysokości jej pokonanie mogło być wyzwaniem. Przy silniejszych podmuchach wiatru bujała się i wystarczyło ją lekko rozkołysać, by wywołać panikę. Mimo siermiężnej konstrukcji była jednak ciekawym pomysłem.

Mateusz lubił tu biegać i często widywał grupki dzieci i młodzieży urządzające pikniki w pobliskiej altance. Tamtego dnia było tu wyjątkowo pusto. Przy wejściu na kładkę od strony lasu zauważył dwójkę nastolatków na rowerach. Chłopak i dziewczyna z impetem wbiegali na kładkę, rywalizując, kto pierwszy przebiegnie chybotliwą konstrukcję. Z daleka słyszał perlisty śmiech dziewczyny i dopingującego ją chłopaka.

Przyglądając się tym beztroskim dzieciakom, nie zauważył dużego kamienia na środku polnej drogi. Wbiegł na niego tak niefortunnie, że lewa stopa wykręciła się w prawą stronę. Ból nie był duży, ale nauczony poprzednią kontuzją, wolał dmuchać na zimne. Zatrzymał się. Obejrzał dokładnie stopę. Nic nie wskazywało, by stało się coś poważnego, więc postanowił potruchtać w stronę lasu aż do przydrożnej kapliczki świętego Jana Nepomucena stojącej na końcu wioski. Niestety, źle ocenił swoje możliwości. Z każdym krokiem ból stopy się nasilał, dlatego zdecydował się zawrócić i szybkim marszem dostać się do miejsca, w którym zostawił rower.

Znad rzeki dobiegały niepokojące okrzyki. Mateusz był jeszcze dość daleko, by ocenić, co się dzieje, ale na pewno nie były to okrzyki beztroskiej zabawy. Dopiero gdy ominął lekkie wzniesienie porośnięte chwastami i wybiegł na ścieżkę prowadzącą do rzeki, zauważył, że na środku kładki, w jej najniższym punkcie stała przerażona nastolatka i wołała o pomoc. Przy jednym i drugim wejściu dwóch nastolatków z całej siły starało się rozkołysać konstrukcję. Dziewczyna panikowała. Kurczowo trzymała się poręczy, a jej tułów bezwładnie zwisał na siatce zabezpieczającej. Chłopcy śmiali się z niej i jeszcze bardziej trzęśli kładką, energicznie podskakując. Pomimo bólu stopy Mateusz zwiększył tempo, by jak najszybciej dotrzeć nad rzekę. Śmiech nastolatków i krzyki dziewczyny stawały się coraz wyraźniejsze, więc przyspieszył mimo dokuczajacej stopy.

— Zostawcie ją w spokoju — zaczął wołać, gdy prawie dotarł na miejsce. — Słyszysz!?

Żadne z nich go nie usłyszało. Nikt mu nie odpowiedział, bo w tym momencie dziewczyna spanikowała całkowicie i zupełnie straciła kontrolę nad swoim ciałem. Torebka, którą miała zawieszoną przez ramię, zsunęła jej się przez głowę. Chciała ją złapać, by nie wpadła do wody. Wychyliła się tak gwałtownie, że jej drobne ciało prześlizgnęło się przez siatkę.

Rozległ się przerażający pisk i wołanie o pomoc. Potem Mateusz usłyszał odgłos uderzenia ciała o taflę wody. Wszystko trwało zaledwie kilkanaście sekund. Gdy dobiegł do kładki, dziewczyny już nie było widać, tylko pęcherzyki powietrza unoszące się na wodzie wskazywały miejsce, gdzie zniknęła.

Dorwał przerażonego chłopaka, chudego blondyna, który jeszcze minutę temu śmiał się do rozpuku, a teraz trząsł się jak w febrze.

— Dzwoń pod sto dwanaście, rozumiesz?! — Potrząsnął jego ramionami, bo nie był pewien, czy do chłopaka cokolwiek dociera. — Sto dwanaście, dzwoń! — Rzucił mu swój telefon. — Natychmiast!

Chłopak zdołał tylko pokiwać głową. Trzęsącymi rękami wziął telefon i wybrał numer alarmowy.

Mateusz w tym czasie błyskawicznie się rozebrał i w samych spodenkach wszedł do rzeki. Woda była lodowata. Nabrał powietrza w płuca tyle, ile mógł, i się zanurzył.

Chłopak z drugiego brzegu rzeki wsiadł na rower i odjechał, chudy blondyn zaś skończył rozmawiać przez telefon, odłożył go na trawę i zaczął spazmatycznie płakać. Po chwili zobaczył, jak Mateusz wynurzył się z wody. Ramieniem podtrzymywał bezwładnie zwisającą dziewczynę.

Mateusz wiedział, ściga się z czasem. Jej oddech był coraz słabszy. Holował ją do brzegu, płynąc na plecach najszybciej, jak potrafił. Kiedy dopłynął, chłopak pomógł mu wyciągnąć dziewczynę i ułożyć na trawie. Nie oddychała. Natychmiast usunął jej wodę z ust i sprawdził, czy nie nabrała mułu albo innych zanieczyszczeń.

— Obudź się, otwórz oczy! — Potrząsnął delikatnie jej ramionami.

Nie zareagowała, więc przystąpił do reanimacji.

Odchylił głowę dziewczyny do tyłu, zatkał jej nos i wykonał pięć wdechów ratunkowych. Potem skrzyżował dłonie i zaczął rytmicznie uciskać środek klatki piersiowej.

— Raz, dwa, trzy, cztery — liczył. — Dzwoniłeś? — wykrzyczał w stronę chłopaka. — Sześć, siedem, osiem…

— Już jadą — powiedział ledwo słyszalnie tamten.

Mateusz wykonał trzydzieści mocnych uciśnięć i dwa oddechy. Dziewczyna nie reagowała. Powtórzył masaż serca i oddechy. Odkaszlnęła.

Szybko ułożył ją na boku i podszedł do chłopaka. Nie pytając o zgodę, ściągnął z niego bluzę i okrył nią dziewczynę. Z daleka słychać już było sygnał pędzącej karetki.

— Wyjdź do nich, przyprowadź tutaj — rozkazał blondynowi. Sam pochylił się nad nastolatką. Upewnił się, że oddycha. Pogłaskał ją czule po policzku.

— Już dobrze, już dobrze. Już wszystko dobrze — szeptał jej do ucha, ale właściwie bardziej do samego siebie.

Ratownicy już byli na miejscu. Zajęli się dziewczyną.

Poczuł czyjś dotyk na ramieniu. Ktoś okrył go folią termiczną.

— Dobra robota — usłyszał. — Uratowałeś jej życie.

Marcelina słuchała tej opowieści z wypiekami na twarzy. Poczuła się strasznie głupio, że tak niesłusznie osądziła Mateusza od samego początku na podstawie doniesień szmatławców, a potem podczas wielu rozmów traktowała go z rezerwą.

— Nie miałam o tym pojęcia — przyznała.

— Cała wieś po tym zdarzeniu zmieniła nastawienie do niego.

— A ta dziewczyna? Co z nią?

— Jest cała i zdrowa. Aha, Mateusz dostał za to medal za bohaterstwo. Pewnie się nie przyznał.

— Nie. — Marcelina dopiła ostatni łyk naparu z melisy. — Dziękuję. Późno już, pójdę spać.

Pokonywała kolejne stopnie schodów z trudem. Nogi miała ciężkie. Położyła się z gorzką myślą, jak bardzo była naiwna i niesprawiedliwa.

XXXII. Kiedyś

Od kiedy Józek wyjechał, nie było dnia, by Mila nie wyczekiwała wiadomości od niego. Tak jak matka kiedyś, wypatrywała listonosza albo jakiegoś znaku, który pozwoliłby jej stwierdzić, że ukochany brat wciąż o nich pamięta. Nie uwierzyła w to, co pewnego wiosennego poranka powiedziała matka, pokazując jakiś świstek papieru.

— Józek zaginął podczas podróży statkiem na Morzu Śródziemnym. Pasażerowie widzieli go na pokładzie ostatni raz wieczorem — czytała, siląc się na łzy. — Prawdopodobnie wypadł za burtę i się utopił… Nie znaleziono jego ciała…

— Józek pływał lepiej niż olimpijczycy. Bujda. — Mila z góry odrzuciła taką wersję wydarzeń. Czuła, że za jego podróżą musiała kryć się ucieczka od niej, od tego, co ich łączyło. Wierzyła jednak, że nie byłby tak okrutny i nie zrobiłby jej tego. Nie zostawiłby jej samej.

W obecności domowników udawała obojętną wobec zaginięcia Józka, ale żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń, kilka razy skrytykowała jego decyzję o podróży i brak kontaktu z rodziną. Była przekonana, że świetnie odgrywa swoją rolę, lecz nie zdawała sobie sprawy, że Baśka, przebywająca obecnie w zakonie, już dawno rozszyfrowała jej mgliste spojrzenia i wodzenie wzrokiem za Józkiem. Ojciec był tak pochłonięty pracą, że zupełnie nie dostrzegał tego, co rozgrywało się pod jego nosem. Matka dowiedziała się o wszystkim dopiero z listu syna. Kiedy uświadomiła sobie, że przez tajemnicę, do jakiej przed laty zobowiązała Macieja i Bronkę, unieszczęśliwiła dwoje niczemu niewinnych młodych ludzi, którzy dziś mogli być szczęśliwie zakochani, wpadła w rozpacz. W ciągu kilku dni posiwiała zupełnie. Po liście Józka serce Marcjanny rozpadło się na milion kawałków, których nie dało się posklejać. Wszystko, co do tej pory było dla niej ważne, nagle przestało się liczyć. Zaniedbała się. Zaprzestała diety. Zgryzotę zaczęła zajadać słodyczami, co w niedługim czasie przyniosło jej dodatkowe kilogramy. Gdy ktoś dopytywał, tłumaczyła się menopauzą i znajdowała zrozumienie. Przestały cieszyć ją nowe stroje i kosmetyki, a Maciej, który dotychczas tak chętnie zabierał ją na firmowe spotkania i wyjazdy, gdzie mógł się nią pochwalić, zaczął unikać wspólnych wyjść.

Marcjanna gorzkniała z dnia na dzień. Teraz, gdy została w mieszkaniu sama z mężem i najmłodszą córką, na niej skupiła całą uwagę, którą wcześniej poświęcała głównie synowi. Z lękiem śledziła każdy gest i słowo Mili w obawie, aby ta z desperacji nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

Mila za dnia jeszcze się jakoś trzymała, jednak gdy nadchodziła noc, nie potrafiła zapanować nad uczuciami. Płakała cicho w poduszkę, obwiniając siebie i Boga za to, że pozwolił jej zakochać się we własnym bracie. Kolejne bezsenne noce przyniosły w końcu przedłużającą się migrenę i poczucie kompletnej pustki w życiu. Marcjanna z coraz większym niepokojem obserwowała przybierający na sile dramat własnej córki i niejeden raz już miała ochotę wyjawić jej prawdę, że Józek żyje, ale po chwili słabości przywoływała się do porządku, bo taka wiadomość wcale nie ukoiłaby smutku i żalu Mili. Ile razy żałowała, że zawczasu nie powiedziała dzieciom prawdy, wiedziała tylko ona sama. Ile razy rozstrzygała, co byłoby lepsze dla nich: szczera prawda czy tajemnica, w której żyli, nie potrafiła zliczyć. Gorzko musiała jednak przyznać, że to Józek zdobył się na największą odwagę i znalazł najlepsze z możliwych rozwiązań. Przepadł jak kamień w wodę.

Rozchwiana emocjonalnie Mila wymagała leczenia i nie wiadomo, jak by wszystko się potoczyło, gdyby Marcjanna siłą nie zaprowadziła jej do lekarza poleconego przez przełożonego Macieja. Mila opierała się temu, jak tylko mogła, ale po dłuższych pertraktacjach z rodzicami,

którzy zgodzili się, aby studia pedagogiczne rozpoczęte w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie skończyła na Uniwersytecie Warszawskim, zgodziła się sobie pomóc. Oprócz leczenia farmakologicznego lekarz zalecił dziewczynie znalezienie dodatkowego zajęcia, studia bowiem nie zdołały zapełnić jej ani wolnego czasu, ani pustki w sercu tym bardziej. W obawie przed tym, aby matka nie wymyśliła czegoś, na co sama nie miała ochoty, zapisała się do nowo powstałego przy rzeszowskiej uczelni Zespołu Pieśni i Tańca „Resovia Saltans". Już po miesiącu okazało się, że nie mogła podjąć lepszej decyzji. Taniec dał jej zapomnienie, więc trenowała z niespożytą energią i zaangażowaniem. Z ciekawością obserwowała, jak zmienia się jej ciało, które wysmuklało i stało się bardziej umięśnione. Najważniejsza była jednak zmiana, jaka dokonała się w jej głowie, która wcześniej zaprzątnięta była myślami o Józku. Teraz jej myśli częściej biegły ku próbom i treningom.

Marcjanna i Maciej wiązali z jej pasją wielkie nadzieje. Po cichu liczyli, że Mila kogoś tam pozna i ułoży sobie życie, wszak dziewczyny w jej wieku, będąc na studiach, zakładały rodziny. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Owszem miała jakichś kolegów, lecz żadnemu z nich nie udało się skraść jej serca. Po pół roku tańczenia w „Resovii" Mila, tak jak wcześniej planowała, zdecydowała się kontynuować studia w Warszawie, a potem osiedlić się tam, by mieszkać z dala od miasta, w którym spędziła najpiękniejsze i najsmutniejsze zarazem lata.

Po studiach rozpoczęła pracę nauczycielki w jednej ze stołecznych szkół podstawowych, oddając się bez reszty pracy z dziećmi i nauce. Rodzice odwiedzali ją rzadko, zawsze zaniepokojeni faktem, iż wciąż jest samotna, a przekroczyła już trzydziestkę. Planowali, że kiedy zbliży się czas emerytury Macieja, osiądą w Warszawie, by być bliżej jedynego dziecka, jakie im pozostało.

Wbrew ich oczekiwaniom Mila nie ułożyła sobie życia tak, jak by chcieli. Miała adoratorów, lecz żaden z kolegów nauczycieli ani żaden mężczyzna, z którym się spotykała, nie wydawał się tak interesujący jak Józek. Józek, który był zabawny, inteligentny i piekielnie zdolny. Józek, który potrafił sprawić, że się śmiała i czerpała radość ze wszystkiego, co ją otaczało.

Kiedy stanęła finansowo na nogi i mogła już sobie pozwolić na wakacje, zaczęła spędzać urlopy nad Morzem Bałtyckim. Po raz pierwszy pojechała tam na kolonie z dziećmi, a potem wracała każdego lata. Wyjeżdżała zwykle na dwa, trzy tygodnie i godzinami włóczyła się po wybrzeżu, nasłuchując szumu fal. Nigdy nie wchodziła do morza. Od rzekomej śmierci Józka w Morzu Śródziemnym bała się wody. Jej ukochanym miejscem było molo w Sopocie, gdzie wracała najczęściej.

W 1988 roku pojechała na wakacje sama. Koleżanki pozakładały rodziny i skupione były na pieluchach, wolnych kolegów w swoim wieku już nie miała.

Siedziała samotnie przy stoliku w kawiarni na sopockim molo. Okryta obszernym kocem czytała książkę, popijając czarną kawę w szklance w złote paski. Co jakiś czas przymykała książkę i wpatrywała się w bezkresne morze.

— Ciekawa lektura — zawołał siedzący kilka stolików dalej mężczyzna, usiłując przekrzyczeć podmuchy wiatru. Poza nimi i dwiema kelnerkami w kawiarni nie było nikogo. Wiatr był dość uciążliwy, a niebo zasnuło się chmurami, więc tłumy, które ciągnęły tu każdego popołudnia, rozeszły się w bardziej osłonięte miejsca.

— Owszem, nie mogę się od niej oderwać. — Odwróciła głowę w lewą stronę, by zobaczyć osobę, która przerwała jej czytanie bodajże w najlepszym momencie. Próbowała okiełznać chmurę blond włosów, gdyż wiatr szarpał nimi na wszystkie strony. Włożyła zakładkę do książki i przyjrzała się nieznajomemu. Był szczupłym wysokim okularnikiem o oczach tak smutnych, że spoglądając w nie, Mila zobaczyła całe swoje dotychczasowe życie. Mężczyzna

podniósł się, wziął szklankę z herbatą do ręki i nieśmiało podszedł do jej stolika.

— Przepraszam, mój głos nie ma szans z tym wiatrem. Nie przeszkadzam? Mogę się przysiąść? — zapytał.

— Proszę bardzo. — Mila nie była do końca zadowolona z jego towarzystwa, ale wyglądał na uprzejmego człowieka, więc pozwoliła mu na to.

— Zobaczy pani, dopiero potem będzie się działo — ocenił, patrząc na zakładkę włożoną mniej więcej za jedną trzecią stron książki, i pociągnął spory łyk herbaty. — Najlepsze dopiero przed panią.

— Proszę tylko nie zdradzać zakończenia, bo widzę, że pan już po lekturze.

— Nie śmiałbym psuć pani takiej przyjemności — wyjaśnił. — Niedawno skończyłem czytać i jestem zachwycony. Widzę, że mamy podobne gusta. — Mężczyzna próbował podtrzymywać rozmowę, dostrzegając onieśmielenie Mili.

— Ciężko to ocenić, biorąc pod uwagę tylko jedną książkę. — Odłożyła ją na stolik i przyjrzała się mężczyźnie z ukosa. Próbowała odgadnąć zamiary, z jakimi do niej podszedł. Niemniej wydał jej się interesujący. Uśmiechnął się.

— Pasjonujący debiut, nieprawdaż? Ale nie wziął się znikąd. Eco to wybitny intelektualista i filozof, światowa sława była mu pisana. — Mężczyzna rozwodził się nad twórczością włoskiego pisarza.

— Niestety, prócz *Imienia róży* nic nie kojarzę z jego nazwiskiem, więc trudno mi dyskutować na ten temat — przyznała zgodnie z prawdą Mila. Jej kawa już była zimna. Dopiła ostatni łyk, dając znak, że rozmowa powinna dobiegać końca, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i postanowiła ją podtrzymać. — Widział pan film? Ja jeszcze nie miałam okazji, ale słyszałam, że niezły. To prawda?

— Tak — potwierdził. — Wspaniały! Gra Seana Connery'ego to klasa sama w sobie. Wie pani, że na początku film zbierał złe recenzje, a w Stanach Zjednoczonych widzowie zupełnie go odrzucili? — mężczyzna się roześmiał. — Zobaczy pani, że o tym filmie będzie głośno przez kolejne dziesięciolecia, a może i dłużej. Jeśli będzie mieć pani okazję, polecam go zobaczyć.

Mężczyzna skinął na kelnerkę i uprzejmym gestem przywołał ją do stolika. Nie pytając Mili o zdanie, złożył zamówienie na rozgrzewającą herbatę dla obojga. Porozmawiali troszkę o literaturze i filmach i nawet nie zauważyli, że wiatr przegonił kłębowisko chmur, a nad sopockim molem znów rozbłysło słońce. Mila ściągnęła koc i założyła ciemne okulary. Po chwili kelnerka przyniosła dwie szklanki parującego napoju. Towarzysz Mili szarmancko podziękował i poprosił o rachunek. Wypili herbatę w milczeniu.

— Wybaczy pani, że nie posiedzę dłużej — powiedział. — Jestem umówiony, a nie spodziewałem się, że będę miał dziś na molo tak miłe towarzystwo.

— Dziękuję — odparła speszona.

Ujął jej dłoń i pocałował. Pomachała mu na pożegnanie. Mężczyzna stopił się z nadciągającym ponownie tłumem, a ona pogrążyła się w lekturze.

Następnego dnia znów do niej podszedł. Siedziała w tym samym miejscu, czytała i jadła deser lodowy.

— Na przekór wszystkiemu w te wakacje postanowiłam się rozpieszczać. — Mila starała się wytłumaczyć spory pucharek lodów z polewą czekoladową posypanych bakaliami, na który popatrzył z uznaniem.

— Bardzo słusznie. Nie powinna pani odmawiać sobie przyjemności — powiedział, dosiadając się do jej stolika. Poprosił kelnerkę o dwie kawy i taki sam deser lodowy.

Spojrzał na *Imię róży*. Musiała czytać do późnego wieczora, a nawet zarwać noc, bo

przeczytanych stron znacznie przybyło.

— Miał pan rację — przyznała. — Im dalej w las, tym ciekawiej. Aż się boję, co to będzie, gdy książka się skończy.

Mężczyzna polecił jej kilka powieści, po czym zaproponował spacer po molo. Szli niespiesznie, podziwiając otoczenie i korzystając z uroków wspaniałej pogody. Dotarli do najdalej wysuniętej w morze części molo i przystanęli, by patrzeć na spokojny rytm fal. Milczenie między nimi wcale nie było niezręczne.

— Samotne wakacje? — zagadnął po chwili.

— Tak wyszło. A pan?

— Również.

Mężczyzna się zamyślił. Zdjął okulary i starannie przecierał je chusteczką. Potem otarł oczy. Patrząc w fale Bałtyku, powiedział chłodnym, obco brzmiącym głosem:

— Pięć lat temu morze zabrało mi żonę i dziecko. Od tamtej pory przyjeżdżam tu co roku, choć wszyscy twierdzą, że nie powinienem tego robić, bo rozdrapuję rany. — słowa dobierał ostrożnie.

Mila popatrzyła na niego ze współczuciem.

— Dobrze rozumiem pana stratę — wyszeptała. Ponieważ nie dopytywał, wyjaśniła: — Morze zabrało mi kogoś, kogo bardzo kochałam, a nie powinnam. Jestem Mila — przedstawiła się.

— Cóż za piękne imię. — jego głos był już przyjemny. — Adam jestem.

Spotykali się każdego kolejnego dnia. Spacerowali brzegiem morza i objadali smakołykami sprzedawanymi na nadmorskich straganach. Ostatniego dnia pobytu Mili postanowili wymienić się adresami i kontynuować znajomość. Jakież było ich zdziwienie, gdy okazało się, że mieszkają zaledwie trzy ulice od siebie.

To były ich pierwsze i ostatnie wspólne wakacje nad Morzem Bałtyckim. Następne spędzili już jako małżeństwo w Krynicy-Zdroju. Na kolejne nie pojechali wcale. Ich codzienność wypełniło kilkumiesięczne niemowlę.

XXXIII. Teraz

Czy tak to sobie wyobrażałeś? — spytała Marcelina podczas spaceru, który zaproponował Mateusz. Miało to być ich ostatnie spotkanie, bo nazajutrz wracała do Warszawy.

Trzy tygodnie spędzone w Niebylcu i okolicach minęły niespodziewanie szybko. I tak została tu o tydzień, dłużej niż planowała. Rozmowa z panią Bronisławą, a potem jej pogrzeb spowodowały, że Marcelina miała lekkie opóźnienie w bieżącej pracy. Po pertraktacjach i długich przekonywaniach Walicki zgodził się wydłużyć jej pobyt tu i pracę nad książką pod warunkiem, że gdy wróci do stolicy, nadrobi zaległości i tematy, które piętrzyły się na jej biurku. Zgodziła się na wszystko, gdyż perspektywa szybkiego wyjazdu z Niebylca, gdzie być może tkwił klucz do rozwiązania niezrozumiałej i zagmatwanej historii rodzinnej, powodowała jej rozgoryczenie. Niebylec, wieś jak wiele innych, nie miał jej czym zachwycić, jednak wielokulturowa przeszłość tego dawnego miasteczka bardzo ją intrygowała. Czuła, że to miejsce, o którym za granicami województwa raczej nie było słychać, kryje w sobie wiele historii do odkrycia i opowiedzenia. Był jeszcze jeden powód, który przemawiał za tym, żeby pozostała tu dłużej, ale nie chciała sama przed sobą się do niego przyznać.

— Pytasz o książkę? — Mateusz nie mógł oderwać od niej wzroku. Po raz pierwszy od przyjazdu tutaj włożyła coś innego niż dżinsy i bluzę. Dziś na ciepłe wiosenne popołudnie wybrała granatową sukienkę w białe kropki i białe tenisówki, ramiona przykryła dżinsową kurtką, a włosy związała w kucyk. Wyglądała jak nastolatka.

— Uhm — przytaknęła. — Nie napiszę nic więcej poza tym, co mi opowiedziałeś. Będzie jeszcze wprowadzenie, metryczka, zestawienie zawodów, galeria zdjęć. Powinieneś to wszystko wnikliwie przeczytać i sprawdzić, żeby nie doszło do pomyłki.

— Zdaję się całkowicie na twój profesjonalizm — odparł. — Myślę, że nie będę musiał wiele poprawiać.

— Lepiej zadbaj o swoje interesy — zauważyła.

— Są w dobrych rękach. — uśmiechnął się Mateusz.

— Taki jesteś pewny?

— Wygooglałem cię zaraz po tym, jak do mnie zadzwoniłaś i zaproponowałaś pierwsze spotkanie — przyznał.

— I czego się dowiedziałeś? Co takiego Internet pisze o mnie? — Marcelina była zaskoczona, że zadał sobie trochę trudu przed ich pierwszą rozmową, ponieważ wyglądał wtedy na znudzonego i obojętnego.

— Byłem zaskoczony, że osoba, która nie napisała nawet jednego artykułu o sporcie, a przynajmniej taki nie był dostępny w Internecie, chce pisać o mnie książkę. Nawet mnie to rozbawiło.

— Pewnie pomyślałeś, że blondynka z Warszawy przyjechała na wieś pisać książkę o sportowym celebrycie — uznała Marcelina. — Sama przyznaję, że brzmi to śmiesznie.

— A ja nawet nie wiedziałem, że jestem czy może byłem celebrytą — zdziwił się Mateusz.

Marcelina przystanęła zaskoczona. Od czasu wypadku w Tatrach Mateusz bywał częstym gościem na łamach tabloidów i serwisów plotkarskich.

— Serio, nie śledziłeś tego? Przecież wszędzie o tobie pisali!

— Możliwe. — Wzruszył ramionami.

Podążali polną ścieżką po jednym z licznych pagórków otaczających wioskę z kilku stron.

Słońce, które dość mocno przygrzewało w środku dnia, budząc do życia kolejną partię zieleni, właśnie chyliło się ku zachodowi. Na linii horyzontu niebo przybrało kolor intensywnej czerwieni, rozlewając się stopniowo w różne odcienie pomarańczowego, a następnie żółci, która z kolei przechodziła w szarość. Promienie zachodzącego słońca okrywały złotą poświatą gęstą warstwę chmur, łąki i pola uprawne. Wokół nie było żadnych domów. Jedynie w oddali majaczyły lekko zarysowane kształty budynków gospodarczych. W idylliczny wiejski krajobraz nie do końca wpisywała się jedynie niepasująca tutaj bryła meteorologicznej stacji badawczej, która, jak wyjaśnił Mateusz, badała procesy zachodzące w Ziemi, zwłaszcza wpływ mgły aerozoli energetycznych na klimat Polski południowo-wschodniej. Miejsce to uznawane było za jedno z bardziej fotogenicznych w okolicy, więc chętnie je obfotografowywano. Zresztą i bez tej uwagi Mateusza Marcelina była przekonana o pięknie tej panoramy, której siła tkwiła w prostocie.

— Zaskakuje mnie, jak dużo wiesz o tej okolicy, choć wcale nie mieszkasz tu długo — powiedziała, gdy minęli stację.

— Wiem, bo chciałem się dowiedzieć. Miałabyś tutaj kopalnię tematów do opisania. Chociażby taki oto widok — oznajmił Mateusz, wskazując na płonący zachód słońca.

— Też o tym pomyślałam, kiedy zaczęłam szperać w historii tych okolic — potwierdziła. — Już nawet wiem, o czym mógłby być pierwszy reportaż. — uśmiechnęła się. Widząc pytające spojrzenie Mateusza, dodała: — Niech to będzie niespodzianka.

— Dlaczego zdecydowałaś się napisać ten wywiad ze mną? — Mateusza od dawna to nurtowało, ale wcześniej nie miał odwagi zapytać.

— Będę szczera. Nie miałam innego wyjścia. Szef postawił mi ultimatum i nie dał wyboru. Musiałam się zgodzić, choć przyznaję, że bardzo się wzbraniałam. Jakoś nie do końca pasowała mi ta tematyka.

— Żałujesz, że jednak się zgodziłaś?

— Ani chwili — powiedziała bez zawahania, a Mateusz posłał jej jedno z tych spojrzeń, od których rozlewa się w sercu przyjemne ciepło.

— Miło słyszeć, że nie rozczarowałaś się tym wszystkim, co cię tutaj spotkało.

— No, może poza pierwszym dniem. — uśmiechnęła się na wspomnienie spotkania na stacji benzynowej przy Leśnym Zaciszu.

— Już przepraszałem, ale zrobię to jeszcze raz, jeśli trzeba. — Mateusz był uroczo skruszony. — Mogę nawet uklęknąć i przeprosić — zaproponował, schylając się, by przyklęknąć.

— Nie wygłupiaj się. — Pociągnęła go za ramię. — Puściłam to w niepamięć.

Im dalej podążali polną ścieżką, tym niebo u horyzontu mocniej czerwieniało, a chmury tworzyły gęstsze kłębowisko. Ścieżka prowadziła od południowo-zachodniej do północnej części Niebylca i wiodła wzgórzami rozlanymi pomiędzy sąsiadującymi z nim wioskami. Delikatny, ciepły wiatr, który lekko muskał rozkwitające drzewa i krzewy, rozwiewał słodki zapach wiśni. Drobne białe płatki wirowały w powietrzu. Szli w milczeniu, chłonąc ciepły, wiosenny wieczór. Jeszcze przed spacerem Mateusz obiecał Marcelinie, że zabierze ją w miejsce, które nie widnieje ani na mapie, ani w przewodnikach, a jest istotne w historii tej miejscowości, co tylko podsyciło jej ciekawość.

— Dlaczego pan Peller nie pojawił się na nagraniach do książki? — przerwał milczenie.

— Łukasz Peller niemal w ostatniej chwili dowiedział się, że otrzymał zagraniczne stypendium dla dziennikarzy i musiał szybko wyjechać do Hiszpanii — wyjaśniła. — Gdyby tylko mógł przesunąć wylot o kilka tygodni, na pewno przeprowadziłby ten wywiad. Bardzo mu na tym zależało — skłamała, nie wiedząc czemu.

— Mimo wszystko cieszę się, że to jednak ty przyjechałaś.

— Łukasz bardzo mnie prosił, żebym zrealizowała to zlecenie za niego. Nie mogłam odmówić, zwłaszcza że przekonał do tego pomysłu naszego szefa, a ten postawił mi ultimatum — mówiła Marcelina. — Łukasz Peller to mój narzeczony — dodała po chwili obojętnym głosem.

Próbowała odczytać jego reakcję na te słowa, ale nie dał po sobie nic poznać. Nadal szedł spokojnym, miarowym krokiem, jednak spuścił głowę, kryjąc twarz.

— To dobrze, że możecie na siebie liczyć — powiedział tylko.

— Niekoniecznie — dodała i szybko zmieniła temat: — Co to za niespodziankę obiecałeś na koniec naszej wędrówki?

Mateusz wyjaśnił, że za kilkanaście minut powinni dotrzeć na miejsce, jeszcze przed całkowitym zachodem słońca, ale nie zdradził, gdzie idą. Szli ramię w ramię, przekomarzając się ze sobą, choć żadne z nich nie miało dobrego humoru. Mateuszowi wciąż gorzko brzmiały w uszach słowa Marceliny o narzeczonym. Ona zaś czuła wewnętrzne rozdarcie — podejmowała niezrozumiałe dla siebie decyzje. Myślała co innego, mówiła co innego, a zachowywała się jeszcze inaczej. Myśl o zerwaniu zaręczyn, która tak często towarzyszyła jej od kolacji w warszawskiej Orchidei, zeszła na dalszy plan. Jeszcze kilka dni temu, po nieprzyjemnej rozmowie z Łukaszem, była pewna, że chce ostatecznie zakończyć ten związek. Teraz miała mętlik w głowie. Czy była gotowa na kolejną rewolucję, tego sama nie wiedziała. Mateusz z dnia na dzień wydawał się jej bardziej interesujący. Wysyłał pewne sygnały, które mogły świadczyć o tym, że nie jest mu obojętna. Ale może to było tylko wrażenie? Kilka razy sama złapała się na tym, że nie może się doczekać kolejnego spotkania z nim. Nie miała jednak odwagi, by zrobić krok dalej w tej relacji. On najwyraźniej też nie. Nie będę podejmować pochopnych decyzji, stwierdziła. Przemyślę wszystko, jak wrócę do Warszawy.

— Co zamierzasz robić dalej?

— To, o czym mówiłem ci wtedy, gdy byłaś u mnie. Chcemy rozkręcić na dobre sklep z rowerami. Już teraz idzie nam całkiem nieźle, jak na biznes od zera, ale żeby mieć z tego stały dochód, musimy zwiększyć sprzedaż internetową. — Mateusz opowiadał o biznesie, jaki półtora roku temu założył z serwisantem sprzętu, z którym współpracował, gdy startował na zawodach. — Bywa, że pracuję po kilka, kilkanaście godzin. Musimy powiększyć zespół. We dwóch czasem nie wyrabiamy. Dołączy do nas Ula, moja kuzynka. Zajmie się marketingiem i obsługą klienta, a my w końcu skupimy się na sprawach technicznych.

— Świetnie, gratuluję — ucieszyła się Marcelina. — Czyli jeśli będę chciała kupić sobie dobry rower, mogę zwrócić się do ciebie?

— Nawet powinnaś. Obiecuję solidny rabat — zapowiedział. — Jesteśmy już prawie na miejscu.

Ścieżka biegła lekko w dół wśród pojedynczych domów i gospodarstw, a w oddali widać było centrum miejscowości, ruchliwą jezdnię przecinającą wieś na dwie równe części.

— Teraz skręcimy w lewo — oznajmił Mateusz.

Marcelina nie zauważyła tu nic szczególnego, co przyciągnęłoby jej uwagę. Miejsce, które wskazał Mateusz, było zwykłym wzniesieniem. W jego lewej części eksploatowano jakieś materiały skalne, drugą stanowiło nieużytkowane, zachwaszczone pole.

— To na pewno tam? — chciała się upewnić.

Przytaknął. Poszedł przodem, by torować jej drogę pośród krzaków i chwastów. Gdyby wiedziała, dokąd pójdą na spacer, ubrałaby się inaczej. Białe tenisówki i sukienka nie były właściwym strojem na taką wędrówkę.

— Mogłeś mnie uprzedzić, żebym ubrała się jak w góry — zażartowała.

— Dasz radę. Jest sucho, od kilku dni nie padało.

Szli przez nieużytki jeszcze około dwustu, trzystu metrów, aż w końcu Mateusz przystanął.

— To tutaj. Popatrz.

Zobaczyła starą kamienną tablicę. Jej prawa część wchodziła w ziemię głębiej, lewa strona była uszkodzona. Na kamieniu wyryte były jakieś znaki, a nad nimi fragment płaskorzeźby przedstawiającej dłonie. Popatrzyła porozumiewawczo na Mateusza, aby się upewnić, czy jest to coś, o czym myśli, a on skinął głową. Podeszła bliżej, przykucnęła i przetarła dłonią zabrudzoną i zakurzoną płytę. Znaki stały się bardziej widoczne, jednak nie potrafiła ich odczytać. Wyjęła smartfon z kieszeni i kliknęła w aplikację do tłumaczeń. Zrobiła zdjęcie. Niestety napis był słabo czytelny, więc aplikacja nie przetłumaczyła go na polski. Spróbowała jeszcze raz. Znowu się nie udało.

— To stary żydowski cmentarz — powiedział Mateusz.

— Niewiele po nim pozostało — stwierdziła Marcelina, rozglądając się wokół. Teren był tak zaniedbany, iż trudno było w ogóle przypuszczać, że w takim miejscu znajduje się cmentarz. — Ktoś o niego dba?

— Czasami ktoś tutaj robi porządek, ale chwasty rosną zbyt szybko.

— Ile jest tych macew?

— Cztery. Wszystkie wyglądają podobnie jak ta.

— Wiesz może, kto tu spoczywa?

Mateusz pokręcił przecząco głową i dodał, że sam dowiedział się o cmentarzu niedawno. Za pierwszym razem trudno było mu trafić. Nikt z miejscowych nie potrafił wyjaśnić, kogo tutaj pochowano, poza ogólnym stwierdzeniem, że jest to cmentarz żydowskiej społeczności Niebylca i okolic sprzed drugiej wojny światowej.

— Co się stało z resztą? Założę się, że tych macew było tu znacznie więcej, bo teren jest dość spory — zauważyła.

— Nie wiem, na ile to prawda, ale słyszałem, że gdy po wojnie budowano drogę, użyto ich jako materiału budowlanego…

— Chyba żartujesz!

— Ani trochę. Taka solidna kamienna płyta była jak znalazł, by utwardzić teren pod asfalt.

— Dobry Boże… — westchnęła.

Przeszli kilkanaście kroków dalej i w gęstwinie darni znaleźli kolejną macewę. Była zniszczona jeszcze bardziej niż poprzednia, ale fragment napisu dało się odczytać pod warunkiem, że ktoś znał hebrajski. Marcelina znów uruchomiła aplikację i nie robiąc sobie nadziei, że czegoś się dowie, zrobiła zdjęcie. Po chwili otrzymała tłumaczenie na polski.

— Tu spoczywa Jakub Salzman, syn Josefa, handlarz bławatny z Niebylca. Zacny i bogobojny mąż i ojciec. Zmarł 16 kwietnia 1912 roku. Niech jego dusza będzie włączona w wieniec wiecznego życia — odczytała głośno. Nazwisko Salzman nie uszło jej uwagi.

— Jak to zrobiłaś? — Mateusz był pod wrażeniem.

— To tylko aplikacja. — uśmiechnęła się. — Często korzystam z niej w pracy.

Obejrzeli dwie pozostałe macewy, lecz napisy wytarły się zupełnie. Marcelina zrobiła wszystkim kamiennym płytom zdjęcia. Choć słońce niemal całkowicie zniknęło za horyzontem, było jeszcze wystarczająco jasno, więc fotografie wyszły wyraźnie.

— Chodźmy, robi się już chłodno — zaproponował Mateusz.

Ze wzgórza schodzili w milczeniu. Na parkingu pod jednym z marketów czekał na nich samochód, który Mateusz zostawił tu, by móc odwieźć Marcelinę do pensjonatu. Wyjeżdżała

nazajutrz, a nie była nawet spakowana. Przez całą drogę nie odzywała się ani słowem. Siedziała z nosem w telefonie i nerwowo czegoś szukała.

Gdy zajechali pod pensjonat od strony tarasu z ogrodem, na którym Marcelina tak bardzo lubiła przesiadywać, zgasił silnik. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Mateusz zaczął przecierać szybę chusteczką tak dokładnie, że nie pozostała na niej najmniejsza smuga. Marcelina patrzyła na ogród rozświetlony ciepłym światłem latarni i wiosenne wielokolorowe kwiaty, które układały się właśnie do snu, by z rana znów rozkwitnąć w promieniach słońca. Z ogrodu dobiegała delikatna melodia dzwonków rozwieszonych na tarasowej pergoli. Stoliki były puste, jak niemal zawsze o tej porze.

— Będę się już zbierać — powiedziała półgłosem, choć najchętniej posiedziałaby i pomilczałaby z nim jeszcze przez chwilę. Uznała jednak, że nie ma co przeciągać momentu pożegnania. — Jutro czeka mnie ciężki dzień.

— Wracasz do Warszawy samochodem?

— Auto jest z wypożyczalni. Muszę je oddać. Potem mam samolot — odparła, patrząc w boczną szybę.

— Przyjedziesz tu jeszcze? — zaryzykował to pytanie.

— Nie wiem. Chyba tak — przytaknęła w końcu. — Dręczy mnie jeszcze jedna sprawa, której nie zdążyła mi wyjaśnić pani Bronisława. Tak bardzo żałuję, że nie doczekała następnego spotkania. Cofnęłabym czas, gdybym tylko mogła się dowiedzieć, co jeszcze chciała mi powiedzieć…

Mateusz nie dopytywał o szczegóły. Wtedy, przed wizytą w domu spokojnej starości, wyjaśniła tylko oględnie, że sprawa dotyczy jej dziadków, którzy skrywali przed resztą rodziny jakąś tajemnicę. Ponieważ nie chciała o tym rozmawiać, nie nalegał.

— Myślisz, że klucz do rozwiązania zagadki jest tutaj? W Niebylcu?

— Nie mam pojęcia. Chyba że… Może jest inny sposób, żeby się tego dowiedzieć — powiedziała i w tej samej chwili przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Tak prosty, że mogła wpaść na niego od razu.

— Zawsze tu będziesz mile widziana. Po prostu zadzwoń.

— Tak zrobię. — uśmiechnęła się. — Wydaje mi się jednak, że spotkamy się wcześniej, niż przypuszczasz. Podczas promocji książki, a zwłaszcza w dniu premiery, twoja obecność w Warszawie będzie konieczna — zauważyła.

— Jakoś to zniosę, jeśli też tam będziesz. — Popatrzył na nią.

— Jestem tylko ghostwriterem — uśmiechnęła się — ale okej, będę. W końcu ktoś będzie musiał przygotować pytania na konferencję prasową, a tak się składa, że to ja wiem teraz o tobie najwięcej.

— A ja o tobie wciąż niewiele — stwierdził Mateusz. — Odezwij się czasem, zanim rzucisz się w wir pracy.

— Mój szef już zadbał o to, żebym się nie nudziła po powrocie. Gdy skończy się praca nad książką i jej promocją, zasypie mnie stosem innych spraw, tak że będę odliczać dni do wakacji.

— Masz już jakieś plany?

Nie odpowiedziała od razu. Znów zapatrzyła się w ogród i jeszcze raz przeanalizowała decyzję, jaką podjęła po śmierci pani Broni. Że nie będzie wywracać swojego życia do góry nogami, ale ułoży to, co się zachwiało. Po chwili dodała:

— Lecę do Hiszpanii. — w jej głosie nie było słychać radości, a twarz miała jakąś smutną.

Do narzeczonego, dopowiedział sobie w myślach Mateusz.

Marcelina rozpięła pas bezpieczeństwa.

— Zatem… do zobaczenia — powiedziała drżącym głosem, starając się, by tego nie zauważył. Podała mu dłoń na pożegnanie. Uścisnął ją.

— Poczekaj, odprowadzę cię. — Mateusz wysiadł i podszedł do drzwi pasażera, by je otworzyć. Przeszli alejką tulipanów i szafirków wprost pod przeszklone drzwi pensjonatu. W recepcji paliła się mała lampka. Za ladą nie było nikogo. Niebieska poświata na ścianie wskazywała, że recepcjonistka ogląda telewizję.

— Bądź ostrożna na drodze. Uważaj na siebie. — w jego głosie usłyszała szczerą troskę.

— Tak zrobię. Do zobaczenia.

— Żegnaj, dziękuję za wszystko — powiedział cicho i nachylił się w jej stronę, by otworzyć jej drzwi do pensjonatu. Zanim jednak to zrobił, przysunął twarz do jej twarzy i pocałował ją w usta. Ku jego zaskoczeniu odwzajemniła pocałunek, ale po chwili odsunęła głowę w bok.

— Przepraszam. Musiałem to zrobić. Boję się, że już nie będzie takiej okazji — szepnął jej do ucha i nacisnął klamkę. — Będę tęsknił za tobą — dodał.

— Nie utrudniaj tego wszystkiego. Żegnaj.

Zniknęła w drzwiach. Wbiegła na schody, nie odwracając się. Pospiesznie pomachała tylko recepcjonistce, która zerwała się na dźwięk otwieranych drzwi, ale nie dostrzegła jej łez.

Kiedy wbiegła do pokoju, rzuciła się na łóżko i płakała przez kilka minut. Potem wstała, otworzyła wino, które poprzedniego wieczoru dostarczyła jej kelnerka do pokoju, i nalała sobie pełny kieliszek. Wypiła jednym tchem, a resztę zawartości butelki wylała do umywalki w łazience. Policzki miała zaczerwienione od płaczu, a oczy piekące, więc włożyła głowę pod kran i schłodziła się zimną wodą. Resztki makijażu wytarła papierem toaletowym. Uznała, że przyszła pora, aby zrealizować pomysł, jaki wpadł jej do głowy, gdy siedziała z Mateuszem w samochodzie. Uruchomiła laptop i zalogowała się na Facebooku. Napisała krótki, ale konkretny post z prośbą o udostępnianie. Ułożenie tych kilku zdań zajęło jej parę minut, a gdy się upewniła, że wszystko brzmi tak, jak powinno, kliknęła opcję „opublikuj”.

XXXIV. Kiedyś

Na brzegu biurka doktora Muszyńskiego stała zdobiona od góry dwoma złotymi paskami szklanka z niedopitą herbatą. Musiała tkwić w tym miejscu od dłuższego czasu, bo ścianki szklanego naczynia były poplamione brunatnym osadem, a metalowy uchwyt wyglądał na pobrudzony jedzeniem. Herbata miała matowy, ciemnobrązowy kolor, jednak doktor, nie bacząc na to, pociągnął spory łyk napoju i wymownie odchrząknął.

Obok szklanki stała ciemnozielona popielniczka w kształcie liścia dębu, a w niej znajdowało się kilka petów i trochę popiołu. W pomieszczeniu, zapewne świeżo wietrzonym, unosił się zapach nikotyny tak wyraźny, jakby przed momentem ktoś palił papierosa, patrząc przez otwarte okno, z którego roztaczał się widok na Bulwary Wiślane.

Doktor odchrząknął raz jeszcze i zabębnił opuszkami palców o blat biurka. Dłonie miał masywne i gdyby nie żółty nalot od papierosów na palcach, mogłyby uchodzić za zadbane. Postukał palcami raz jeszcze, zdjął z nosa okulary i przejechał dłonią po gęstwinie czarnych włosów. Odchylił się na fotelu, nabrał więcej powietrza i patrząc Marcjannie prosto w oczy, oznajmił:

— Niestety, nie mam dla pani najlepszych wieści, pani Woźniakowa. Moje obawy się potwierdziły.

Marcjanna poczuła, jak krew zaczyna jej szybciej krążyć w żyłach, a serce łomocze. Raptem zrobiło jej się bardzo gorąco, a po chwili czoło zaiskrzyło się kroplami potu. Twarz doktora Muszyńskiego, którą jeszcze przed momentem widziała bardzo dokładnie, stała się niewyraźna. Pomrugała, przetarła oczy dłonią, lecz niewiele to pomogło. Niewyraźny portret doktora Muszyńskiego nagle zawirował jej przed oczami. Marcjanna starała się opanować własne ciało, jednak nie miała nad nim dostatecznej władzy. Dopiero po upływie kilkunastu sekund wszystko wróciło do normy.

— Co ma pan na myśli, doktorze? — spytała wystraszona.

Bernard Muszyński już nabierał powietrza, by udzielić pacjentce szczegółowej odpowiedzi, gdy zadzwonił telefon, przeprosił więc Marcjannę, mówiąc, że to może być pilne, i podniósł słuchawkę.

— Doktor Bernard Muszyński, słucham. Czym mogę służyć? — powiedział do osoby po drugiej stronie serdecznym tonem, choć widać było po nim ogromne zmęczenie. Godzinę temu zakończył nocny dyżur w szpitalu, skąd trafił do przychodni, gdzie pod jego gabinetem ludzie tłoczyli się w kolejce. Wypatrzył Marcjannę w tym tłumie i zaprosił do środka jako pierwszą, wprawiając pozostałych w konsternację.

Gdy doktor cierpliwie wysłuchiwał swojego rozmówcy, a potem mu tłumaczył zawiłe kwestie neurochirurgiczne, Marcjanna — patrząc na oblazłe zielone lamperie na ścianie, które obmierzły jej, od kiedy zaczęła chodzić od specjalisty do specjalisty przyjmujących w niemal identycznych gabinetach — wróciła myślami do chwili, gdy po raz pierwszy poczuła, że z jej zdrowiem jest coś nie tak.

Było to tuż po śmierci Macieja, który zmarł nagle, siedząc na ławce pod blokiem, w którym zamieszkali w Warszawie, gdy już przeszedł na emeryturę. Siedział, czytał gazetę i odpoczywał po solidnym dwudaniowym obiedzie popitym szklanką kompotu z jabłek. Przez otwarte w mieszkaniu okno usłyszała dobiegające z podwórka krzyki ludzi wołających o pomoc, więc porzuciła mycie naczyń i wyjrzała przez balkon, by sprawdzić, co to za rwetes. Wtedy zobaczyła go, jak leży rozpostarty na ławce, nakryty gazetą, a przechodnie próbują mu pomóc.

Pech chciał, że akurat była awaria windy, więc musiała zbiec trzy piętra po schodach, co przy jej tuszy okazało się nie lada wyzwaniem. Gdy w końcu cała spocona i zasapana dotarła do niego, jeszcze łudziła się, że może jest to chwilowa niedyspozycja. Niestety, słabe serce Macieja nie wytrzymało. Zgon nastąpił szybko, orzekli ratownicy, którzy zjawili się na miejscu. Najpewniej zawał, dodali.

A może to przeze mnie? — pomyślała Marcjanna. Zaledwie tydzień wcześniej — zdając sobie sprawę z tego, że oboje zbliżają się do siedemdziesiątki i mogą nie pożyć długo — postanowiła wyjawić mu prawdę o Józku i jego tajemniczym liście sprzed wielu lat. Maciej zdenerwował się okrutnie, że zataiła tak ważny fakt i tyle lat go okłamywała, ale po wielogodzinnych rozmowach przyznał jej rację. Wiadomość o tym, że Józek żyje, byłaby gwoździem do trumny dla neurotycznej Mili, która osiągnęła względną równowagę po zamążpójściu i narodzinach dziecka.

— Wiesz, gdzie mógłby przebywać, jeśli jeszcze żyje? — spytał żonę.

Marcjanna podzieliła się z nim swoimi przypuszczeniami, ale dodała, że uważa tak na podstawie swojej intuicji.

— I przez te wszystkie lata nie próbowałaś go odnaleźć? — dziwił się Maciej. — Nawet w tajemnicy przede mną? Nie szukałaś go?

— Chciałam, ale tu chodzi o to, czy on tego chce — odparła zrezygnowana. — A jeśli nawet byśmy go znaleźli, to co byś mu powiedział? No co?

Maciej zbyt dobrze znał swojego syna i musiał zgodzić się z żoną. Odnalezienie Józka było jak szukanie igły w stogu siana i mogłoby się udać tylko wtedy, gdyby on tego sobie życzył. Mimo to, nie mówiąc nic żonie, użył wszystkich swoich znajomości i wpływów, rozpuścił wici, gdzie trzeba, i cierpliwie czekał, aż ktoś zadzwoni do niego. Mało spał, niewiele jadł, a na myśl o tym, że Józek żyje gdzieś daleko, a może całkiem blisko, odczuwał kołatanie serca. W ciągu tego tygodnia pojawiało się ono coraz częściej, ale nie powiedział nic żonie, by zbytnio jej nie martwić.

Po dwudaniowym obiedzie i kompocie z szarych renet znów poczuł ucisk w klatce piersiowej. Zabrał z mieszkania gazetę i wyszedł poczytać na zewnątrz. Pogoda sprzyjała takiej sjeście, więc usadowił się na ławce i rozłożył gazetę. Głównym tematem na trzeciej stronie był pożar domu dziecka na Węgrzech, podczas którego zginęła większość wychowanków i pracowników. Opisy i relacje świadków oraz ratowników były przerażające. Przypomniało mu się, jak ponad czterdzieści lat temu patrzył na zwęglone ciała mieszkańców rodzinnej wioski. Przed oczami stanęła mu wykrzywiona w grymasie drobna twarz Estery i koszmarny widok nadpalonych kończyn Kalmana. Zrobiło mu się gorąco jak wtedy. Rozpiął sweter i zaczął masować bolący mostek. Pociemniało mu w oczach. Gazeta wypadła z ręki. Osunął na ławkę. Słyszał, jak ktoś wołał pomocy i pytał, czy dobrze się czuje. Zaprzeczył lekkim ruchem głowy. Ostatkiem sił podniósł oczy w górę, w stronę mieszkania. Na balkonie stała Marcjanna. Patrzyła na niego wzrokiem przestraszonej sarny, błagając go spojrzeniem, by poczekał jeszcze chwilę. Zniknęła w drzwiach balkonowych z takim rozmachem, że zawirowała firanka.

Bardzo chciał poczekać, aż dobiegnie do niego i złapie za rękę, by pomóc mu bezpiecznie przejść na drugą stronę, ale nie dał rady oprzeć się słabości, która ogarniała każdy centymetr jego ciała.

Na pogrzebie Macieja Marcjanna zorientowała się, że chwilami widzi niewyraźnie. Zrzuciła to na karb przeżyć, wszak przepłakała nad nieodżałowanym mężem dwa dni i dwie noce. Z tym samym wiązała ból skroni i zawroty głowy, jednak nie przejęła się nimi zbytnio.

Pewnego ranka, kilka miesięcy po pogrzebie, szykując się w łazience do wyjścia na cmentarz do Macieja, co czyniła niemal codziennie, zauważyła, że lekko opada jej lewa powieka

i nie może wrócić do właściwej pozycji. Gdy w ciągu kolejnych tygodni przytrafiło jej się to jeszcze trzy razy, udała się na badania.

Mili nie powiedziała o niczym, mimo że widywały się praktycznie codziennie, bo Marcjanna często opiekowała się wnuczką, gdy Mila była w pracy. Nie chciała jej niepotrzebnie martwić i burzyć budowanego latami spokoju.

Od badania do badania, od lekarza do lekarza, w końcu trafiła na Bernarda Muszyńskiego, specjalistę neurologa i neurochirurga, który zajął się nią tak jak żaden lekarz wcześniej. Zlecił szereg badań, pilnował terminów, zalecił dietę i zdrowszy tryb życia.

Doktor odłożył słuchawkę na miejsce, ale wcale tego nie zauważyła.

— Słucha mnie pani? — upewnił się lekarz.

— Tak, panie doktorze. — ocknęła się z rozmyślań.

— Powiem wprost, bo tak będzie najszybciej i najlepiej — oznajmił.

— Proszę mówić wszystko szczerze, jakoś to przeżyję.

Muszyński patrzył na ociężałą sylwetkę siwowłosej kobiety, która wyglądała na starszą, niż naprawdę była, i zrobiło mu się jej żal. Znał ją kilkanaście tygodni i wiedział, że w życiu przeszła wiele, bo co nieco opowiadała, ale czy poradzi sobie z wiadomością takiego kalibru?

— Ma pani tętniaka mózgu. Nieoperacyjnego — powiedział i patrzył na reakcję kobiety, jednak nie dała po sobie nic poznać.

— Co to dokładnie znaczy? — spytała lekko schrypniętym głosem.

— Żyje pani na tykającej bombie. I to od dłuższego czasu.

— Już od dawna — powiedziała półgłosem do siebie.

— Słucham? — Muszyński nie dosłyszał.

— Przepraszam, mówiłam do siebie — odparła. — Kiedy ta bomba wysadzi mnie w powietrze?

— Może dziś, a może za dziesięć lat. — lekarz bezradnie rozłożył ręce.

— Czy to się leczy?

Bernard Muszyński pokręcił przecząco głową. Sięgnął po szklankę i wypił resztę herbaty. Była wstrętna. Wykrzywił się.

— Na to nie ma lekarstwa, a operacja jest niemożliwa. To znaczy można ją przeprowadzić, ale jest zbyt duże zagrożenie, że pani tego nie przeżyje.

— Co pan doktor radzi?

— Żyć tak jak do tej pory. Czyli wstawać rano, pomodlić się, zjeść śniadanie, pobawić się z wnuczką. W pani sytuacji nie ma innego wyjścia. Musi pani żyć normalnie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy tętniak pęknie — tłumaczył doktor. — Ale to, że ma pani tętniaka, nie gwarantuje, że pani umrze akurat przez niego. Jeśli pani nie będzie dbać o siebie, może umrzeć na grypę, zawał albo jeszcze co innego.

XXXV. Teraz

Salę konferencyjną hotelu Cube w Warszawie opuszczali ostatni goście. Większą część zgromadzonych stanowili młodzi ludzie, pozostałą osoby, które przyszły tu ze zwykłej ciekawości, by zobaczyć Mateusza Jurewicza, sportowca celebrytę, który na blisko dwa lata zniknął z pierwszych stron gazet i portali, i z życia publicznego w ogóle. Jurewicz zawsze budził sprzeczne emocje, a jego ucieczka tylko podsycała plotki o rzekomych słabościach do kobiet i używek. Mimo poniedziałkowego popołudnia hotelowa sala konferencyjna wypełniona była po brzegi i choć końcówka czerwca to nie najlepszy moment na wydawanie i promowanie książek, pierwsze spotkanie autorskie Mateusza Jurewicza mogło uchodzić za wyjątkowo udane. Po półtoragodzinnych rozmowach i pytaniach publiczności przyszła kolej na autografy. Do Mateusza ustawiła się spora kolejka, by podpisał książkę i dał sobie zrobić pamiątkowe zdjęcie.

Marcelina cierpliwie czekała, aż premiera i promocja książki dobiegną końca. Usiadła na jednym z pustych krzeseł i kolejny raz tego dnia kartkowała książkę. Znała ją praktycznie na pamięć, ponieważ na etapie pisania, autoryzacji i poprawek czytała ją tyle razy, że pewne fragmenty mogła recytować z zamkniętymi oczami. Przez ostatnie tygodnie była skupiona tylko na niej. Książka pachniała drukiem i miała przyjemną szatę graficzną. Przedstawiała uśmiechniętego Mateusza wjeżdżającego zwycięsko rowerem na metę. Na okładce widniało jej nazwisko jako autorki wywiadu ze sportowcem.

Przybyłowicz i Walicki decyzję o tym podjęli w ostatniej chwili, na moment przed rozpoczęciem druku. Marcelina nie zabiegała o to, jednak po serii ostrych wymian zdań z Łukaszem, który miał bardziej tabloidową wizję książki i z Hiszpanii chciał decydować o sprawach, o których nie miał pojęcia, a następnie po sprzeczce z Walickim upierającym się przy wizji Łukasza sprawa otarła się o Przybyłowicza. Po wyłuszczeniu mu swoich racji i argumentów przemawiających za profesjonalną, a nie efekciarską publikacją Przybyłowicz przyznał jej słuszność. Spodobały mu się jej stanowczość i upór w forsowaniu swojego zdania, ale zaznaczył, że jeśli po zmianie pierwotnej koncepcji sprzedaż książki nie przekroczy planowanego pułapu, otrzyma tylko połowę honorarium. Na tym akurat jej nie zależało. Łukasz był mocno rozczarowany jej postawą, a gdy się dowiedział, że nie będzie widniał jako autor, zaczął unikać z nią kontaktu. Walicki zaś stwierdził, że będzie musiał ją awansować gdzieś wyżej do innego działu, bo nie chce mieć do czynienia z jej uporem.

Marcelina nie miała czasu poinformować Mateusza o nagłej zmianie decyzji wydawcy i była niemal pewna, że informacja ta nie dotarła do niego, gdyż Mateusz od czasu ucieczki z Wrocławia unikał Internetu i wykasował wszystkie konta w mediach społecznościowych.

Pewnie dlatego był tak zaskoczony, gdy przed południem okazało się, że na konferencji prasowej dotyczącej książki będzie mu towarzyszyć Marcelina. Niestety, nie miał okazji się z nią przywitać i porozmawiać, gdyż przez jej spóźnienie — co nikogo w firmie specjalnie nie dziwiło — premiera przesunęła się o kilkanaście minut. Po zakończeniu konferencji poprosił ją o chwilę rozmowy. Obiecała, że poczeka, aż skończy podpisywać książkę.

Kolejka po autografy znacznie się zmniejszyła. Na podpis i zdjęcie z Mateuszem czekała grupka nastolatków oraz trzy młode dziewczyny, wyraźnie podekscytowane spotkaniem ze znanym sportowcem. Wtedy ją zauważyła. Śliczną młodą dziewczynę, która wpadła do sali konferencyjnej lekko zdyszana i słodkim, przepraszającym spojrzeniem obdarzyła Mateusza, a na koniec wyciągnęła dłonie przed siebie i złożyła je w kształt serca, wywołując szeroki uśmiech na jego twarzy. Przez ułamek sekundy przyjrzała się sali, potrząsnęła długimi, ciemnymi włosami,

a te spłynęły po jej plecach niczym wodospad. Z gracją usiadła na krześle w drugim rzędzie i zajęła się scrollowaniem telefonu. Jej twarz wydała się Marcelinie znajoma, lecz dopiero po kilku minutach przypomniała sobie, gdzie już raz ją widziała. Była to ta sama dziewczyna, którą przypadkiem zauważyła na zdjęciu w telefonie Mateusza podczas pamiętnej wizyty w jego domu, gdy odkryła, że nie jest jej obojętny. Dziewczyna ze zdjęcia całująca go w policzek podczas przyjęcia w jakimś lokalu. Tak, to musiała być ona. Piękna jak z obrazka, roztaczająca wokół siebie wdzięk i czar. Marcelina poczuła skurcz żołądka i dobry nastrój, który dopisywał jej od rana, gdzieś się ulotnił.

Mimo że kolejka do Mateusza topniała z minuty na minutę, dziewczyna bardzo się niecierpliwiła. Zerkała na zegarek co chwila, a gdy ostatnia osoba z kolejki otrzymała autograf, wyskoczyła z rzędu krzeseł i wpadła w objęcia Mateusza. Marcelina z zazdrością patrzyła, jak ta filigranowa osóbka pospiesznie opowiada coś Mateuszowi, a on nie może oderwać od niej wzroku. Marzyła, by jak najszybciej opuścić salę albo zapaść się pod ziemię, lecz ani jedno, ani drugie nie było możliwe. Czuła się niezręcznie jako świadek tych czułości i gdy już miała wstawać z krzesła, zauważyła, że Mateusz mówi coś do swojej towarzyszki, a potem razem idą w jej stronę.

— Witaj. — Mateusz podał jej dłoń na powitanie, a potem przytulił mniej wylewnie niż towarzyszącą mu brunetkę. — Zrobiłaś kawał dobrej roboty — dodał z uznaniem, mając na myśli książkę.

— Miło cię znowu widzieć. Cieszę się, że masz tylu fanów — powiedziała. Kątem oka zauważyła, że dziewczyna trąca Mateusza łokciem.

— Przepraszam, że musiałaś tak długo czekać. — Mateusz wyglądał na zmęczonego. — Odwykłem od życia w mieście. Nie spodziewałem się, że przyjdzie tu tyle osób.

— Cóż, byłeś i jesteś popularny, a teraz to nie wiem, jak poradzisz sobie z tą sławą. — Marcelina siliła się na żarty, choć wcale nie miała ochoty prowadzić tej konwersacji. Czarująca brunetka nie przypadła jej do gustu. Starała się nie zwracać na nią uwagi. — Teraz poznali cię z innej strony, będą cię uwielbiać.

— Akurat tego się nie obawiam. — Mateusz znowu został trącony łokciem. Uśmiechnął się do dziewczyny i zwrócił się do Marceliny: — Chciałbym, żebyś kogoś poznała. To Ula.

Brunetka uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń.

— Nawet pani nie wie, jak bardzo chciałam panią w końcu poznać. Robiłam już Mateuszowi awantury o to — szczebiotała Ula.

— Wspominałem ci o Uli, pamiętasz?

Marcelina zaprzeczyła. Widocznie nieuważnie go słuchała podczas nagrań do książki albo tylko wydawało mu się, że o niej mówił. Spraw osobistych, sercowych nie poruszali w wywiadzie na żądanie Mateusza, które było zawarte w umowie, dlatego nie wiedziała, czy jest w jakimś związku, czy nie.

— Ula. Moja kuzynka. Pomaga nam prowadzić internetowy sklep z rowerami — wyjaśnił, a Marcelina poczuła, jak spięte mięśnie szyi ulegają rozluźnieniu i schodzi z niej ciężar negatywnych emocji. Uśmiechnęła się. Tak, jasne, że wspominał. Podczas pożegnania przed jej wyjazdem do Warszawy. — Żałuję tylko, że tak późno zdecydowała się z nami pracować, bo jest naprawdę skuteczna. — uścisnął Ulę.

— Kuzynka…? — Marcelina miała ochotę ją uścisnąć tak samo, jak zrobił to wcześniej Mateusz. — Jestem Marcelina. Bardzo mi miło.

— Bez przerwy o tobie mówił. — Mrugnęła porozumiewawczo w stronę kuzyna, wprawiając oboje w zakłopotanie. — Dlatego tak bardzo chciałam cię poznać. Bo dzięki tobie i tej książce zaczął żyć na nowo. Gdyby nie to, zdziczałby na tym odludziu. Mam nadzieję, że

jeszcze się spotkamy i porozmawiamy dłużej. Teraz muszę już uciekać. — Ula popatrzyła na zegarek. — Mam spotkanie w naszych interesach. Trzymajcie za mnie kciuki.

Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, fundując Marcelinie solidną porcję sprzecznych emocji. Gdy zamknęły się za nią drzwi, między Mateuszem a Marceliną zapadło niezręczne milczenie. Patrzył na nią z zachwytem, bo wyglądała tak samo pięknie jak podczas spaceru po wzgórzach Niebylca.

— Potrzebuję dobrego roweru — powiedziała.

— Trafiłaś pod dobry adres. — uśmiechnął się. — Będziesz nim jeździć do pracy?

— Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Może na urlop?

— Rowerem do Hiszpanii? Przyznam, że to nie lada wyczyn…

— Nie będzie żadnego urlopu w Hiszpanii. Nigdy — powiedziała bez żalu w głosie. Wtedy zauważył, że na jej serdecznym palcu prawej dłoni brakuje pierścionka z szafirami.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie. To przeszłość. Mogę się zrewanżować spacerem?

— Czekałem na to od kwietnia — przyznał Mateusz. — Gdzie mnie zabierzesz?

— Trudno mi będzie konkurować z twoimi okolicami, ale spróbuję. — Wyciągnęła do niego dłoń, a on ją chwycił.

Salę konferencyjną hotelu Cube opuścili jako ostatni, pozwalając ekipie sprzątającej na ogarnięcie śmieci pozostawionych przez publiczność.

Szli, trzymając się za ręce. Żadne z nich nie wiedziało, co powinno powiedzieć, ale czuli dokładnie to samo. Spokój. Zerkali na siebie co chwila, jakby chcieli się upewnić, że to się dzieje, dzieje się naprawdę. W pewnym momencie ścisnęła jego dłoń trochę mocniej, a on przyciągnął ją do siebie i pocałował. Stali na środku ulicy zatopieni w pocałunku. Ktoś z przechodniów wyciągnął telefon i zrobił im zdjęcie.

— Chyba wiem, co jutro o tobie napiszą. — uśmiechnęła się Marcelina i wtuliła głowę w jego ramiona.

— Niech piszą. Tym razem nie mam nic przeciwko temu. Może choć raz napiszą prawdę — powiedział Mateusz i znów zaczął ją całować. Kątem oka dostrzegł, że ktoś zza szyby restauracji, pod oknami której się zatrzymali, również dokumentuje ich pocałunek. Zlekceważył to.

— Możesz zostać sławna — zażartował.

— Nie wiem, jak sobie z tym poradzę. — Marcelina się roześmiała. W tym momencie w torebce zaczął wibrować jej telefon.

— Przepraszam, powinnam wyłączyć go wcześniej. Zawsze odzywa się nie w porę — stwierdziła zakłopotana. Spojrzała jeszcze na wyświetlacz, żeby się upewnić, czy nie jest to jakaś pilna wiadomość od mamy.

Nie, nie była. Osoba, która do niej napisała, nie była jej znana, ale zdjęcie profilowe nadawcy kogoś jej przypominało. Marcelina zmarszczyła brwi. Intensywnie myślała, kto to mógł być, i szperała w zakamarkach pamięci. Widziała go w telewizji? A może…? Tak! Tak, widziała tę twarz w czasopismach pani Broni. Teraz zrozumiała, dlaczego seniorka tak pilnie śledziła doniesienia ze świata filmowego.

— Coś się stało? — Mateusz zauważył zmianę w jej twarzy.

— Nie — powiedziała ledwie słyszalnym głosem, przesuwając oczyma po zdaniach, które próbowała sklecić w całość. — To znaczy… tak. Nie wierzę…

— Na pewno wszystko w porządku?

— Tak, chyba tak. — Zarumieniła się, bo fala emocji, jakie nadeszły wraz z tą wiadomością, była przytłaczająca. Pokazała wiadomość Mateuszowi, jednak nie zrozumiał, o co

w niej chodzi i dlaczego Marcelina jest tak podekscytowana.

— Znalazłam go! Boże, chyba go znalazłam! Nie mogę w to uwierzyć! — Marcelina śmiała się i płakała zarazem. Rzuciła mu się na szyję i przytuliła z całej siły.

— Kogo znalazłaś?

— Wujka Józka. Brata mojej mamy. On żyje… — powiedziała, a potem zwolniła uścisk i usiadła na miejskiej ławce, bo nogi miała jak z waty.

XXXVI. Nowy Jork

Kiedy się obudził, z kuchni dochodził zapach herbaty jaśminowej.

— Dzień dobry, kochanie. — Przytulił Anne, która jak co dzień wpatrywała się we wschód słońca nad East River.

— Idziesz biegać? — spytała, widząc go ubranego w białą sportową koszulkę i spodenki. W ciągu ostatnich tygodni ani razu nie był w Central Parku, co martwiło i ją, i kolegów, z którymi przemierzał kolejne kilometry.

— Prace nad filmem zakończone, więc mogę biegać do wieczora — zażartował. — O ile sił mi wystarczy.

— Nie mów głupstw. — Anne raczej nie była w humorze. — Za tydzień gala, nie forsuj się niepotrzebnie.

— Jak każesz. — pociągnął łyk herbaty i nie czekając na odpowiedź żony, wyszedł z mieszkania.

W Central Parku było tłoczno, jak przystało na sobotni poranek. Ktoś, kto nie miał okazji doświadczyć biegania po tej największej oazie zieleni na Manhattanie w weekend, mógłby pomyśleć, że celowo stłoczono tu pół miasta i kazano biegać. Benowi to nie przeszkadzało. Kochał poranny jogging i przynajmniej kilka razy w tygodniu pokonywał najdłuższą, dziesięciokilometrową trasę w towarzystwie setek takich jak on zapaleńców. Gdy wyjątkowo brakowało mu czasu, by przebiec najdłuższy odcinek, wybierał liczącą dwa i pół kilometra drogę wokół jeziora.

Nawet w weekendy, gdy musiał biec niemal ramię w ramię z innymi, a jogging przypominał start tłumu oczekującego na początek maratonu, nie odmawiał sobie tej przyjemności, chyba że akurat przebywał na planie filmowym poza Nowym Jorkiem. Wtedy wracał do Central Parku stęskniony, z niespożytą energią wyprzedzał młodszych o połowę biegaczy. Bieganie dawało mu jeszcze coś — po zakończonym treningu czuł jasność umysłu.

Uprawiał jogging od lat. Dzięki niemu utrzymywał dobrą formę i wypracował niezłą kondycję, jednak od kilku lat efekty nie były już tak spektakularne. Coraz częściej przyłapywał się na tym, że bieganie go męczy. Nie chciał, żeby Anne widziała, że staje się coraz słabszy.

Dzisiejszego ranka zdecydowanie był w swoim żywiole. Zrobił lekką, kilkunastominutową rozgrzewkę. Najpierw spokojny trucht, potem rozciąganie, krążenia ramion i ćwiczenia na dolne partie mięśni, na koniec dwie przebieżki. Gdy już poczuł, że układ krążenia został maksymalnie pobudzony, a ciało wskoczyło na odpowiednie tory, mógł zacząć poranny jogging. Na początku biegł spokojnie i miarowo, ale z każdym kilometrem przyspieszał, zgodnie z zaleceniami lekarza, który był jednocześnie jego trenerem personalnym. Wszystkie parametry kontrolował smartwatchem, a gdy któryś zaczął się niebezpiecznie podnosić, musiał zmienić tempo i taktykę biegu. Dziś jednak czuł się tak dobrze, że postanowił rzadziej spoglądać na zegarek, by czerpać więcej przyjemności z porannego joggingu. W tłumie biegaczy o tę przyjemność mogło być trudno, ale Benowi to nie przeszkadzało. Potrafił się dostosować do każdych warunków.

Mijający tydzień był dla niego męczący. Realizacja dokumentu „Nameless” wprawdzie dobiegła końca i pozostało odliczać dni do prapremiery oraz do pierwszych recenzji w kraju i za granicą, jednak odczuwał niepokój przed tym, czy jego najnowsza produkcja nie uruchomi lawiny niechcianych zdarzeń.

— Ben, na litość boską! Wszystko, czego dotkniesz, zamienia się w złoto. Skończyłeś

siedemdziesiąt lat, czego ty się boisz? — strofowała go Anne, gdy zaczynał realizację filmu.

— Dobrze wiesz czego — odpowiadał. — Przeszłości. Tego, że do mnie wróci.

— Przecież możesz się z nią rozliczyć raz na zawsze — zachęcała Anne, widząc, że wspomnienia prześladowały go coraz częściej. Stopniowo, nienachalnie próbowała przekonać męża do ostatecznego rozrachunku z demonami przeszłości.

W ostatnich dniach udzielił kilku wywiadów mających promować jego najnowszy serial dokumentalny „Nameless". Zapowiadał się na hit. Serial przedstawiał historię kilku mieszkańców Nowego Jorku. Łączył ich jeden fakt: brak tożsamości i ciągłe jej poszukiwanie. Byli wśród nich między innymi: znany nowojorski biznesmen, który w wieku pięćdziesięciu lat dowiedział się, że został adoptowany, a jego biologiczną matką była francuska zakonnica; dwudziestoletnia kelnerka, która po operacji przeszczepu serca zaczęła mieć wątpliwości co do tego, kim naprawdę jest; trzydziestopięcioletnia modelka uzależniona od operacji plastycznych upodabniających ją do Marilyn Monroe oraz bezdomny mieszkaniec nowojorskiego metra, który po pobiciu zapomniał, kim jest i jak się nazywa, więc wymyślił sobie nowe imię i nazwisko.

Ostatni wywiad przeprowadziła z nim Valeria Thompson z „The New York Times". Meksykanka słynęła z dociekliwości i profesjonalizmu. Zależało mu bardzo na tej publikacji. Podczas rozmowy tak żonglowała pytaniami, że Ben był zdezorientowany i nie panował nad logiką swoich odpowiedzi.

— To prawdopodobnie najtrudniejszy z twoich dotychczasowych filmów. Zawsze podejmowałeś się realizacji takich tematów, które są ci bliskie i w jakiś sposób dotyczą twojego życia lub otoczenia — stwierdziła słusznie na początku Valeria. — *Fireman* był hołdem dla brata Anne, który zginął w akcji ratunkowej World Trade Center. Dokument o dzieciach z zespołem Treachera Collinsa i ich rodzinach nakręciłeś po tym, jak siostrzenicy Anne urodziło się takie dziecko. O każdej twojej produkcji można powiedzieć, że dotyczy twojej rodziny. Jak wytłumaczysz „Nameless"?

— Myślę, że każdy z nas na pewnym etapie życia próbuje dowiedzieć się, kim jest — zaczął ogólnikowo tłumaczyć.

— Nie mam co do tego wątpliwości — przerwała mu Valeria. — Ale nie każdy robi o tym film wysokobudżetowy, który zapewne będzie hitem telewizyjnym. Ben, czy ty chcesz w ten sposób coś powiedzieć?

— Wydaje mi się, że film jest na tyle refleksyjny, że skłoni widzów do indywidualnych odpowiedzi na to pytanie.

Valeria spoglądała na rozmówcę z niedowierzaniem. Ben był elokwentny, błyskotliwy, udzielał kwiecistych odpowiedzi, dlatego często zapraszano go do talk shows. Podczas tej rozmowy zachowywał się nienaturalnie. Odpowiadał nerwowo i krótko. Wyraźnie chciał jak najszybciej zakończyć wywiad.

— Drążę ten temat, bo jestem cholernie ciekawa — mówiła dalej Valeria. — Ben, zna cię całe Hollywood. Wiemy o tobie i Anne chyba wszystko, bo ciągle o was mówią w mediach. Dlatego wydaje mi się, że „Nameless" po prostu nie pasuje do twojej twórczości…

— Nic o mnie nie wiecie — powiedział ze stoickim spokojem.

— To powiedz nam — zaproponowała. — Czego o tobie nie wiemy?

— Wszystko, co o mnie wiecie, jest kłamstwem — odburknął.

— Opowiesz nam o tym?

— Może innym razem. — znacząco spojrzał na zegarek, dając Valerii do zrozumienia, że muszą już kończyć.

Dziennikarka była nieco zniechęcona takim obrotem sprawy, ale obietnicę Bena potraktowała poważnie.

— Wiesz, że nie dam ci spokoju? — powiedziała, ściskając mu dłoń mocniej niż zwykle.

— Wiem, zbyt dobrze cię znam. — uśmiechnął się. — Odezwę się.

— Ja też cię znam i dlatego na to nawet nie liczę. — roześmiała się szeroko, odsłaniając równy rząd porcelanowych licówek, które pięknie kontrastowały z jej śniadą cerą. — Sama się odezwę, i to szybciej niż myślisz.

Po tej rozmowie coś w nim pękło. Po latach okłamywania siebie i innych wreszcie poczuł, że nadeszła pora, aby zrobić ostateczny rozrachunek z przeszłością. Najwyższy czas, by prosić o wybaczenie tych, którym wyrządził ogromną krzywdę. O ile jeszcze żyją… Może pora powiedzieć, że mimo ponad siedemdziesięciu lat nadal nie wie, kim jest ani skąd pochodzi. Że nie jest tym wspaniałym, podziwianym Benem, za jakiego wszyscy go uważają, tylko człowiekiem, którym targają wyrzuty sumienia i czuje się zagubiony jeszcze bardziej niż wtedy, gdy miał naście lat.

Wczoraj wieczorem podjął decyzję. Dziś chciał się tylko utwierdzić w swoim przekonaniu, a nic nie pomagało mu bardziej niż bieganie. Jogging dawał jasność umysłu i oczyszczał z toksycznych myśli.

Dlatego dzisiaj biegł z niezwykłą determinacją. Przy końcu trasy pot lał się z niego strumieniami, a bicie serca osiągało zawrotne tempo. Gdy dotarł do mety, upadł na kolana i się rozpłakał. Klęczał tak kilka minut, stwarzając niebezpieczeństwo dla innych biegaczy, którzy musieli go omijać. Ktoś zapytał, czy wszystko okej, ale Ben tylko uprzejmie się uśmiechnął i przytaknął. Inny biegacz chciał wezwać pogotowie, jednak on zapewniał, że to tylko chwilowa niedyspozycja.

Po chwili wstał, otarł oczy spoconą koszulką i ruszył z zatłoczonego Central Parku w stronę domu.

— Napiszę do niej — oznajmił żonie. Zresztą Anne już od chwili, gdy stanął w drzwiach, zorientowała się, że w Benie zaszła jakaś zmiana. Zwilgotniały jej oczy. Nawet nie próbowała ukryć wzruszenia.

— Nie wiesz, jak się cieszę — powiedziała, gdy tulił ją w ramionach. — Dobrze, że chcesz ich odnaleźć.

Ben szybko wszedł pod prysznic i schłodził rozgrzane ciało letnią wodą. Wycisnął sporą dawkę ulubionego miętowego żelu pod prysznic i szorował ciało ze zdwojoną siłą, próbując zmyć z siebie nie tylko pot. Kiedy się odświeżył, owinął biodra ręcznikiem i stanął przed lustrem. Patrzył na szpakowatego szczupłego mężczyznę, któremu po raz pierwszy szczerze śmiały się oczy. Nawet brunatne znamię za lewym uchem, którego się wstydził, dziś mu nie przeszkadzało. Ujął w palce zawieszkę łańcuszka i pocałował ją.

Odświeżony i pachnący położył swojego MacBooka na kuchennym blacie pod oknem i zalogował się na swoje konto w mediach społecznościowych. Słońce nad East River pięło się już ku górze. Zaczął pisać.

Witaj, Marcelino. Nazywam się Ben Davies, ale moje prawdziwe nazwisko brzmi inaczej i dlatego wydaje mi się, że jestem osobą, której szukasz. Przepraszam, że nie odpowiedziałem od razu, ale Twoja wiadomość wywróciła moje życie do góry nogami. Potrzebowałem czasu, by poukładać w głowie rzeczy, które dawno wyparłem z pamięci. Nie jestem w stanie napisać nic więcej. Przylecę do Was najszybciej, jak to możliwe. Jestem bardzo ciekawy, co takiego ważnego chcesz mi o mnie opowiedzieć, skoro to ja jestem Wam winny tyle wyjaśnień.

Z pozdrowieniami, Ben. Albo jak wolisz — Józek.

Słowo od Autorki

Niniejsza powieść jest fikcją literacką, a odniesienia do prawdziwych wydarzeń i miejsc, jakie występują w książce — a jest ich kilka — są zabiegiem czysto literackim. Bohaterowie, pozostałe miejsca i wydarzenia są wytworem mojej wyobraźni, więc jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi zdarzeniami, miejscami i osobami żyjącymi lub zmarłymi jest całkowicie przypadkowa.

Niebylec istnieje naprawdę. To wieś położona w powiecie strzyżowskim, w województwie podkarpackim i…jedyna miejscowość w Polsce noszącą taką nazwę.

W przeszłości Niebylec był miastem, w którym obok siebie żyły trzy narodowości: Polacy, Żydzi i Ukraińcy. Żydzi zamieszkiwali głównie w samym Niebylcu, trudnili się handlem i rzemiosłem, prowadzili karczmy zwane szynkami. Pod koniec XIX wieku stanowili połowę mieszkańców Niebylca i mieli duży wpływ na społeczno-gospodarcze życie tego niewielkiego miasteczka. Ukraińcy w niewielkiej liczbie zamieszkiwali otaczające Niebylec wsie: Bliziankę i Gwoździankę, a ich pobyt tutaj wynikał stąd, że tereny te graniczyły kiedyś z byłym województwem ruskim. Można więc powiedzieć, że Niebylec i jego najbliższe okolice stanowiły swoisty tygiel kulturowy, którego relikty przetrwały do dziś.

Wspomniana w książce synagoga i stary cmentarz żydowski to miejsca autentyczne. W niebyleckiej synagodze, ozdobionej piękną, dobrze zachowaną polichromią, mieści się biblioteka, którą mam przyjemność często odwiedzać. Synagoga jest celem odwiedzin społeczności żydowskiej. O liczbie gości świadczy specjalna księga, gęsto zapisana językiem hebrajskim. Natomiast żydowski cmentarz powstał w drugiej połowie XVIII lub na początku XIX wieku. Do drugiej wojny światowej otoczony był murem, mieścił się tutaj także dom przedpogrzebowy. W czasie wojny kirkut został niemal całkowicie zniszczony. Wstęp na teren cmentarza jest mocno utrudniony, dlatego jego opis jest wytworem mojej wyobraźni.

Aby nakreślić nieco klimat przedwojennego Niebylca, odwołuję się do archiwalnych filmów nakręconych w pierwszej połowie lat trzydziestych XX wieku przez nastoletniego Roberta Ungera, który przyjechał do Niebylca odwiedzić swojego dziadka. Filmy te można obejrzeć na stronie United States Holocaust Memorial Museum. Przytaczam też autentyczne relacje żydowskich mieszkańców przedwojennego Niebylca, zapisane w oryginale w języku angielskim. W powieści zapoznacie się z nimi w tłumaczeniu powieściowej Marceliny.

Prawdziwa jest także historia nieszczęśliwej miłości Adama Mickiewicza do Ewy Henrietty Ankwiczówny, dziedziczki Niebylca. Marcelina trafia na tę informację, próbując dowiedzieć się czegoś o rodzinnej miejscowości dziadków. W Niebylcu znajduje się dwór rodziny Łempickich i Ankwiczów, będący niegdyś w posiadaniu Ewy Henrietty. Obecnie jest prywatną własnością.

Na wzgórzach sąsiadującej z Niebylcem Gwoździanki rzeczywiście zlokalizowana jest meteorologiczna stacja badawcza badająca procesy klimatyczne Ziemi. Tę konstrukcję mijają Marcelina i Mateusz podczas spaceru tuż przed wyjazdem dziewczyny do Warszawy.

Pożar kina objazdowego wydarzył się naprawdę. Tyle że nie w Niebylcu, lecz w oddalonym od niego o około 30 kilometrów Wielopolu Skrzyńskim. Było to 11 maja 1955 roku. W pożarze zginęło 58 osób, w tym 38 dzieci, a 20 osób zostało rannych. W budynku zebrała się blisko dwustuosobowa widownia, by obejrzeć komedię Jana Rybkowskiego *Sprawa do załatwienia*. Specjalnie na czas seansu okna zabito deskami, aby uniemożliwić gapiom oglądanie filmu bez biletów. Seans zakończył się tragicznie. Film był nagrany na łatwopalnej

i praktycznie niemożliwej do ugaszenia taśmie celuloidowej, do produkcji której użyto nitrogliceryny. W trakcie projekcji operator, który zwijał taśmę, nieostrożnie dotknął jej końcówką zapalonego papierosa, którego trzymał w ustach, wskutek czego taśma stanęła w płomieniach. Ogień zajął kolejne taśmy, a te zaczęły wydzielać toksyczny dym, następnie płomień objął drewnianą konstrukcję. Jedni dusili się od toksycznych oparów i dymu, inni umierali w płomieniach. O tym tragicznym w skutkach pożarze powstało kilka publikacji oraz film dokumentalny. Zachęcam do ich przeczytania i obejrzenia.

Opisując pożar kina objazdowego w niebyleckiej remizie, czerpałam z dostępnych relacji świadków tragedii z 11 maja 1955 roku, aby zobrazować wydarzenie w sposób jak najbardziej realistyczny. Proszę jednak pamiętać, iż w książce nie opisuję pożaru kina w Wielopolu Skrzyńskim, lecz fikcyjne zdarzenie z fikcyjnymi postaciami, mające w powieści symboliczne znaczenie. Giną w nim ostatni żydowscy mieszkańcy Niebylca, którzy przeżyli okropieństwo drugiej wojny światowej: Estera i Kalman Salzmanowie oraz woźnica Blum.

Bardzo dziękuję Wydawcy za to, że uwierzył w mój debiut powieściowy, Redakcji wydawnictwa oraz wszystkim, którzy mieli udział w ulepszeniu historii, jaka wykiełkowała w mojej głowie kilka lat temu. Cieszę się, że nie zaniechałam pomysłu i odważyłam się podzielić nim z Czytelnikami.

Alinie i Antoniemu za świetną współpracę przy dwóch poprzednich książkach, czyli *Sekretach Rzeszowa* i *Tajemnicach okolic Niebylca*. Pisanie z Wami w duetach dodało mi odwagi.

Czytelnikom za to, że dotarli do tego miejsca.

Największe podziękowania należą się mojej Rodzinie i wszystkim, którzy na co dzień wspierają mnie obecnością, dobrym słowem i uśmiechem. Jak dobrze, że jesteście

2 Autentyczna relacja Y.Y. Schaffera zamieszczona na stronie https://kehilalinks.jewishgen.org/Kolbuszowa/Niebylec/Niebylec4.html, dostęp 24.09.2023.

3 Autentyczna relacja S. Welisch zamieszczona na stronie https://kehilalinks.jewishgen.org/Kolbuszowa/Niebylec/Niebylec5.html, dostęp 24.09.2023.

4 Autentyczna relacja S. Feldmana zamieszczona na stronie https://kehilalinks.jewishgen.org/Kolbuszowa/Niebylec/Niebylec8.html, dostęp 24.09.2023.

5 Spółdzielczy Dom Towarowy „Pionier” został uruchomiony w Rzeszowie w 1962 roku.